

# Fabryka Absolutu



KAREL ČAPEK

# Fabryka Absolutu

TEUM. PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

## I. OGŁOSZENIE

W Nowy Rok 1943 pan G. H. Bondy, prezes zakładów MEAS, czytał sobie gazetę, jak zwykle, trochę niegrzecznie przeskoczył wiadomości wojenne, uchylił się od czytania o przesileniu gabinetowym i na pełnych żaglach (tak, na pełnych żaglach, bo „Gazeta Ludowa”<sup>1</sup> już dawno powiększyła swój format pięciokrotnie i płachty jej nadawałyby się nawet do żeglugi morskiej) wpłynął na obszary gospodarki narodowej. Krążył przez chwilę tam i sam, po czym zwinął żagle i pozwolił kołysać się marzeniom.

„Kryzys węglowy — pomyślał — wyczerpanie kopalń; ostrawskie zagłębie przerywa eksploatację na całe lata. Tam do diabła, to ci heca! Trzeba sprowadzać węgiel górnośląski i proszę, sami sobie policzcie, jak to podraża nasze wyroby, a potem gadajcie o konkurencji! Leżymy na kupie i jeżeli Niemcy podwyższą taryfy, to po prostu możemy zamknąć budę. I akcje Zivno padają. O Boże, cóż to za nędzne stosunki! Jakie ciasne, idiotyczne, jałowe stosunekzki! Diabli nadali z kryzysami!”

Pan G. H. Bondy, prezes zarządu, zamyślił się. Coś go nieustępliwie irytowało. Zaczął doszukiwać się tego i znalazł wreszcie na ostatniej stronie złożonej gazety. Było to słówko ZEK. Właściwie tylko cząsteczka słowa, bo gazeta była akurat w tym miejscu złożona, na literze z. Ale właśnie ta połowiczność wyrazu narzucała mu się dokuczliwie. „No więc co? Jaki tam znowu ZEK? Pewno obrazek, pomyślał pan Bondy. A jak nie, to zarazek, bohomazek? Azotówki też spadły paskudnie. Straszliwa stagnacja. Malutkie, śmiesznie malutkie stosunki! — Tylko kto tam, do diabła, ogłasza jakiś obrazek? Na pewno jakiś bohomazek, jak wszystkie dzisiejsze obrazki. Na pewno.

Trochę nadąsany pan G. H. Bondy rozłożył gazetę, aby się pozbyć dokuczliwego wyrazu. Ale teraz znikł mu zupełnie w szachownicy najróżniejszych ogłoszeń. Gonił swój zgubiony wyraz szpalta za szpalta; ukrył się, gałgan, z jakąś irytującą złośliwością. Pan Bondy śledził go systematycznie od lewej strony ku prawej, od dołu ku górze. Idiotyczne! Obrazek, zarazek czy bohomazek — znikł jak kamfora.

Pan G. H. Bondy nie poddał się tak łatwo. Ponownie złożył gazetę i oto nienawistne ZEK wyskoczyło samo na skraju gazety. Położył więc na nim palec, szybko rozłożył gazetę i czytał... Pan Bondy zaklął z cicha. Chodziło o bardzo skromne, bardzo powszednie ogłoszenie:

### WYNALAZEK

bardzo korzystny, nadający się dla  
każdej fabryki, jest z przyczyn osobistych natychmiast do sprzedania.  
Zapytania kierować do inż. R. Marka  
Brzewnów<sup>2</sup> 1651.

<sup>1</sup>„Gazeta Ludowa” — w oryginale i dalej w tekście: „Lidové noviny”, czeski dziennik wychodzący w latach 1893–1952, reaktywowany w 1987 i wychodzący nadal w XXI w. Na początku XX w. wśród jego redaktorów byli m.in. Karel Čapek i jego brat Josef Čapek (1887–1945). [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Brzewnów, czes. Břevnov — dziś dzielnica Pragi, w czasie powstawania *Fabryki Absolutu* miasteczko pod Pragę. [przypis edytorski]

...No tak! Warto było się trudzić!” — pomyślał pan G. H. Bondy. — „Pewno jakieś patentowane szelki; jakieś oszustewko, albo idiotyczna zabaweczka, a ja tymczasem tracę na to całe pięć minut! I ja także już idiocięję. Nędzne stosunki. I żadnego rozmachu nie ma! Żadnego!”

Prezes Bondy przesiadł się teraz na fotel na biegunach, aby tym wygodniej wykosztować całą cierpkość nędznych małych stosunków. No tak. MEAS ma dziesięć fabryk i trzydzieści trzy tysiące robotników. MEAS prowadzi w żelazie, MEAS jest bezkonkurencyjny w kotłach. Ruszta MEAS to marka światowa. Ale po dziesięciu lat pracy, mój Boże, gdzie indziej dałoby się osiągnąć o ileż więcej!...

G. H. Bondy wyprostował się nagle. „Inżynier Marek, inżynier Marek! Zaraz, zaraz! Czyżby to był ten rudy Marek, jakże mu tam było? Rudolf, Dolfik Marek, kolega Dolfik z politechniki? Istotnie, w ogłoszeniu jest: inż. R. Marek. Dolfik, ty łobuzie, to ty tak? Czy to możliwe? O biedaku, ładnie się dorobił! Żeby sprzedawać »bardzo korzystne wynalazki«, ha, ha! »z przyczyn osobistych«. Znamy takie »przyczyny osobiste«. Brak ci forsy, prawda? Chciałbyś złapać jakiegos przemysłowego wróbla na jakiś psunabudesowy<sup>3</sup> patent. No, zawsze miałeś kielbice we łbie, zawsze ci się zdawało, że wywrócisz świat do góry nogami. Ech, kolego kochany, gdzie to się pozapodziwały nasze światoburcze myśli. Gdzie jest nasza wspaniała, szarlatańska młodość!”

Prezes Bondy wyciągnął się wygodnie. „A może to naprawdę Marek?” — myślał. „Ale Marek był to łeb naukowy. Troszkę może gaduła, no tak, ale było w tym łobuzie coś genialnego. Miał myśli. Ale poza tym straszliwie niepraktyczny człowiek. Właściwie kompletny fujara. Jakie to dziwne, że nie jest profesorem — myślał dalej pan Bondy. — Przez lat dwadzieścia nie spotkałem go ani razu. Bóg raczy wiedzieć, co robił przez cały ten czas. Może całkiem zszedł na psy. Na pewno zszedł na psy. Mieszka aż w Brzewnowie, biedaczek... i utrzymuje się z wynalazków! Straszny upadek!”

Pan Bondy próbował przedstawić sobie nędzę upadłego wynalazcy. Udało mu się wymyślić sobie straszliwie kudłatą, nieczesaną głowę. Jako tło, ściany są ponure i papierowe jak w filmie. Mebli nie ma; w kącie materac, na stole nędzny model ze szpulek, gwoździ i zużytych zapalek, przez brudne okienko widać podwórko. I w tę niewypowiedzianą nędzę wkracza gość w futrze. „Idę obejrzyć pański wynalazek”. Ślepowy wynalazca nie poznaje starego kolegi; pokornie chyli kudłatą głowę, rozgląda się, gdzie by tu usadowić rzadkiego gościa, a potem, dobry Boże! — skostniałymi palcami próbuje wprawić w ruch swój żalosny wynalazek, jakieś śmieszne perpetuum mobile, i nieśmiało gada, gada jak to powinno chodzić, jak by to na pewno, całkiem na pewno, chodziło, gdyby, gdyby miał — gdyby mógł kupić... Gość w futrze rozgląda się po ubożutkim stryszku i nagle wyjmując z kieszeni skórzany portfel i kładzie na stole tysiączkę, jeszcze jedną („Dosyć będzie!” — przeraził się pan Bondy swą rozrzutnością, ale kładzie jeszcze jedną). No, tysiączka wystarczyłaby najzupełniej — myśli coś wewnątrz pana Bondy’ego — przynajmniej na razie... „Masz pan tu na dalsze prace, panie Marku. Nie, nie, do niczego pan nie jest wobec mnie zobowiązany. Co? Kim jestem? To wszystko jedno. Dajmy na to, że jestem pańskim przyjacielem”...

Pan Bondy był bardzo zadowolony z siebie i wzruszony tym obrazem. „Poślę do Marka swego sekretarza” — postanowił. — „Natychmiast, albo zaraz jutro. A co będę robił dzisiaj? Jest święto, do fabryki nie pójdę. Jestem właściwie wolny. Ach te małe stosunekzki! Żeby przez cały dzień nie mieć nic do roboty! A może bym ja sam dzisiaj”...

G. H. Bondy zawahał się. Byłaby to całkiem niezwykła przygoda, gdyby poszedł popatrzeć z bliska na nędzę dziwaka w Brzewnowie.

„Ostatecznie byliśmy takimi dobrymi przyjaciółmi! I wspomnienia mają przecież także swoje prawa. Pojadę!” — zdecydował pan Bondy i pojechał.

Trochę się potem nudził, gdy jego samochód ślizgał się po całym Brzewnowie, szukając najnędźniejszego domku pod numerem 1651. Musiał nawet dowiadywać się w policji.

— Marek? Marek? — powtarzał inspektor, grzebiąc w swej pamięci. — To chyba będzie inżynier Rudolf Marek, Marek i Spółka, fabryka żarówek, ulica Mixa 1651. — Fabryka żarówek? — Prezes Bondy był rozczarowany, a nawet rozgoryczony. Jak to, Ru-

<sup>3</sup>psunabudesowy — przymiotnik utworzony od określenia rzeczy mało wartej, według którego nadaje się ona tylko psu na budę. W oryginale czeskim w tym miejscu: *usmolený*. [przypis edytorski]

dolf Marek nie mieszka na strychu? Jest fabrykantem i „z przyczyn osobistych” sprzedaje jakiś patent! Ej, kolego, to zalatuje plajtą, jakem Bondy.

— Nie wie pan, jak się panu Markowi powodzi? — zapytał jakby od niechcenia inspektora policji, gdy sadowił się w samochodzie.

— O, znakomicie! — odpowiedział inspektor. — Fabryka bardzo niczego sobie. Sławna firma — dodał pełen dumy lokalnego patriotyzmu. — Bogaty pan — objaśnił dodatkowo — i strasznie uczony. Ile on robi eksperymentów!

— Ulica Mixa! — zawołał pan Bondy, zwracając się do szofera.

— Trzecia ulica w prawo! — wołał inspektor za samochodem.

I oto pan Bondy dzwoni u drzwi mieszkalnego skrzydła całkiem przyzwoitej fabryki. Dokoła czyściutko, zagonki i klomby, na murze dzikie wino.

— Hm — medytował pan Bondy — jakiś taki humanitaryzm i reformizm tkwił w tym Marku już zawsze.

Lecz oto na spotkanie gościa wychodzi na schody sam Marek, Rudolf Marek. Jest bardzo chudy i poważny, wzniosły jakiś czy co. Bondy czuje jakieś ssanie koło serca, że Marek nie jest już taki młody, jak był, ani taki straszliwie kudłaty, jak ów wyobrażany wynalazca, że jest całkiem inny niż wszystko, o czym pan Bondy myślał, a nawet niełatwy do poznania. Ale zanim jeszcze zdołał uświadomić sobie w pełni swoje rozczarowanie, inżynier Marek wyciąga do niego rękę i mówi z cicha:

— No, przychodzisz nareszcie, kolego! Wyglądałem cię!

## 2. KARBURATOR

— Wyglądałem cię! — powtórzył Marek, usadowiwszy gościa w skórzanym klubowym fotelu. Za żadne skarby świata nie byłby się Bondy przyznał do swych wyobrażeń o upadłym wynalazcy.

— Widzisz — zmuszał się po trosze do radości — to taki przypadek! Dzisiaj rano przyszło mi na myśl, że już dwadzieścia lat się nie widzieliśmy! Pomyśl, przyjacielu, dwadzieścia lat!

— Hm — mruknął Marek. — Więc ty chcesz kupić mój wynalazek?

— Kupić? — zawahał się Bondy. — Doprawdy sam nie wiem... Nawet o tym nie myślałem. Chciałem się z tobą zobaczyć i...

— E, daj spokój i nie udawaj! — przerwał Marek. — Ja wiedziałem, że przyjdiesz. Za taką rzeczą warto pochodzić. Na pewno. Taki wynalazek jest w sam raz dla ciebie. Z tego można zrobić... — machnął ręką, odchrząknął i mówił spokojnie. — Wynalazek mój, który ci zaprezentuję, jest daleko większym przewrotem w świecie techniki, niż wynalazek maszyny parowej Watta. Jeśli mam być zwięzły w określeniu jego istoty, to wyrażając się teoretycznie, chodzi o całkowite wykorzystanie energii atomowej...

Bondy ziewnął ukradkiem.

— A co robiłeś w ciągu tych dwudziestu lat?

Marek spojrział na niego trochę zdziwiony.

— Wiedza współczesna twierdzi, że materia, to jest atomy, składają się z ogromnej masy jednostek energii, atom to właściwie skupisko elektronów, czyli najmniejszych elektrycznych cząstek...

— To jest strasznie interesujące — przerwał mu Bondy. — Wiesz sam, że w fizyce byłem zawsze słaby. Ale ty, Marku, wyglądasz nietęgo! W jaki sposób doszedłeś właściwie do tej zabaweczki, to jest, właściwie, do tej fabryki?

— Ja? Zupełnie przypadkowo. Wynalazłem mianowicie całkiem nowy rodzaj drucików do żarówek... Ale to głupstwo, to mi tak wlało w ręce całkiem przypadkowo. Bo ja już od lat dwudziestu pracuję nad zagadnieniem spalania materii. No powiedz sam, kolego, jakie jest największe zagadnienie współczesnej techniki?

— Handel — odpowiedział prezes Bondy. — Ożeniłeś się?

— Jestem wdowiec — odpowiedział Marek i zerwał się wzburzony. — Handel! Nie handel, rozumiesz? Spalanie! Doskonałe wykorzystanie energii cieplnej, która jest w materii! Pomyśl, że z węgla wypalamy zaledwie jedną stutysięczną tego, co moglibyśmy wypalić, gdyby... Rozumiesz?

— Owszem, węgiel jest strasznie drogi — zauważył pan Bondy bardzo mądrze.

Marek usiadł i rzekł poirytowany:

— Jeśli nie przyszedłeś tu z powodu mego Karburatora, to możesz sobie iść, mój Bondy.

— Nic, nic, mów dalej — rzekł pan Bondy wielce pojednawczo.

Marek wsparł głowę na rękę.

— Dwadzieścia lat nad tym pracowałem — wyrwało mu się z piersi ciężkie westchnienie — a teraz sprzedam to pierwszemu lepszemu, kto przyjdzie! Moje ogromne marzenie! Największy z dotychczasowych wynalazków! Naprawdę, Bondy, to straszna rzecz.

— Z pewnością, jak na nasze małe stosuneczki! — przyświadczył Bondy.

— Nie, to jest w ogóle straszna rzecz. Pomyśl tylko, że możesz wykorzystać atomową energię całkowicie, bez reszty!

— Aha! — zawołał prezes Bondy. — Będziemy palić atomami. Czemu nie, owszem, można atomami. Bardzo tu ładnie u ciebie, Dolfiku. Małe to, ale ładne. Ilu masz robotników?

Marek nie słuchał.

— Wiesz — mówił w zamyśleniu — to na jedno wychodzi, czy powiesz: wykorzystanie energii atomowej, czy też: spalanie materii. Albo rozbicie materii. Można powiedzieć i tak, i tak.

— Ja jestem za spalaniem — rzekł pan Bondy — słowo to jest takie jakieś cieplejsze.

— Ale ściślej jest „rozbicie materii”. Wiesz, rozbić atom na elektrony i te elektrony zaprząć do roboty. Rozumiesz?

— Najzupełniej — zgodził się pan prezes. — Naturalnie, że należy je zaprząć!

— Pomyśl na przykład, że dwa konie ciągną z całej siły dwa końce liny w przeciwnych kierunkach. Wiesz, co to znaczy?

— Pewno jakiś nowy sport, nie? — domyślał się pan Bondy.

— Nie sport, ale spokój. Konie ciągną, ale nie ruszają z miejsca. Ale gdybyś przeciął linę —

...to konie się zwałą na ziemię! — zawołał pan G. H. Bondy z zapalem.

— Nie, ale rozpedzą się w różne strony, staną się energią wyzwoloną. A teraz uważaj: materia to takie sprężnięte konie. Przetnij więź, która wiąże z sobą elektrony, a one —

— ...się rozpedzą w różne strony.

— Owszem, ale my możemy schwytać je i zaprzęgnąć do roboty, rozumiesz? Albo pomyśl tak: spalamy na przykład kawałek węgla. Otrzymujemy z tego trochę ciepła, ale prócz tego także popiół, gaz węglowy i sadze. W ten sposób materia nie ginie, rozumiesz?

— Rozumiem. Może zapalisz cygaro?

— Nie zapalę. Ale ta materia, która pozostaje, ma jeszcze masę nie zużytej energii atomowej. Gdybyśmy zużyli wszystką w ogóle atomową energię, to zużylibyśmy także atomy. Jednym słowem: materia zniknęłaby.

— Aha. Teraz już rozumiem.

— Jednym słowem jest tak, jak gdybyśmy źle mieli zboże, jak gdybyśmy omieli delikatną górną warstewkę ziarna, a resztę byśmy wyrzucili, jak wyrzucamy popiół. Przy dokładnym przemiale nie pozostaje z ziarna nic, albo prawie nic, prawda? I tak samo przy dokładnym spalaniu materii nie pozostaje z materii nic, albo prawie nic. Wymiele się całkowicie. Zużyje się. Powróci w swoje pierwotne nic. Wiesz, materia potrzebuje straszliwą masę energii na to, aby istnieć. Odbierz jej istnienie, przymuś ją, aby przestała być, a wyzwolisz ogromną masę siły. Tak się rzeczy mają, przyjacielu.

— Aha. To jest całkiem niezłe.

— Pflüger na przykład oblicza, że kilogram węgla zawiera dwadzieścia i trzy biliony kalorii. Sądzę, że Pflüger przesadza.

— Stanowczo.

— Ja sam doszedłem teoretycznie do siedmiu bilionów. Ale i to znaczy, że jeden kilogram węgla przy doskonałym spalaniu mógłby pędzić przyzwoitą fabrykę w ciągu kilkuset godzin.

— Tam do diabła! — zawołał Bondy i zerwał się na równe nogi.

— Dokładnej liczby godzin ci nie podam. Ja już od sześciu tygodni spalam pół kilograma węgla przy obciążeniu trzydziestu kilogramometrów i wierz mi, kolego, maszyna pędzi, i pędzi, i pędzi — wyszeptał Marek blednąc.

Prezes Bondy głaskał w zakłopotaniu brodę, gładką i krągłą jak dziecięcy zadek.

— Słuchaj, przyjacielu — zaczął ostrożnie — jesteś, zdaje się, troszeczkę tego ten, przepracowany, że tak powiem.

Marek machnął ręką.

— Et, nic takiego... Gdybyś się choć trochę orientował w fizyce, objaśniłbym ci swój Karburator<sup>4</sup>, w którym spalam węgiel. Ale to cały wielki rozdział współczesnej fizyki. Zresztą sam zobaczysz wszystko w piwnicy na dole. Wsypałem pół kilograma węgla w maszynę, a potem ją zamknąłem i kazałem notarialnie opieczetować wobec świadków, żeby nikt inny nie mógł dosypać węgla. Idź i popatrz na to. Idź już, idź! I tak nic nie zrozumiesz, ale idź do piwnicy. Człowieku, nie marudź i idź!

— Jak to, a ty nie pójdziesz? — pytał zdziwiony Bondy.

— Nie, idź sam. I uważaj, przyjacielu, nie siedź tam zbyt długo...

— Dlaczego? — pytał Bondy podejrzliwie.

— Tak sobie. Możesz sobie pomyśleć na przykład, że... że tam niezdrowo. I zapal sobie lampkę. Przełącznik jest tuż przy drzwiach. Ten hałas w piwnicy, to nie od mojej maszyny, bo ona pracuje całkiem cicho, równo, nie wydaje żadnego zapachu... Tam huczy tylko, hm, taki, uważasz, wentylator. No więc idź, a ja tu poczekam na ciebie. Potem mi powiesz...

\*

Prezes Bondy schodzi do piwnicy zadowolony poniekąd, że pozbył się choć na chwilę tego wariata (przecie nie ulega wątpliwości, że to ciężki wariat) i myśli nad tym, jak by tu zwiać co prędzej. Ale patrzajmy<sup>5</sup>: piwnica ma uszczelnione ogromnie grube drzwi, zupełnie takie, jakie widuje się w pancernych kasach wielkich banków. Dobrze, zapalmy lampkę. Przełącznik jest tuż przy drzwiach. W betonowym sklepieniu, czyściutkim niby cela klasztorna, leży na betonowych podbudówkach olbrzymi miedziany wał. Jest całkowicie zamknięty ze wszystkich stron, tylko u góry jest kratka opatrzona pieczęciami. W maszynie ciemno i cisza. Z maszyny prawidłowym i ślizgowym ruchem wybiega tłok obracający z wolna ciężkie koło rozpędowe. To wszystko. Tylko wentylator terkocze w piwnicznym oknie niezmordowanym ruchem.

Może to przewiew od tego wentylatora, czy co... Pan Bondy czuje na czole jakiś osobliwy muskający wiew i ma uczucie, jakby mu się jeżyły włosy. A teraz jest mu tak, jakby był unoszony skroś<sup>6</sup> bezmierny przestwór. A teraz, jakby leciał, nie czując własnego ciężaru. G. H. Bondy klęczy w stanie jakiegoś strasznego uczucia błogości, chciałby krzyczeć i śpiewać, wydaje mu się, że słyszy szum niezmiernych i niezliczonych skrzydeł. Ale nagle ktoś chwyta go mocno za rękę i wyciąga z piwnicy. To inżynier Marek. Ma na głowie kukłę, czy skafander jak nurek, i ciągnie Bondy'ego po schodach na górę. W przedpokojku zdejmuje metalową kukłę i ociera pot perlący mu się na czole.

— Był najwyższy czas — westchnął głęboko wzburzony.

### 3. PANTEIZM

Prezes Bondy miał takie uczucie, jakby śnił. Marek ułożył go z macierzyńską pieczołowitością w fotelu i szukał koniaku.

— Masz, wypij to zaraz — mówi podając mu rozdygotaną ręką kieliszek. — Prawda, że i tobie zrobiło się źle?

<sup>4</sup>karburator — nazwa ta, jaką inżynier Marek dał swemu atomowemu kotłowi, jest zupełnie nieprawidłowa. Jest to jeden z pożałowania godnych następstw tego, że technicy nie uczą się łaciny. Lepszą nazwą byłby komburator, atomkettle, carbowatt, disgregator, motor M. Bondymover, Hylergon, Molekularstoffzersetzungskraftrad, E. W. i inne podobne nazwy, które były później proponowane. Przyjęła się, oczywiście, nazwa najmniej właściwa. [przypis autorski]

<sup>5</sup>patrzajmyż — dziś raczej: patrzmy (t os. lm. tr.rozkaz.); na końcu wyrazu dodana została partykuła wzmacniająca -ż. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>skroś — przez, poprzez. [przypis edytorski]

— Przeciwnie — mówi jakimś niepewnym głosem Bondy. — Było to takie piękne, człowieku, że... Było mi tak, jakbym latał, czy co?

— Tak, tak — rzekł Marek szybko — właśnie o tym mówię. Jakbyś latał, albo w ogóle jak gdybyś się wznosił, prawda?

— Ogromnie miłe uczucie — stwierdził pan Bondy. — Zdaje się, że to nazywają natchnieniem. Jakby tam było coś — coś takiego...

— ... świętego? — pytał Marek niepewnym głosem.

— Może. A nawet całkiem na pewno, kolego. Ja, uważasz, nigdy nie chodzę do kościoła, nie, w ogóle nie chodzę, ale w tej — twojej piwnicy było mi tak, jakbym był w kościele. Proszę cię, co ja tam robiłem?

— Klęczałeś — warknął Marek z cierpkim wyrzutem i zaczął chodzić po pokoju.

Prezes Bondy w zakłopotaniu głaskał się po łysinie.

— To dziwne. Co ty gadasz! Że niby ja klęczałem? I proszę cię, co właściwie, co w tej piwnicy... tak dziwnie oddziaływa<sup>7</sup> na człowieka?

— Karburator — warknął Marek, zagryzając wargi. Twarz jego wydawała się jeszcze chudsza i jakby sinawa.

— Tam do diabła — dziwił się Bondy. — Ale co i jak?

Inżynier Marek wzruszył tylko ramionami i dalej chodził po pokoju z opuszczoną głową.

G. H. Bondy przyglądał mu się z dziecięcym podziwem. — Marek to wariat — myślał. — Ale co się dzieje z człowiekiem w tej jego piwnicy? Taka słodka błogość, taka ogromna pewność siebie, przestach, przytłaczająca pobożność, czy coś takiego. Pan Bondy powstał i nalał sobie jeszcze jeden kieliszek.

— Wiesz, Marku, co? Już wiem.

— Co wiesz? — wyrwało się Markowi. Przestał chodzić.

— O tej twojej piwnicy. Już wiem, skąd się biorą te dziwne stany psychiczne. Pewno jakieś zatrucie, tak?

— Zatrucie na pewno — roześmiał się Marek wściekle.

— Zaraz to sobie pomyślałem — oświadczył Bondy i od razu się uspokoił. — Więc ten twój aparat wytwarza coś takiego w guście ozonu, prawda? Albo raczej jakiś gaz trujący. I gdy się człowiek tego nawdycha, to potem... troszeczkę go to... przytruje... czy może rozweseli. Prawda? Stanowczo, kolego, nic tu nie ma innego, tylko gazy trujące. Wyzwalają się niezawodnie przez spalanie węgla w tym... w tym twoim Karburatorze. Pewno jakiś gaz świetlny, albo gaz rozweselający albo może fosgen<sup>8</sup>... Jednym słowem coś takiego. I dlatego masz tam ten wentylator. I dlatego też chodzisz do piwnicy w masce przeciwgazowej, prawda? Tam są jakieś piekielne gazy.

— Gdyby to były tylko gazy! — wybuchnął Marek, zaciskając pięści. — Widzisz, bracie, i dlatego muszę ten Karburator sprzedać! Bo po prostu ja tego nie zniosę, nie zniosę, mówię ci! — wołał niemal z płaczem. — Nawet nie przypuszczałem, że mój Karburator będzie mi wyrabiał takie kawały! Takie straszne... straszne świństwa! I pomyśl tylko, wyrabia mi takie rzeczy od samego początku! I każdy, kto tylko się zbliży, czuje to samo. Ty jeszcze nic nie wiesz, przyjacielu, ale mój dozorca domowy zapłacił za to bardzo drogo.

— O, biedak — zaniepokoił się pan prezes, pełen współczucia. — Umarł od tego?

— Umarł nie umarł, ale się nawrócił! — zawołał Marek zrozpaczony. — Tobie jedynemu, drogi kolego, to opowiem: mój wynalazek, mój Karburator ma straszliwą wadę. Ale ty go kupisz i tak, albo przyjmiesz ode mnie w prezencie. Na pewno go kupisz, choćby się z niego diabły sypały. Tobie, kolego, wszystko jedno, jeśli tylko da się zarobić parę miliardów. Ty je zarobisz, człowieku! Tu jest ogromna rzecz, ale ja nie chcę mieć z nią nic do czynienia. Ty nie masz sumienia tak wrażliwego, jak ja, mój Bondy, prawda? Miliardy na tym zarobisz, tysiące miliardów! Ale musisz wziąć na swoje sumienie straszliwe zło. Zdecyduj się!

<sup>7</sup>oddziaływa — dziś częstsza forma 3 os. lp. cz. ter.: oddziałuje. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>fosgen — COCl<sub>2</sub>, silnie trujący gaz, powstający z reakcji tlenku węgla z chlorem, wykorzystywany w produkcji barwników i tworzyw sztucznych; w czasie I wojny najczęściej używany gaz bojowy. [przypis edytorski]

— Nie zwracaj głowy! — bronił się Bondy. — Jeśli tu chodzi o gazy trujące, władze to zakażą i po krzyku. Sam znasz nasze małe stosunki. Gdyby to było na przykład w takiej Ameryce, o...

— Tu nie ma żadnych gazów trujących — odpowiedział inżynier Marek. — Jest coś tysiąc razy gorszego. Uważaj, Bondy, co ci teraz powiem: przechodzi to ludzki rozum, ale szwindlu nie ma w tym ani za grosz. No więc ten mój Karburator spala materię naprawdę, tak doszczętnie, że nie pozostaje z niej ani pyłek... Albo ściśle rozbija ją, rozprasza, rozkłada na elektrony, spożywa, miele, nie wiem po prostu, jak to nazwać. Jednym słowem zużywa całkowicie. Nawet pojęcia nie masz, jaka olbrzymia siła tkwi w atomach. Pół korca węgla wystarczy ci na to, aby opłynąć wielkim statkiem świat dokoła, oświetlać całą Pragę, pędzić największą fabrykę, w ogóle co chcesz. Orzeszkciem węgla będziesz ogrzewał całe mieszkanie i będziesz gotował dla całej rodziny. A wreszcie nie potrzeba ci nawet węgla: zapalimy sobie pierwszy lepszy kamyczek albo garstkę ziemi, po którą sięgniemy przed sienią domu. Każdy kawałek materii zawiera więcej energii niż olbrzymi kocioł parowy. Chodzi tylko o to, żeby ją wyjąć! Żeby umieć materię spalić dokładnie! I wiesz, Bondy, ja to umiem. Mój Karburator to umie. Zgodzisz się ze mną chyba, że taka rzecz warta jest dwudziestu lat pracy.

— Widzisz, przyjacielu — zaczął pan Bondy z wielką rozważą — jest to strasznie dziwne, ale ja ci, uważasz, wierzę. Słowo honoru: wierzę! Kiedym stał przed tym twoim Karburatorem, czułem wyraźnie, że mam przed sobą coś strasznie wielkiego, coś, co człowieka po prostu miażdży. Trudna rada, ale ja ci wierzę. Tam na dole w piwnicy masz coś tajemniczego. Coś takiego, co wywróci cały świat do góry nogami.

— Ale właśnie, kolego — szeptał Marek przygnębiony — w tym właśnie sęk. Poczekaj, ja ci powiem wszystko. Czytałeś kiedy Spinozę?

— Nie czytałem.

— Ja także nie czytałem, ale teraz, uważasz, zaczynam się rozczytywać w takich rzeczach. Nie rozumiem tego, bo dla nas, techników, jest to lektura bardzo trudna, ale co w tym jest. Wierzysz w Boga?

— Ja? Bo ja wiem — zastanawiał się G. H. Bondy. — Jak Boga kocham, nie wiem, czy wierzę. Może Bóg jest, ale na jakiej innej gwiazdzie. U nas nie! Gdzieżby znowu! Do naszych czasów coś podobnego nawet nie pasuje. Sam powiedz, człowieku, co miałyby z nami do czynienia?

— Bo ja nie wierzę — rzekł Marek twardo. — Ja nie chcę wierzyć. Zawsze byłem ateistą. Wierzyłem w materię i w postęć i w nic innego. Jestem człowiekiem nauki, kolego, a wiedza nie dopuszcza Boga.

— Ze stanowiska handlu — oświadczył pan Bondy — jest to zupełnie obojętne. Jeśli chce, niech sobie istnieje, na zdrowie. My się nawzajem nie wyłączamy.

— Ale ze stanowiska wiedzy — zawołał Marek surowo — jest to całkiem wykluczone. Albo bóstwo, albo wiedza. Ja nie twierdzę, że Boga nie ma, ja tylko twierdzę, że nie może być, a przynajmniej, że nie powinien się manifestować. I wierzę, że wiedza krok za krokiem wypiera go, a przynajmniej ogranicza jego manifestacje. I wierzę, że jest to jej najwyższym posłannictwem.

— Bardzo możliwe — rzekł prezes spokojnie. — Mów dalej.

— A teraz wyobraź sobie, człowieku, że... Albo pozwól, powiem ci to w nieco inny sposób: czy wiesz, co to jest panteizm? Jest to wiara, że we wszystkim, co istnieje, przejawia się jedno bóstwo, albo absolut, jak wolisz. W człowieku i w kamieniu, w trawie, w wodzie, wszędzie. I wiesz, czego naucza Spinoza? Że materia jest tylko manifestacją, czyli tylko jedną stroną boskiej substancji, podczas gdy stroną drugą jest duch. I czy wiesz, czego naucza Fechner?

— Nie wiem — przyznał się Bondy.

— Fechner naucza, że wszystko, w ogóle wszystko jest ożywione, że Bóg ożywia wszystką materię na świecie. A Leibniza znasz? Leibniz głosi, że materia składa się z duchowych cząstek, monad, które w istocie swej są boskie. Co ty na to?

— Nic — rzekł G. H. Bondy. — Nie rozumiem tego.

— Ja także nie rozumiem. Jest to strasznie powikłane. Ale wyobraź sobie, że naprawdę w każdej materii jest Bóg, że jest w niej w jakiś sposób zamknięty. Więc gdy materię na czysto rozbijesz, wyleci z niej niby ze szkatułki. Jest nagle wyswobodzony, uwolniony.

Wiara, Bóg, Idealista,  
Naukowiec, Filozof



Wydziela się z materii, jak gaz świetlny wydziela się z węgla. Spalisz jeden atom i raptem piwnica jest pełna Absolutu. Aż strach po prostu jak szybko się to rozchodzi.

— Zaraz — ozwał się pan Bondy. — Powiedz mi to jeszcze raz, ale powoli.

— Więc pomyśl na przykład — wywodził Marek — że, dajmy na to, w każdej materii jest Absolut w postaci jakiegoś związku, powiedzmy, jako związana bierna energia, albo po prostu, że bóstwo jest wszechobecne, że jest obecne w każdej materii i w każdej cząsteczce materii. A teraz wyobraź sobie, że kawałek materii zniszczysz całkowicie, pozornie bez reszty. Ale ponieważ każda materia jest właściwie materią plus Absolut, zniszczyłeś w gruncie rzeczy tylko materię, a pozostała ci niezniszczalna reszta: czysty, wyzwolony, aktywny Absolut. Pozostało ci residuum<sup>9</sup> nie dające się chemicznie rozłożyć, nie wykazujące spektralnych linii, ani atomowej wagi, ani chemicznego syntetyzmu, ani prawa Mariotta<sup>10</sup>, niczego, zupełnie niczego z właściwości materii. Pozostał czysty Bóg. Chemiczne nic, działające z olbrzymią energią. Ponieważ jest to niematerialne, więc nie jest zależne od praw materii. Już z tego samego wynika, że się to przejawia antynaturalnie i po prostu cudownie. To wszystko wynika z założenia, że Bóg jest obecny w materii. Czy potrafisz sobie wyobrazić, że dajmy na to jest w niej?

— Potrafię — rzekł prezes Bondy. — A dalej?

— Dobrze — przyświadczył Marek wstając — więc naprawdę tak jest.

#### 4. BOSKA PIWNICA

Prezes Bondy z zastanowieniem ssał cygaro. — A w jaki sposób poznałeś to wszystko? — zapytał.

— Na samym sobie — mówił inżynier Marek, zaczynając znowu przechadzać się po pokoju. — Mój Perfect Carburator tym właśnie, że dokładnie spala materię, wyrabia produkt uboczny: czysty, wolny Absolut, bóstwo w stanie chemicznie czystym. Można by rzec, że z jednej strony wydziela mechaniczną energię, z drugiej istotę bóstwa. Zupełnie tak samo, jak gdy rozkładasz wodę na wodór i tlen, tylko że w mierze ogromnie większej.

— Hm — mruknął pan Bondy. — Więc dalej!

— Ja myślę — wywodził Marek bardzo ostrożnie — że niektóre wyjątkowe osobistości potrafią same rozłożyć w sobie substancję materialną i boską. No, jakby to powiedzieć... Umieją wydzielić Absolut z własnej swej materii. Różni tacy cudotwórcy, magowie, fakirzy, media i prorocy, umieją to przy pomocy jakiejś własnej siły psychicznej. Mój Karburator robi to całkiem maszynowo. Jest to powiedzmy fabryka Absolutu.

— Fakty! — rzekł Bondy. — Trzymaj się faktów.

— Więc dam ci fakty. Swój Perfect Carburator zbudowałem zrazu tylko teoretycznie. Potem zrobiłem mały model, który nie chciał chodzić. Dopiero czwarty model naprawdę ruszył z miejsca. Był całkiem malutki, ale chodził bardzo ładnie. I nawet wtedy, gdy budowałem go w tak malutkich rozmiarach, odczuwałem jego specjalne działanie na mnie. Takie cudowne stany wesołości i dziwnego czasu. Ale ja myślałem, że to jest tylko radość z powodu wynalazku, czy też może skutki przeciążenia. Wtedy właśnie pierwszy raz zacząłem prorokować i robić cuda.

— Co ty wygadujesz? — zawołał prezes Bondy.

— Prorokowałem i robiłem cuda — powtórzył Marek i zasępił się. — Miewałem chwile strasznego oświecenia. Widziałem na przykład całkiem jasno, co się stanie w przyszłości. I twoją dzisiejszą wizytę sobie wyprorokowałem. Pewnego razu przy towarce zdarłem sobie paznokieć. Patrzyłem na poraniony palec i widziałem, jak narasta mi paznokieć nowy. Widocznie życzyłem sobie tego, ale było to dziwne i — straszne. Albo wyobraź sobie, że wznosiłem się w górę i chodziłem w powietrzu. To się nazywa lewitacja. Nigdy w takie głupstwa nie wierzyłem. Możesz sobie wyobrazić, jak się przeraziłem.

— Wyobrażam sobie — rzekł Bondy poważnie. — To musi być przykre.

<sup>9</sup>residuum a. rezjduum (łac. *residuum*: pozostałość) — tu termin używany w geologii: to, co pozostaje po wypłukaniu łatwiejszych do usunięcia frakcji osadu, gleby albo skały. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>prawo Mariotta, właśc. *prawo Boyle'a-Mariotte'a* — prawo dotyczące własności substancji w stanie gazowym (w pełni prawdziwe tylko dla gazu doskonałego): *W stałej temperaturze objętość danej masy gazu jest odwrotnie proporcjonalna do jego ciśnienia*. Prawo to sformułowali niezależnie od siebie dwaj uczeni, Robert Boyle (1627–1691) i Edme Mariotte (1620–1684). [przypis edytorski]

— Ogromnie przykre. Myślałem, że to coś nerwowego, autosugestia, czy coś w tym rodzaju. Tymczasem zbudowałem ten duży Karburator, co stoi w piwnicy, i wprawiłem go w ruch. Jak ci już powiedziałem, chodzi już sześć tygodni dniem i nocą. I tu dopiero poznałem w pełni całą doniosłość tej rzeczy. W ciągu jednego dnia cała piwnica była nabita Absolutem jak armata i co gorsza, zaczęło się to rozlać po całym domu. Uważasz, czysty Absolut przenika każdą materię, ale materię grubą nieco wolniej. W powietrzu rozchodzi się szybko, jak światło. Kiedym wszedł do piwnicy, opadło mnie to niby atak jakiejś choroby. Krzychałem na cały głos. Nawet nie wiem, skąd wzięłem tyle siły, by uciec. Tutaj u siebie zacząłem o całej sprawie rozmyślać. Pierwszą moją myślą było, że chodzi tu o jakiś nowy, upajający, czy rozweselający gaz, który powstaje przy doskonałym spalaniu materii. Dlatego kazałem z zewnątrz dorobić ten wentylator. Dwaj z moich monterów popadli przy tym w stan oświecenia; trzeci był alkoholikiem i być może, że to go trochę immunizowało<sup>11</sup>. Dopóki sądziłem, że tu chodzi jedynie o gaz, robiłem różne doświadczenia. Ciekawe, że w Absolutcie każde światło wydaje daleko większy blask. Gdyby można było utrzymać go w szklanej gruszce, napełniałbym tym żarówkę. Ale on się ulatnia z każdego naczynia choćby nie wiem jak uszczelnionego. Potem przyszło mi na myśl, że to jest jakieś promieniowanie XY, ale nie ma tu ani śladu jakiejś elektryczności, a na świetłoczułych płytkach nie zaznacza się nic a nic. Na trzeci dzień musieli mego dozorcę domowego zawieźć do sanatorium, bo mieszkał akurat nad piwnicą. Jego żona także... zaniemogła.

— Dlaczego do sanatorium? — nastawał Bondy.

— Nawrócił się. Miał natchnienie. Wygłaszał mowy religijne i robił cuda. Jego żona prorokowała. Dozorca ten był człowiekiem bardzo porządnym, monistą i wolnomyślicielem, no, bardzo porządny to był człowiek. Wyobraź sobie, że ni z tego, ni z owego zaczął uzdrawiać ludzi wkładaniem rąk. Oczywiście, został natychmiast oskarżony. Lekarz powiatowy, mój przyjaciel, był bardzo wzburzony. Kazałem go zawieźć do sanatorium, żeby położyć kres zgorzeniu. Podobno już mu lepiej, wyzdrowiał i stracił moc czynienia cudów. Poślę go jeszcze na wieś jako rekonwalescenta. Ja sam zresztą zacząłem czynić cuda i stałem się jasnowiedzem. Między innymi miałem wizje ogromnych lasów skrzypowych na moczarach z dziwnymi zwierzętami. Może dlatego, że spalałem w Karburatorze węgiel górnośląski, który jest najstarszy. Jest w nim niezawodnie bóstwo węgla kamiennego.

Prezes Bondy otrząsnął się.

— Ależ to straszne, mój Marku! — zawołał.

— Straszne — zgodził się Marek ponuro. — Powoli przychodziło zrozumienie, że nie chodzi tu o gaz, ale o Absolut. Cierpiałem okropnie, miałem jakieś niepojęte objawy. Czytałem ludzkie myśli, wydawałem z siebie światło, musiałem z sobą strasznie walczyć, aby nie zacząć się modlić i głosić wiarę w Boga. Chciałem cały ten Karburator zasypać piaskiem, ale wpadłem w stan lewitacji.

Nie można tej maszyny zatrzymać niczym. Już w domu nie sypiam. I w fabryce wśród robotników przytrafiły się ciężkie przypadki oświecenia. Już nie wiem, co mam robić, przyjacielu. Naturalnie, że wypróbowałem wszystkie możliwe materiały uszczelniające, które mogłyby nie przepuszczać Absolutu z piwnicy na świat. Popiół, piasek, metalowe płyty, ale nic tu nie poradzisz. Próbowałem obłożyć piwnicę pismami profesora Krejczego<sup>12</sup>, Spencera<sup>13</sup>, Haeckla<sup>14</sup>, pozytywistami. Pomyśl, przyjacielu, że Absolut przebija się łatwo i przez takie rzeczy! Nawet gazety, książki do nabożeństwa, święty Wojciech, patriotyczne śpiewniki, wykłady uniwersyteckie, książki Q. M. Vyskočila<sup>15</sup>, broszury po-

<sup>11</sup>immunizować — uodpornić. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>Krejczy — nazwisko to nosiło (lub nosi) wielu wybitnych Czechów, w czasach powstania *Fabryki Absolutu* mogli to być m.in.: František Krejčí (1858–1934), psycholog, filozof i polityk; František Václav Krejčí (1867–1941), pisarz, dziennikarz i polityk; Jan Krejčí (1868–1942), językoznawca, rektor uniwersytetu Masaryka. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>Herbert Spencer (1820–1903) — ang. filozof i socjolog. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>Ernst Haeckel (1834–1919) — niem. filozof i biolog, zwolennik darwinizmu. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Quido Maria Vyskočil (właśc. Antonín Ludvík Vyskočil; 1881–1969) — czeski pisarz, poeta, bibliotekoznawca i scenarzysta filmowy, autor licznych dzieł literackich, z których najbardziej znane są utwory inspirowane legendami z folkloru górników z jego rodzinnego Příbramia, *Stříbrné město* (1910) i *Šachta* (1927). [przypis edytorski]

lityczne i stenogramy sejmowe nie są dla Absolutu nieprzepuszczalne! Jestem wprost zrozpaczony. Nie daje się to ani zamknąć, ani wyssać. Po prostu jakieś rozpięte zło.

— Wolnego, mój drogi — rzekł pan Bondy. — Czy to naprawdę aż tak wielkie zło? Nawet gdyby istotnie tak było, jak powiadasz... czy to znowu tak wielkie nieszczęście?

— Słuchaj, Bondy, mój Karburator to rzecz ogromna. Wywróci do góry nogami cały świat, pod względem technicznym i społecznym; koszty produkcji potanieją niesłychanie, zniknie nędza i głód, a kiedyś tam mój Karburator ochroni naszą planetę przed zmarzeniem. Ale z drugiej strony rzuca on w świat bóstwo jako produkt uboczny. Zaklinam cię, przyjacielu, nie lekceważ tego. My nie przywykliśmy do obcowania z prawdziwym bóstwem. Nawet pojęcia nie mamy, ile mogłaby nabroić jego obecność, powiedzmy kulturalnie, moralnie i tam dalej. Człowieku, tu chodzi przecie o ludzką cywilizację!

— Zaraz, zaraz — rzekł prezes Bondy zamyśliwszy się. — Może istnieją takie zaklęcia. Czy już wzywałeś księży?

— Jakich księży?

— Byle jakich. Przecież o wyznanie tu chodzić nie może. Potrafiliby może zakazać to i owo.

— Zabobony! — wybuchnął Marek. — Dajże ty mi spokój z klechami! Żeby mi w mojej uczciwej piwnicy urządzili jakie cudami słynące pielgrzymowisko! U mnie, przy moich poglądach!

— Dobrze — zgodził się pan Bondy. — To ja sam ich poproszę. Człowiek nigdy nie wie, co się może przydać... Zaszkozić taka rzecz w żadnym razie nie może. Ostatecznie, ja przeciwko Bogu nic nie mam. Chodzi o to, żeby nie było zakłóceń w pracy. Czy próbowałeś załatwić rzecz po dobremu?

— Nie! — zaprotestował inżynier Marek.

— To źle — rzekł sucho prezes Bondy. — Może dałoby się zawrzeć z Absolutem jakąś umowę. Bardzo ścisły kontrakt, mniej więcej taki: — Zobowiązujemy się wyrabiać Cię bez rozgłosu, bez zakłócania pracy, w rozmiarach, jakie ustalimy; Ty w zamian zobowiążesz się, iż zrzekasz się wszystkich boskich manifestacji w zasięgu tyłu a tyłu metrów od miejsca produkcji. — Jak uważasz, czy zgodziłby się na to?

— Nie wiem — odpowiedział Marek z niesmakiem. — Zdaje się, iż podobało mu się specjalnie istnieć dalej niezależnie od materii. Może by on... we własnym interesie... pozwolił pogadać z sobą. Ale ode mnie tego nie żądaj.

— Dobrze — zgodził się Bondy. — Poślę swego notariusza. Bardzo taktowny i zręczny człowiek. A poza tym, może dałoby się zaproponować mu jaki kościół. Przecież taka fabryczna piwnica, w takim otoczeniu, jest dla niego trochę nie tego... nieodpowiednia. Należałoby wy badać jego upodobania. Próbowałeś tego już?

— Nie. Najchętniej zalałbym piwnicę wodą.

— Nie tak prędko, mój Marku! Ja twój wynalazek niezawodnie kupię. Oczywiście, sam rozumiesz, że poślę tu jeszcze swoich techników... Rzecz trzeba dobrze zbadać. Być może, iż jest to naprawdę tylko gaz trujący. Ale choćby to był nawet sam Absolut, nic mnie to nie obchodzi, jeśli Karburator pracuje, jak się patrzy.

Marek wstał.

— Odważyłbyś się korzystać z Karburatora w fabrykach MEAS?

— Odważę się wyrabiać Karburatory masowo — odpowiedział Bondy powstając. — Karburatory dla pociągów i okrętów, Karburatory do centralnego ogrzewania, Karburatory dla gospodarstw i urzędów, dla fabryk i szkół. Za lat dziesięć będzie się paliło tylko w Karburatorach. Proponuję ci trzy procent z zysku brutto. Za pierwszy rok otrzymasz pewno tylko parę milionów. Tymczasem możesz się wyprowadzić, żebym mógł posłać tu swoich ludzi. Jutro rano przywiozę tu pana biskupa. Zejdź mu z drogi, kolego. W ogóle dobrze zrobisz, jeśli znikniesz. Jesteś troszkę przykry. Nie chciałbym popsuć swoich stosunków z Absolutem zaraz na początku.

— Bondy! Przyjacielu! — szeptał Marek pełen zgrozy — ostrzegam cię po raz ostatni: sprowadzisz Boga na świat.

— W takim razie — rzekł Bondy dostojnie — będzie mi za to chyba wdzięczny. Liczę na to, że nie okaże się sknerą wobec mnie.

Obrzędy, Interes

## 5. PAN BISKUP

W jakie dwa tygodnie po Nowym Roku siedział inżynier Marek w gabinecie prezesa Bondy'ego.

— Jak daleko jesteście panowie? — zapytał prezes Bondy podnosząc głowę znad papierów.

— Ja skończyłem — odpowiedział inżynier Marek. — Dałem twoim inżynierom szczegółowe wykresy Karburatora. Ten łysy, jak to on się nazywa.

— Krolmus.

— Aha, inżynier Krolmus, bajecznie uprościł mój atomowy motor. Chodzi o przemianę energii atomowej w pracę. Bajeczny chłop z tego Krolmusa. Co nowego poza tym? Prezes Bondy pisał i milczał.

— Budujemy — rzekł po chwili. — Siedem tysięcy murarzy. Budujemy fabrykę Karburatorów.

— Gdzie?

— Na Wysoczanach<sup>16</sup>. I powiększyliśmy kapitał akcyjny o półtora miliarda. Gazety piszą coś o naszym nowym wynalazku. Przejrzyj to sobie — dodał i rzucił Markowi na kolana stos czeskich i zagranicznych pism, po czym zagłębił się w jakichś papierach.

— Już dwa tygodnie nie byłem w swej... ech... — odezwał się Marek głosem zduszonym.

— Gdzie nie byłeś?

— W swojej fabryczce... Nie mam odwagi po prostu. Czy tam się coś dzieje?

— Hm.

— A co porabia mój Karburator? — pytał Marek, przezwyciężając niepokój.

— Chodzi, jak się patrzy.

— A... co porabia... tamto?

Prezes westchnął i odłożył pióro.

— Czy wiesz, że musieliśmy zamknąć ulicę Mixa?

— Dlaczego?

— Ludzie chodzili tam modlić się. Całe tłumy, chociaż policja ich rozpędzała. Mamy siedmiu zabitych. Pozwolili walić w siebie jak owce.

— Tego należało się obawiać, tak, tego należało się obawiać — mamrotał zrozpaczony Marek.

— Ogrodziliśmy ulicę drutem kolczastym — mówił Bondy dalej. — Sąsiednie domy trzeba było ewakuować. Same ciężkie objawy religiomanii. W tej chwili jest tam komisja ministerstwa zdrowia i ministerstwa oświaty.

— Mam nadzieję — westchnął Marek z uczuciem ulgi — że władze wstrzymają działalność Karburatora.

— Nic podobnego — rzekł G. H. Bondy. — Klerykałowie bardzo się burzą przeciwko twemu Karburatorowi i dlatego stronnictwa postępowe stają w jego obronie na złość. Właściwie nikt nie wie, o co tam chodzi. Widać zaraz, że nie czytujesz gazet, człowieku. Przerodziło się to wszystko w całkiem zbędną polemikę z klerykałami. Ten zacny pan biskup poinformował o wszystkim kardynała-arcybiskupa...

— Co za pan biskup?

— Niejaki biskup Linda, całkiem dorzeczny człowiek. Wiesz, zawiozłem go tam, żeby się przyjrzał temu cudownemu Absolutowi jako fachowiec. Badał całą tę sprawę przez trzy dni, siedział ciągle w piwnicy i...

— Nawrócił się? — wyrwało się Markowi.

— Gdzie tam! Jest widać tak wytrenowany w sprawach Absolutu, albo też jest z niego jeszcze piekielniejszy ateista niż z ciebie. Nie wiem tego. Ale po trzech dniach przybiegł do mnie i powiada, że z katolickiego stanowiska nie może być o żadnym Bogu mowy, że kościół odrzuca stanowczo hipotezę panteistyczną jako heretycką. Jednym słowem, że tu nie ma żadnego legalnego Boga, popartego autorytetem kościoła i że jako ksiądz musi uważać wszystko za oszustwo, fałsz i kacerstwo. Bardzo rozsądnie gadał ten pater.

— Więc on tam nie wyczuł żadnych nadnaturalnych zjawisk?

<sup>16</sup>Wysoczaný — miejscowość przyłączona do Pragi w 1922 r. [przypis edytorski]

— Wszystko tam przeżył: oświecenie, czynienie cudów, ekstazę, wszystko. On nie twierdzi, że te rzeczy się tam nie dzieją.

— No więc proszę cię, jak on to objaśnia?

— Nijak. Powiada, że kościół niczego nie objaśnia, ale nakazuje, albo zakazuje. Jednym słowem ani myśli kompromitować kościoła jakimś nowym niedoświadczonym bóstwem. Tak go przynajmniej rozumiałem... — Czy wiesz, że kupiłem ten kościół, co jest na Białej Górze?

— Na co ci kościół?

— Jest najbliżej Brzewnowa. Trzysta tysięcy zapłaciłem, człowieku. Zaproponowałem go Absolutowi tam w piwnicy, ustnie i na piśmie, aby się do niego przeprowadził. Jest to całkiem ładny barokowy kościół. Prócz tego z góry oświadczyłem się z gotowością każdej potrzebnej adaptacji. I rzecz dziwna, o parę kroków od kościoła pod policyjnym numerem 457 zdarzył się onegdaj bardzo ładny przypadek ekstazy z pewnym instalatorem, ale w kościele nic cudownego, nic i nic! Jeden przypadek zdarzył się aż w Wokowicach<sup>17</sup>, dwa nawet w Kosirzach<sup>18</sup>. W radiostacji petrzyńskiej wybuchła wprost epidemia religijna: wszyscy radiotelegraści, którzy tam pracują, rozsyłali, ot tak sobie, do całego świata ekstatyczne depesze, niby jakąś nową ewangelię. Że niby Bóg schodzi znowu na świat, aby go odkupić i tam dalej w tym guście. Pomyśl, co za kompromitacja! Postępowa prasa bije w ministerstwo poczt i telegrafów, aż paździory lecą. Krzyczy, że klerykalizm wysuwa rogi i głosi podobne dyrdymałki. Nikt dotychczas ani się domyśla, że ma to związek z Karburatorem. Wiesz, Marku — dodał Bondy szeptem — coś ci powiem, ale to wielki sekret: tydzień temu przytrafiło się coś naszemu ministrowi wojny.

— Jakiemu ministrowi? — krzyknął Marek.

— Cicho! Ministrowi wojny. Doznał nagłego oświecenia w swej willi w Dejwicach<sup>19</sup>. Nazajutrz zwołał praski garnizon i przemawiał do niego o wiecznym pokoju, a żołnierzy namawiał do męczeństwa. Oczywiście, musiał natychmiast ustąpić. W gazetach pisali, że nagle zachorował. Takie rzeczy się dzieją, kolego!

— Więc nawet już w Dejwicach? — zasmucił się inżynier Marek. — Ależ to straszne, mój Bondy, jak to się szybko rozlaźli!

— Niezmiernie szybko — zgodził się prezes Bondy. — Jakiś człowiek przewiózł sobie z tej zakażonej ulicy Mixa pianino aż na Pankrac<sup>20</sup>. Po dwudziestu czterech godzinach cały dom był pełen Absolutu i...

Prezes nie dokończył. Do pokoju wszedł służący i zameldował wizytę biskupa Lindy. Marek chciał szybko zwać, ale Bondy przytrzymał go siłą i rzekł:

— Siedź i bądź cicho. Ten biskup to bardzo szarmancki pan.

Właśnie w tej chwili wchodził biskup Linda. Był to niski, wesoły pan, w złotych okularach i ze szpasowną buzią, którą po księżemu układał w zgrabny dziecięcy zadeczek. Bondy przedstawił mu Marka jako właściciela nieszczęsnej brzewnnowskiej piwnicy. Biskup z rozkoszą zacierał ręce, podczas gdy inżynier Marek wściekle wymrukiwał wyrazy o tym, jak mu strasznie przyjemnie. Na jego twarzy bardzo wyraziście malowało się wyzwanie: całuj psa w nos, klecho! Biskup ułożył buzię w ciup i zwrócił się do prezesa Bondy'ego.

— Panie prezesie — zaczął bardzo żywo, po byle jakim wstępie — przybywam do pana w sprawie bardzo delikatnej. Bardzo delikatnej — powtórzył po smakoszowsku. — Omawialiśmy pańską sprawę w konsystorzu. — Jego Eminencja, nasz arcybiskup, jest skłonny załatwić tę całą rzecz możliwie dyskretnie. Rozumie pan, mówię o tej nieprzyzwoitej sprawie z cudami. Pardon, nie chcę urażać uczuć pana... pana właściciela, który...

— Proszę się nie kępować — machnął Marek ręką.

— Jednym słowem chodzi o cały ten skandal. Jego Eminencja wyraził się, że ze stanowiska rozumu i wiary nic nie jest tak gorszące, jak owo bezbożne, a nawet bluźniercze naruszenie praw przyrody...

<sup>17</sup>Wokowice, czes. *Vokovice* — miejscowość przyłączona do Pragi w 1922 r., dziś dzielnica Pragi. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>Kosirze, czes. *Košíře* — miejscowość przyłączona do Pragi w 1922 r., dziś dzielnica Pragi. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Dejvice — miejscowość w 1922 r. włączona w obręb Pragi. [przypis edytorski]

<sup>20</sup>Pankrac — część Pragi, leży w dzielnicy Nusle, na południe od centrum. Nazwa pochodzi od patrona miejscowego kościoła, św. Pankracego. [przypis edytorski]

— Przepraszam — zawołał Marek żywo dotknięty — prawa przyrody pozostawcie panowie łaskawie nam. My się także nie wtrącamy do waszych dogmatów.

— Bardzo się pan myli — odpowiedział biskup ochotczo. — Bardzo! Wiedza bez dogmatów jest tylko kupą wątpliwości. Jeszcze gorsze jest to, że wasz Absolut nie zgadza się z prawami kościoła. Przeczy nauce o sakramentach. Nie szanuje tradycji kościelnej. Bardzo poważnie narusza dogmat Trójcy Świętej. Nie liczy się z apostołskim następstwem kleru, nie poddaje się nawet kościelnym egzorcyzmom. I tak dalej. Jednym słowem zachowuje się w sposób, który musimy potępić.

— No — no — wtrącił się prezes Bondy pojednawczo. — Jak dotąd zachowuje się Absolut dość... przyzwoicie.

Pan biskup ostrzegawczo podniósł palec.

— Jak dotąd. Ale nie wiemy, jak będzie zachowywał się w przyszłości. O cóż chodzi, panie prezesie? Panu chodzi o to, aby nie było zgorzenia. Nam także. Pan chciałby, jako człowiek praktyczny, zlikwidować wszystko dyskretnie. My, jako zastępcy i słudzy Boga chcemy tego samego. Nie możemy dopuścić do powstania jakiegoś nowego Boga, czy nawet do powstania jakiejś nowej religii.

— Chwalaż Bogu — ulżył sobie pan Bondy. — Od razu wiedziałem, że się z sobą doskonale porozumiemy.

— Wybornie — zawołał pan biskup, połyskując w uszczęśliwieniu okularami. — Tylko się porozumieć? Czcigodny konsystorz postanowił, że ze względu na interesy kościoła zgodziłby się ewentualnie na przejście patronatu nad tym waszym... ehm... hmm... Absolutem, który manifestowałby się nieco łagodniej, nie tak burzliwie i powiedzmy, tylko sporadycznie, mniej więcej tak jak w Lourdes. Inaczej angażować się nie możemy.

— Dobrze — przyświadczył Bondy. — A dalej?

— Dalej — wywodził biskup — żeby się Absolut wyrabiało tylko z węgla wykopanego w Małych Świętoniowicach. Jak pan raczy wiedzieć, jest to cudowne miejsce kultu mariańskiego, tak że być może przy pomocy tamtejszego węgla założymy pod numerem 1651 w Brzewnowie przybytek kultu mariańskiego.

— Zakładajcie — zgadzał się Bondy. — Czy jeszcze coś?

— Po trzecie zobowiązacie się panowie, że na żadnym innym miejscu nie będzie się Absolutu wyrabiało.

— Co znowu? — podskoczył prezes Bondy. — A nasze Karburatory?

— Nie będą nigdy wyrabiane, prócz jedyne go brzewnowskiego, który będzie majątkiem kościoła świętego i w jego rozporządzeniu.

— Nonsens! — zastrzegął się G. H. Bondy. — Karburatory będą wyrabiane. W pierwszym półroczu tysiąc dwieście. Przed upływem roku dziesięć tysięcy. Tak dalece jesteście już urzędzeni.

— A ja wam powiadam — rzekł biskup z cichą słodyczą — że po roku nie będzie w robocie ani jednego Karburatora.

— Czemuż to?

— Ponieważ ani ludzkość wierząca, ani niewierząca nie może się pogodzić z prawdziwym i aktywnym Bogiem. Nie może, panowie. To jest wyłączone.

— A ja panu powiadam — wtrącił się Marek namiętnie — że Karburatory będą. Teraz ja sam stoję po ich stronie. Właśnie dlatego będą, że wy ich nie chcecie! Wam na złość, wasza biskupia miłość. Na złość wszystkim zabobonom. Na złość całemu Rzymowi! I ja pierwszy zawołałam — Marek nabrał w pierś tchu i zawołał z niemelodyjnym natchnieniem: — Niech żyje Perfect Carburator!

— Zobaczmy — odpowiedział z westchnieniem pan biskup Linda. — Przekonacie się panowie, że czcigodny konsystorz miał rację. Po prostu sami wstrzymacie produkcję Absolutu. Ale te szkody, te szkody, jakie tymczasem powstaną! Nie myślcie sobie panowie, że kościół wprowadza Boga na świat! Kościół umiejscawia Go jedynie i reguluje. A wy, panowie bezbożnicy, rozpętacie Go niby powódź. Łódź Piotrowa wytrzyma i ten nowy potop. Niby arka Noego przepłynie przez fale Absolutu, ale wasze współczesne społeczeństwo — zawołał biskup z mocą — zapłaci za to!

## 6. MEAS

Panowie — mówił prezes G. H. Bondy na zgromadzeniu rady zarządzającej zakładów MEAS (Metallum A. S.), które odbywało się 20 lutego — mogę wam zakomunikować, że jedna budowla nowego fabrycznego kompleksu na Wysoczanach została wczoraj przekazana do użytku. W najbliższych dniach rozpoczynamy seryjny wyrób Karburatorów, na początek 18 sztuk dziennie. W kwietniu będziemy wyrabiali 65 sztuk. Pod koniec czerwca, dwieście sztuk dziennie. Ułożyliśmy piętnaście kilometrów własnego toru, głównie dla dowozu węgla. Dwanaście kotłów parowych montujemy w tej chwili. Przystąpiliśmy do budowy nowej dzielnicy robotniczej.

— Dwanaście kotłów parowych? — zapytał niby to obojętnie dr Hubka, przywódca opozycji.

— Tak jest, tymczasem dwanaście — przyświadczył prezes Bondy.

— To bardzo dziwne — kręcił głową dr Hubka.

— Pytam was, panowie — mówił prezes Bondy — co jest dziwnego w dwunastu kotłach? Przy tak wielkim kompleksie fabrycznym...

— Istotnie — odezwały się głosy.

Dr Hubka uśmiechał się ironicznie.

— I na co tych piętnaście kilometrów toru?

— Na dowóz węgla i surowca. Liczymy się z dziennym zużyciem ośmiu wagonów węgla, gdy fabryka będzie w pełnym biegu. Nie wiem, co się panu doktorowi Hubce nie podoba w dowozie węgla.

— A to mi się nie podoba — zawołał dr Hubka i podskoczył — że cała ta rzecz jest bardzo podejrzana. Tak jest, panowie, w najwyższym stopniu podejrzana. Pan prezes Bondy zmusił nas do zbudowania fabryki Karburatorów. Zapewnił nas, że Karburator to jedyna siła pędna przyszłości. Jak wmawiał w nas, że Karburator daje tysiąc sił końskich<sup>21</sup> z jednej szufli węgla. A teraz opowiada nam tu coś o dwunastu kotłach parowych, o całych wagonach węgla dla naszych kotłów. Powiedźcie mi, panowie, czemuż więc nie wystarczy szufła węgla jako napęd dla naszej fabryki? Na co nam kotły parowe, skoro możemy mieć motory atomowe? Jeśli, proszę panów, cały Karburator nie jest zwyczajnym szwindlem, to zupełnie nie rozumiem, dlaczego pan prezes nie organizuje naszej fabryki na napęd karburatorowy. Ja tego nie rozumiem i nikt tego nie zrozumie. Czemuż to pan prezes nie ma dość zaufania do tych swoich Karburatorów i nie zaprowadza ich w naszych zakładach? Proszę panów, bardzo to kiepska reklama dla naszych Karburatorów, skoro sam wytwórca nie chce, czy nie może ich używać! Proszę panów, zapytajcie pana prezesa Bondy'ego jakie są tego przyczyny. Co do mnie — mam zdanie jasne. Skończyłem, panowie!

Po tych słowach dr Hubka usiadł i zwięźsko smarkał w chustkę.

Członkowie rady zarządzającej milczeli zakłopotani. Zarzuty dra Hubki były aż nadto jasne. Prezes Bondy nie podnosił oczu znad swoich papierów. Nic nie drgnęło w jego twarzy.

— Noo tak — ozwał się pojednawczo stary Rosenthal — pan prezes da nam wyjaśnienie. Hmm tak, to się wyjaśni, panowie. Ja sądzę, że hmm, noo tak, tak jest, względem tego, co nam zakomunikował.

Prezes Bondy podniósł wreszcie oczy.

— Przedstawiłem wam, panowie, opinię naszych inżynierów o Karburatorze — mówił cicho. — Wszystko jest tak, jak mówiłem. Karburator nie jest szwindlem. Zbudowaliśmy ich dziesięć na próbę. Wszystkie pracują nienagannie. Tutaj mam dowody. Karburator numer pierwszy pędzi tłoki pompy na Sazawie<sup>22</sup>, pracuje idealnie już dwa tygodnie. Numer drugi, bagrownica<sup>23</sup> na górnej Weltawie, pracuje wspaniale. Numer trzeci jest w laboratorium doświadczalnym politechniki w Brnie. Numer czwarty uszkodzony

<sup>21</sup>*siła końska* (daw.) — tu: koń parowy a. koń mechaniczny, jednostka mocy, powstała z potrzeby porównania mocy nowo tworzonych w XIX w. maszyn do mocy koni pociągowych: maszyna o mocy 1 konia parowego, działająca całą dobę, miała zastąpić 3 konie, pracujące po 8 godzin każdy. Dlatego 1 koń mechaniczny stanowi równoważność 75 kgfm/s (kilogramometrów na sekundę), czyli ok. 735,5 W (Wat). [przypis edytorski]

<sup>22</sup>*Sazawa* — rzeka w Czechach, prawy dopływ Weltawy. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>*bagrownica* — pogłębiarka. [przypis edytorski]

podczas transportu. Numer piąty oświetla Hradec Kralové<sup>24</sup>. Jest to typ dziesięciokilowy. Pięciokilowy typ, numer szósty, pędzi młyn w Slanem<sup>25</sup>. Numer siódmy zainstalowany do centralnego ogrzewania bloku domów na Nowym Mieście. Właścicielem tych domów jest obecny tu fabrykant Machat. Proszę, panie Machat, niech pan sam powie.

Starszy pan tego nazwiska zbudził się jakby ze snu.

— Proszę...

— Pytamy, jak się sprawuje u pana centralne ogrzewanie.

— Co? Jakie ogrzewanie?

— W pańskim nowym bloku domów — nacierał łagodnie prezes Bondy.

— W jakim bloku?

— W nowych domach pana.

— W moich domach? Ja żadnych domów nie mam.

— Nonono — odezwał się Rosenthal. — Zeszłego roku budował pan przecie!

— Ja? — dziwił się Machat. — Ach tak, ma pan rację, budowałem. Ale wie pan, ja te domy rozdałem. Wie pan, rozdałem je.

Prezes Bondy spojrział na niego bardzo uważnie.

— Komu pan je rozdał?

Machat zaczerwienił się z lekka.

— No, biednym ludziom, wie pan... Powprowadzałem tam ubogich ludzi. Ja... ja... doszedłem do przekonania... jednym słowem dałem je ubogim ludziom. Rozumie pan?

Pan Bondy nie spuszczał z niego oczu niby sędzia śledczy.

— Dlaczego rozdał pan te domy?

— Ja... ja musiałem, że tak powiem — odpowiadał Machat coraz bardziej zmieszany. — Tak mnie coś przymusiło. Musimy być świętymi, prawda?

Prezes nerwowo bębnił palcami po stole.

— A rodzina pana?

Machat zaczął się pięknie uśmiechać.

— O, my jesteśmy wszyscy tego samego zdania, wiecie panowie? Ci biedni ludzie są tacy święci. Są wśród nich chorzy. Córka moja im służy, ach tak. Wszyscy zmieniliśmy się tak bardzo!

G. H. Bondy spuścił oczy. Córka Machata. Elen, płowowłosa Elen, mająca siedemdziesiąt milionów, służy chorym! Elen, która mogła, która miała, która na poly zgodziła się zostać panią Bondy'ową! Bondy zagryzł usta. To się udało! Nie ma co mówić!

— Panie Machat — zaczął zduszonym głosem — chciałem się dowiedzieć, jak ogrzewa wasze domy ten nowy Karburator...

— O, wspaniale! Jest tak cudownie ciepło w tych wszystkich domach, jak gdyby były ogrzewane nieskończoną miłością! Wie pan — wywodził Machat ekstatycznie, ocierając oczy — kto tam wejdzie, staje się od razu innym człowiekiem. Jest tam jak w raju. Żyjemy jak w niebie, my wszyscy. O, przyjdźcie między nas!

— Widzicie więc, panowie — rzekł prezes Bondy, opanowując się z całej siły — że Karburatory pracują tak, jak wam to zapowiedziałem. Proszę, aby panowie nie stawiali mi dalszych pytań.

— My chcemy tylko wiedzieć — zawołał dr Hubka wojowniczo — dlaczego nie przystosowujemy nowej fabryki do napędu karburatorowego? Dlaczego mamy używać kosztownego węgla, skoro dla innych organizujemy atomową energię? Czy prezes Bondy zamierza przedstawić nam swoje dowody?

— Nie zamierza — oświadczył Bondy. — My będziemy palili węglem. Z powodów mnie wiadomych napęd karburatorowy nie nadaje się dla naszej fabryki. Dość, panowie! Całą sprawę uważam za kwestię zaufania do mnie.

— Gdybyście wiedzieli — ozwał się Machat — jak cudownie żyje się człowiekowi w stanie świętości! Szczerze wam radzę, panowie: rozdajcie wszystko, co macie! Stańcie się ubogimi i świętymi. Pozbądźcie się mamony i wzywajcie Jedyne Boga!

— No — uspokajał go Rosenthal. — Pan, panie Machat, jest bardzo miłym i dobrym człowiekiem, noo tak. Bardzo porządnym. A panu prezesowi to ja ufam. Tak, panie

<sup>24</sup>Hradec Kralové — miasto we wschodniej części Czech, jeden z dwóch głównych ośrodków okręgu kraj wchodnioczeski. W tym mieście autor *Fabryki Absolutu* uczęszczał do gimnazjum. [przypis edytorski]

<sup>25</sup>Slaný — miasto w Czechach, położone ok. 30 km na pln.-zach. od Pragi. [przypis edytorski]



Bondy. Wie pan co, niech mi pan pośle jeden karburator do mego centralnego ogrzewania! Wiecie, panowie, ja rzecz wypróbuję. Co wy na to? Co tu dużo gadać! A więc, panie Bondy?

— Jesteśmy wszyscy braćmi wobec Boga — wywoził dalej promieniejący Machat. — Drodzy panowie, oddajmy fabrykę ubogim. Składam wniosek, abyśmy zakłady MEAS przemienili w gminę religijną Pokornych Serc. Będziemy jądrem, z którego wyrosnie Drzewo Boże, dobrze? Będziemy Królestwem Bożym na ziemi.

— Proszę o głos! — krzyczał dr Hubka.

— No więc, pan Bondy — napierał stary Rosenthal. — Widzi pan, stoję przy panu. Niechże mi pan pożyczycy jeden z tych Karburatorów! Panie Bondy!

— Albowiem sam Bóg zstępuje na ziemię — mówił podniecony Machat. — Słuchajcie Jego wezwania: bądźcie świętymi i prostymi, otwórzcie serca swoje nieskończoności. Bądźcie absolutni w swej miłości. Wiecie, kochani panowie...

— Proszę o głos — krzyczał ochryply dr Hubka.

— Cicho! — zawołał prezes Bondy, blady i z płomieniem w oczach, powstał w całej okazałości cetnarowego<sup>26</sup> mężczyzny. — Proszę panów, jeśli wam się nie podoba fabryka Karburatorów, przejmę ją na własny rachunek. Wyliczę się z wami, co do grosza, z dotychczasowych wydatków. Składam swój urząd, panowie. Polecam się.

Dr Hubka podskoczył jak oparzony.

— Ale ja, proszę panów, ja protestuję! My protestujemy! My nie sprzedamy wyrobu Karburatorów! Nie, panowie, nie pozbedziemy się tak znakomitego artykułu handlowego! Nie pozwolimy nikomu wodzić się za nos, nabijać w butelkę i wyzbywać tak świetnego interesu. Pozwólcie panowie, że...

Prezes Bondy zadzwonił.

— Przyjaciele — rzekł zaszępiiony — dajmy spokój sporom. Zdaje się, że nasz przyjaciel Machat jest troszkę, tego ten... chory. Co do Karburatorów, to zaręczam dywidendę stu pięćdziesięcioprocentową. Wnoszę zakończenie debat.

Dr Hubka dorwał się do słowa:

— Proponuję, panowie, aby każdy z członków rady zarządzającej otrzymał jeden Karburator, że tak powiem, do wypróbowania.

Prezes Bondy zmierzył spojrzeniem wszystkich zebranych. W jego twarzy coś drgnęło, jak gdyby chciał coś powiedzieć, ale wzruszył jedynie ramionami i wycedził przez zęby:

— Dobrze.

## 7. GOON

— Jak stoimy w Londynie? — Akcje MEAS wczoraj 1470. Onegdaj 720.

— Dobrze.

— Inżynier Marek został mianowany członkiem honorowym siedemdziesięciu towarzystw naukowych. Nagrodę Nobla dostanie z pewnością.

— Dobrze.

— Masa zamówień z Niemiec. Przeszło pięć tysięcy Karburatorów.

— Aha.

— Z Japonii dziewięćset zamówień.

— Patrzyjcież<sup>27</sup>!

— W Czechach zainteresowanie mierne. Trzy nowe zapytania.

— Hm. Należało tego oczekiwać. Och te nędzne, małe stosunki!

— Rząd rosyjski zamówił od razu 200 sztuk.

— Dobrze, ogółem?

— Trzydzieści tysięcy zamówień.

— Doskonale. Jak jest z budowaniem?

<sup>26</sup>cetnarowy — ważący około cetnara, tj. 50–60 kg. Według dalszych informacji z powieści, Bondy był raczej otyły, więc można w tym miejscu spodziewać się raczej określenia *stukilowy*. W oryginale czeskim w tym miejscu: *centový (povstal v celé mobutnosti centového muže)*. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>patrzyjcież — dziś raczej: patrzcie (2 os. lm. tr.rozkaz.); na końcu wyrazu dodana została partykuła wzmacniająca -ž. [przypis edytorski]

— Oddział samochodów atomowych jest pod strzechą. Sekcja samolotów atomowych w ciągu tygodnia rozpocznie pracę. Kładziemy podwaliny pod oddział atomowych lokomotyw. Jedno skrzydło oddziału motorów okrętowych już pracuje.

— Zaraz. Wprowadźcie nazwy: atomobil, atomotor, atomotywa, rozumiecie? Jak daleko jest Krolmus z atomowymi działami?

— Już buduje model w Pilźnie. Nasz atomowy cyclecar dojeżdża w tej chwili na brukselskim autodromie trzydziesty tysiąc kilometrów. Robi 270 kilometrów na godzinę. Na półkilowe atomotorki mamy, w ostatnich dwóch dniach, siedemdziesiąt tysięcy zamówień.

— Mówił pan przed chwilą, że ogółem trzynaście tysięcy.

— Trzynaście tysięcy leżących atomowych kotłów. Osiem tysięcy ogrzewających armatur do centralnego ogrzewania. Niemal dziesięć tysięcy atomobilów. Sześćset dwadzieścia atomowych samolotów. Nasz samolot A7 doleciał z Pragi do Melbourn w Australii bez zatrzymywania się. Pasażerowie wszyscy zdrowi. Oto depesza.

Prezes Bondy wyprostował się:

— No, drogi kolego, wszystko idzie wspaniale!

— W oddziale maszyn rolniczych pięć tysięcy zamówień. W oddziale małych motorów do napędu dwadzieścia dwa tysiące. Sto pięćdziesiąt atomowych czerpaków. Trzy atomowe prasy. Dwanaście atomowych pieców hutniczych. Siedemdziesiąt pięć atomowych stacji radiotelegraficznych. Sto dziesięć atomowych lokomotyw, wszystkie do Rosji. Założyliśmy generalne agentury w czterdziestu wielkich miastach. Amerykański Steel-Trust, berlińska AEG, włoski Fiat, Mannesman, Greuzot i szwedzkie stalownie proponują fuzję. Koncern Kruppa kupuje nasze akcje po każdej cenie.

— Nowa emisja?

— Pokryta trzydziestopięciokrotnie. Gazety prorokują dwustuprocentową superdywidendę. Zresztą gazety nie piszą o niczym innym tylko o naszej sprawie: socjalna polityka, sport, technika, wiedza, wszystko to nic wobec Karburatora. Niemiecki korespondent posłał nam siedem ton wycinków, francuski cztery cetnary<sup>28</sup>, angielski jeden wagon. Naukowa literatura specjalna, jaka ma się tego roku ukazać o motorze atomowym, będzie miała, według przewidywań, około sześćdziesięciu ton. Angielsko-japońska wojna została zlikwidowana wobec braku zainteresowania nią publiczności. W samej Anglii jest dziewięćset tysięcy górników bez pracy. W zagłębiu belgijskim było powstanie: około czterech tysięcy zabitych. Przeszło połowa kopalń całego świata wstrzymała eksploatację. „Nafta” w Pensylwanii podpaliła swoje przepelnione składy. Pożar trwa.

— Pożar trwa — powtórzył sobie prezes Bondy w rozmarzeniu. — Pożar trwa. Dobry Boże, to znaczy, że wygraliśmy wielką stawkę!

— Prezes Związku Kopalń się zastrzelił. Giełda po prostu szaleje. W Berlinie stoimy dzisiaj ponad 8000. Rada ministrów zasiada w permanencji; chcą ogłosić stan oblężenia. Panie prezesie, to nie jest wynalazek, to jest przewrót!

Prezes Bondy i generalny dyrektor MEAS spoglądali po sobie w milczeniu. Ani jeden, ani drugi nie był poetą, ale w tej chwili dusze ich śpiewały.

Dyrektor przysunął krzesło nieco bliżej i rzekł półgłosem:

— Panie prezesie, Rosenthal zwariował.

— Rosenthal? — zawołał G. H. Bondy.

Dyrektor przyświadczył z ponurą miną.

— Zrobił się z niego ortodoksyjny żyd. Uprawia talmudystyczną mistykę i kabałę. Dał dziesięć milionów na syjonizm. Onegdaj strasznie pokłócił się z doktorem Hubką. Bo, wie pan, Hubka przystał do Braci Czeskich.

— Nawet Hubka?

— Niestety. Sądzę, że do naszego zarządu zawlókł tę zarazę stary Machat. Pan nie był na ostatnim zebraniu, panie prezesie. Po prostu zgroza, co się działo! Wszyscy rozprawiali o religii aż do samego rana. Hubka złożył wniosek oddania naszych zakładów robotnikom. Na szczęście zapomnieli o głosowaniu nad tym wnioskiem. Byli wszyscy jak postrzeleni.

Prezes Bondy gryzł palce.

— Powiedźcie, dyrektorze, co mam z nimi zrobić?

<sup>28</sup>cetnar — daw. jednostka masy, ok. 50–60 kg. [przypis edytorski]

— Hm. Zupełnie nic. To taka jakaś nerwica naszych czasów. Nawet w gazetach bywa tu i ówdzie coś w tym guście. Ale nie ma na to miejsca, bo całe gazety pełne są Karburatorów. Ogromna masa przypadków religiomanii. Jakaś epidemia psychiczna, czy co? Onegdaj widziałem doktora Hubkę. Stał przed bankiem Živno i wygłaszał kazanie do tłumu. Wzywał ludzi, aby oświecili sumienia swoje i prostowali Drogi Pańskie. Okropnie mętna gadanina. Robił nawet cuda. Forst jest taki sam. Rosenthal zidiociał zupełnie. Miller, Homola i Kolator złożyli wniosek dobrowolnego ubóstwa. Rady zarządu zwoływać już nie możemy. Dom wariatów, a nie rada zarządu, panie prezesie. Musi pan cały ten kram sam wziąć w ręce.

— Ależ to straszne, dyrektorze! — westchnął G. H. Bondy.

— Straszne. Czy słyszał pan o Banku Cukrowników? Tam wszyscy urzędnicy dostali ataku od razu. Pootwierali okna i rozdawali pieniądze wszystkim, co chcieli brać. Na dziedzińcu palili nawet — całe stopy banknotów.

— W Banku Cukrowników... Czy tam nie mają przypadkiem naszego Karburatora?

— Oczywiście, mają. Do centralnego ogrzewania. Bank Cukrowników pierwszy zaprowadził centralne ogrzewanie karburatorowe. Teraz policja Bank zamknęła. Bo nawet prokurenci i dyrektorzy dostali ataku.

— Panie dyrektorze, zakazuję dostarczania Karburatorów bankom.

— Czemuż to?

— Zakazuję i basta! Niech używają węgla!

— Trochę za późno. Wszystkie banki już instalują nasze ogrzewanie. W tej chwili zaprowadzamy je w sejmie i we wszystkich ministerstwach. Centralny Karburator na Sztwanicy<sup>29</sup> jest gotów i będzie oświetlał całą Pragę. Jest to pięćdziesięciokilowy kolos, wspaniały motor. Pojutrze o szóstej wieczorem zostanie uroczysto puszczony w ruch w obecności głowy państwa, starosty miasta, miejskiej rady i przedstawicieli MEAS. Musi pan tam być. Pan przede wszystkim.

— Broń mnie Boże! — zawołał pan Bondy przerażony. — Nie, nie, broń mnie Boże! Ja tam nie pójdę!

— Musi pan, panie prezesie. Nie możemy posłać tam Rosenthala albo Hubki. Przecie to są wściekle wariaty. Wygadywaliby straszne rzeczy. Chodzi o honor naszych zakładów. Starosta miasta ma przygotowaną mowę ku uczczeniu naszego dzieła. Przyjdą przedstawiciele obcych państw i zagranicznej prasy. Ogromna uroczystość. Jak tylko na ulicach rozbłyszczą światła, orkiestry wojskowe zagrają na placach intrady i fanfary, będzie śpiewał Hlahol<sup>30</sup>, Krzyżowski<sup>31</sup>, chór robotniczy i nauczycielski, będą fajerwerki i sto jeden wystrzałów z armat, oświetlenie Zamku i Bóg wie, co tam jeszcze. Panie prezesie, pan musi być obecny!

G. H. Bondy powstał udręczony.

— Boże, Boże mój — szeptał — jeśli możesz... odejmij ode mnie ten kielich...

— Przyjdzie pan? — nastawał nieustępliwy dyrektor.

— Boże mój, Boże, czemuś mnie opuścił — westchnął G. H. Bondy.

## 8. NA BAGROWNICY

Koło Sztiechowic<sup>32</sup> stała bagrownica ME 28, znieruchomiała w wieczornym zmierzchu. Paternosterowa<sup>33</sup> draga<sup>34</sup> już dawno przestała wnosić chłodny piasek z dna Węławy. Wieczór był ciepły i bezwietrzny, pachnący skoszonymi trawami i wydechem lasu. Północny zachód jeszcze trochę płonął słodkim pomarańczowym blaskiem. Tu i ówdzie

<sup>29</sup>Sztwanica, czes. *Ostrov Štvanice* — wyspa na Węławie w Pradze. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Hlahol, właśc. *Hlahol pražský* — chór mieszany założony w Pradze w 1861 r. i istniejący nadal w XXI w. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Krzyżowski — w wersji czeskiej: Křížkovský; tu mowa o istniejącym w latach 20. XX w. w Pradze twarzystwie śpiewaczym, którego patronem był XIX-wieczny czeski kompozytor Pavel Křížkovský (1820–1885). [przypis edytorski]

<sup>32</sup>Sztiechowice, czes. *Štěchovice* — miasteczko w Czechach nad Węławą, ok. 30 km na południe od centrum Pragi. [przypis edytorski]

<sup>33</sup>paternosterowa — odnoszący się do łac. *Pater noster*, pierwszych słów modlitwy *Ojczy nasz*. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>draga — pogłębiarka. [przypis edytorski]

błysnęła fala boskim poblaskiem odbijającym niebiosą. Zajaśniała, zaszumiała i rozlała się w fosforyzującej gładzi wodnej.

Od Sztiechowic zbliżało się do bagrownicy czółno. Płynęło wolno, zmagając się z bystrym prądem, czarne na jaśniejącej rzece niby duży robak wodny.

— Ktoś jedzie do nas — ozwał się spokojnie bagrownik Kuzenda, siedzący na burcie bagrownicy.

— Dwóch — rzekł po chwili maszynista Brych.

— Ja już wiem, kto jedzie — rzekł pan Kuzenda.

— Kochankowie ze Sztiechowic — rzekł pan Brych.

— Muszę ugotować dla nich kawy — zdecydował pan Kuzenda i poszedł na dół.

— No więc, dzieci! — wołał Brych w kierunku czółna. — W lewo! W lewo! No, kobieto, podaj mi rękę, o tak! I siup na górę!

— Ja i Peppek — mówiła dziewczyna, stojąc już na pokładzie — my... myśmy chcieli...

— Dobry wieczór — witał się młody robociarz, stając tuż za nią. — Gdzież to pan Kuzenda?

— Pan Kuzenda gotuje kawę — rzekł maszynista. — Siadajcie, o, patrzcie, ktoś do nas płynie. To wy, piekarzu?

— To ja — ozwał się głos. — Dobry wieczór, panie Brych. Wiozę do was pocztowca i pana gajowego.

— No to chodźcie na górę, bracia — rzekł pan Brych. — Gdy pan Kuzenda ugotuje kawę, zaczniemy. Kto przyjdzie jeszcze?

— Ja — odpowiedział głos z boku bagrownicy. — Pan Hudec chciałby was także posłuchać.

— Witam pana, panie Hudec — mówił maszynista, pochylając się na dół. — Chodźcie na górę, tu jest drabinka. Poczekajcie, panie Hudec, zaraz wam podam rękę, bo pan tu jeszcze nie był.

— Panie Brych — wołali z brzegu jacyś trzej ludzie — niech pan pośle po nas czółno. Dobrze? Chcielibyśmy dostać się do was.

— Zajedźcie po nich, wy tam na dole! — rzekł pan Brych. — Niech się każdemu dostanie Słowa Bożego! Siadajcie, bracia, i ty, siostró. Nie ma u nas brudu od czasu jak opalamy maszynę Karburatorem. Brat Kuzenda przyniesie wam kawy, a potem zaczniemy. Witam was, młodzieńcy. Pójdźcie na górę!

Potem pan Brych stanął nad otworem wiodącym po drabinie na dół i zawołał w głąb bagrownicy.

— Halo, Kuzenda! Dziesięciu na pokładzie.

— Dobrze! — odpowiadał z głębi głuchy głos. — Już niosę kawę.

— Więc siadajcie — zwrócił się gorliwy głos Brycha do przybyłych. — Panie Hudec, my tu mamy tylko kawę; myślę, że to pana nie obrazi.

— Skądże! — zastrzegął się pan Hudec. — Chciałem tylko widzieć waszą — wasz — wasze posiedzenie.

— Nasze nabożeństwo — łagodnie poprawił go pan Brych. — Wie pan, my tu wszyscy jesteśmy braćmi. Trza panu wiedzieć, panie Hudec, że ja byłem alkoholik, a Kuzenda robił politykę, ale spłynęła na nas łaska. A ci bracia i siostry — mówił wskazując wokół — jeżdżą do nas co wieczór, aby się modlić o podobny dar ducha. Na przykład ten piekarz miał duszności, a Kuzenda go uzdrowił. No, powiedzcie, piekarzu, jak to było.

— Kuzenda wkładał na mnie ręce — mówił piekarz z cichym uniesieniem — i nagle rozlało mi się w piersi takie ciepło. Wie pan, coś we mnie jakby stuknęło, a ja zaczęłam oddychać, jakbym latała po niebie.

— Zaraz, mój piekarzu — poprawił go Brych. — Kuzenda nie wkładał na was rąk. Przecie nie wiedział, że robi cud. Tylko zrobił ręką taki znak, a wyście potem powiedzieli, że możecie oddychać. Tak to było.

— My byliśmy obecni przy tym — opowiadała dziewczyna ze Sztiechowic. — Pan piekarz miał taki blask dokoła głowy. A mnie pan Kuzenda zażegnał potem suchoty<sup>35</sup>. Prawda, Pepku?

Młodzieniec ze Sztiechowic rzekł:

<sup>35</sup>suchoty (daw.) — gruźlica płuc. [przypis edytorski]

— To najczystsza prawda, panie Hudec. Ale dziwniejsze jest to, co się stało ze mną. Ja nie byłem porządnym człowiekiem, panie Hudec. Siedziałem też już w kryminale, wie pan, za kradzież i jeszcze za coś. Pan Brych mógłby panu dużo powiedzieć o mnie.

— E, co tam! — machnął Brych ręką. — Brakło panu tylko łaski. Ale tutaj, na tym miejscu, dzieją się dziwne rzeczy, panie Hudec. Może i sam pan to poczuje. Brat Kuzenda umie to powiedzieć, ponieważ dawniej bywał na wiecach. Patrzcie, już idzie.

Wszyscy odwrócili się ku otworowi, który prowadził z pokładu do maszynowni. Z otworu wynurzyła się brodata twarz z wymuszonym, zakłopotanym uśmiechem kogoś, kto jest od tyłu popychany i udaje, że nic o tym nie wie. Kuzendę widać było aż po pas. W obu rękach niósł duży kawał blachy, a na nim garnuszki i puszki od konserw. Uśmiechał się niewyraźnie i wznosił się stale. Już ukazały się jego stopy, a pan Kuzenda wznosił się wciąż jeszcze coraz wyżej i wyżej ze swoimi garnuszkami. Dopiero o jakieś pół metra nad otworem zatrzymał się, niezgrabnie szukając stopami oparcia dla nóg. Wisiał swobodnie w powietrzu i widać było jak się wysiła, aby nogami dotrzeć do ziemi. Pan Hudec był jakby omamiony.

— Co się panu stało, panie Kuzenda? — zapytał wystraszony.

— Nic, nic — zagadywał Kuzenda i odpychał się nogami od powietrza.

Pan Hudec przypomniał sobie, że nad jego dziecinnym łóżeczkiem wisiał kiedyś obrazek Wniebowstąpienia Pańskiego i że na tym obrazku Chrystus z apostołami zupełnie tak samo wisieli w powietrzu i wiosłowali nogami, tylko że nie mieli takiego zakłopotanego wyrazu twarzy. Nagle Kuzenda poruszył się ku przodowi i płynął, płynął skroś wieczorowe powietrze nad pokładem, jak gdyby był unoszony łagodnym wiewem. Chwilami podnosił stopę, jakby chciał uczynić krok naprzód i najwyraźniej obawiał się o swoje garnuszki.

— Proszę was, weźcie tę kawę — rzekł natarczywie.

Maszynista Brych podniósł obie ręce i przyjął blachę razem z garnuszkami. Wówczas Kuzenda zwiesił nogi, skrzyżował ręce na piersi i wisiał w powietrzu bez ruchu z głową nieco przechyloną na bok.

— Witam was, bracia — rzekł. — Nie bójcie się, że latam. To tylko taki znak. Panienko, proszę wziąć ten garnuszek z kwiatami.

Maszynista Brych rozdawał garnuszki i blaszanki. Nikt nie odważył się przemówić. Tacy, co tu jeszcze nie byli, przyglądali się uważnie lewitacji Kuzendy. Starsi goście powoli siorbali kawę i, między jednym a drugim duszkiem, jakby się modlili.

— Czy już wypiliście? — zapytał po chwili Kuzenda, szeroko otwierając wyblakłe, zachwycone oczy. — No, to ja zacznę. — Odchrząknął, przemyślał chwilę i zaczął. — W imię Ojca! Bracia i siostrzo, zebraliśmy się na nabożeństwo na tej tu bagrownicy, gdzie dzieją się objawienia łaski. Nie potrzebujemy odsyłać precz niedowiarków i szyderców, jak to robią spirytyści. Pan Hudec przyszedł jako niedowiarek, a pan gajowy cieszył się, że będzie jakaś bujda. Witam jednego i drugiego. Ale żebyście wiedzieli, że was znam przez tę łaskę oświecającą, więc ci powiem, panie gajowy, że jesteś chlajus i że wypędzasz z lasu biedaków, a pyskujesz nawet wtedy, gdy nie trza. Nie rób tego. A wy, panie Hudec, jesteście złodziej nie lada, no już wy wiecie, co mam na myśli, i złośnik aż strach. Wiara was naprawi i zbawi.

Na pokładzie panowała głęboka cisza. Pan Hudec zawzięcie patrzył w ziemię. Gajowy szlochał, pociągał nosem i roztrzęsioną ręką macał się po kieszeni.

— Ja wiem, panie gajowy, że chciałby pan zakurzyć — rzekł Kuzenda tkliwie. — Pal pan na zdrowie. Tu jesteś jak w domu.

— Rybeczki — szepnęła dziewczyna i wskazywała na powierzchnię Weltawy. — Patrz, Pepek, i te karpie przyszły słuchać.

— To nie karpie — ozwał się łaski pełen Kuzenda. — To szewcy, czyli okunie. A wy, panie Hudec, nie rozpaczajcie nad swymi grzechami. Spójrzycie na mnie: mnie nic nie obchodziło, tylko ta polityka. A ja wam powiem, że i to jest grzech. A wy, gajowy, nie beczcie. Nie chciałem was urazić aż tak znowu. Kto raz pozna łaskę, widzi wszystko na wylot. No gadaj, Brychu, że widzisz każdego na wylot aż do głębi duszy?

Cud

— Widzę — rzekł pan Brych. — Ten pan pocztowiec myśli sobie akurat, że mógłbyś poratować także jego córeczkę. Ona ma skrofufy<sup>36</sup>, prawda, panie pocztowiec? Już on jej pomoże, pan Kuzenda, gdy ją tu przyprowadzicie.

— Mówią mądrale, że zabobony — mówił Kuzenda. — Bracia kochani, gdyby mnie ktoś był dawniej mówił o cudach i o Bogu, to byłbym się zdrowo uśmieł. Taki byłem zepsuty. Kiedy dostaliśmy na naszej bagrownicy tę nową maszynę, co idzie bez opalania, skończyła się dla nas wszelka taka brudna robota. A tak, panie Hudec, to był pierwszy cud, który się tu stał, że ten Karburator robi wszystko sam, jakby miał rozum. Nawet nasza bagrownica płynie sama z siebie tam, gdzie jest potrzebna do rycia dna, sama zacznie robotę i sama ją kończy. Więc my obaj, niby ja i Brych, nie potrzebujemy niczego tknąć. Niech mi kto powie, czy to nie jest cud. Więc gdyśmy taką rzecz widzieli, no nie, panie Brych, zaczęliśmy rozmyślać, aż nam w głowie pojaśniało. To jest boska bagrownica, to jest żelazny kościół, a my tu jesteśmy tylko niby księża. Ponieważ Pan Bóg objawiał się w źródelkach albo też jak to u dawnych Greków w dębach, a czasem nawet w niewiastach, czemu nie miałby się objawiać na bagrownicy? Dlaczego miałby się brzydzić maszyną? Maszyna jest czasem czystsza niż zakonnica, a nasz Brych ma wszystko wyczyszczone na glanc niby w kredensie. Ale to tylko tak mimochodem. I żebyście wiedzieli, że Bóg nie jest taki nieskończony, jak mówią katolicy. Ma od końca do końca jakie sześćset metrów i u końców jest już słabawy. Najmocniejszy jest tu na bagrownicy. Tutaj robi cuda, ale na brzegu robi już tylko natchnienia i nawrócenia, a w Sztiechowicach, przy dobrym wietrze, czuć go już tylko jako taki święty zapach. Wiosłowali tu wiosłarze z „Błyskawicy” i „C. V. K.” i na wszystkich spadała łaska. Taką siłę ma nasz Bóg. A czego ten Bóg od nas chce, to można odczuć tylko tu w środku — nauczał Kuzenda uderzając się mocno w serce. — Ja wiem, że nie cierpi on polityki i pieniędzy, rozumu i pychy, i wywyższania siebie. Wiem, że strasznie lubi ludzi i zwierzęta, że bardzo Mu przyjemnie, gdy tu przychodzicie i że popiera dobre uczynki. Ogromny z Niego demokrat, kochani bracia. Nas obu, to jest Brycha i mnie, pali w kieszeni każdy grosz, dopóki nie kupimy za niego kawy dla wszystkich. Onegdaj, przy niedzieli, było tu kilkaset ludzi i siedzieli na obu brzegach, a kawa nam się rozmnożyła, tak, że starczyło jej dla wszystkich. I to jakiej kawy! Ale to są, drodzy bracia, tylko znaki. Największym cudem jest to, że On tak może zmieniać nasze uczucia. To jest tak strasznie przyjemne, aż mróz ci przebiega po ciele. Czasem bywa ci tak, jakbyś od samej miłości i szczęścia musiał umrzeć, jakbyś był za jedno z tą wodą pod nami i ze wszystkimi zwierzątkami, i z ziemią, i z kamieniami, albo jak gdybyś leżał w takich ogromnych objęciach. No, tego nikt nie potrafi powiedzieć, jak ci bywa, człowieku. Wszystko dokoła śpiewa i gędzie<sup>37</sup>, rozumiesz nagle każdy z tych niemych języków, wodę i wiatr, wszystko widzisz, jak się jedno z drugim wiąże, a także z tobą, wszystko raptem widzisz lepiej, niż gdybyś czytał wydrukowane. Czasem to przyjdzie do ciebie niby napad choroby, aż ci się piana pokaże u gęby, ale innym razem wszystko idzie pomalutku i przelezie was ta siła aż do ostatniej żyłki. Bracia i siostry, nic się nie bójcie. Teraz płyną do nas dwaj żandarmi, żeby rozwiązać nasze zgromadzenie, iżeśmy go nie zameldowali. Ufajcie bagrownicowemu Bogu i czekajcie spokojnie.

Było już ciemno, ale cały pokład bagrownicy i twarze obecnych fosforyzowały tklwym blaskiem. Pod bagrownicą zaszumiała wiosła i zatrzymała się łódka.

— Hola! — zawołał męski głos. — Czy jest tam pan Kuzenda?

— Jest tutaj! — odpowiedział Kuzenda głosem cherubina. — Pójdźcie do nas, bracia żandarmi. Ja wiem, że mnie oskarżył karczmarz ze Sztiechowic.

Dwaj żandarmi weszli na pokład.

— Który z was jest Kuzendą? — pytał się wachmistrz.

— Ja jestem Kuzenda — odpowiedział zapytany, wznosząc się wyżej. — Proszę, panie wachmistrzu, pójdźcie na górę.

Obaj żandarmi wzniesli się nagle i płynęli w powietrzu ku Kuzendzie. Nogi ich rozpaczliwie szukały jakiego oparcia, ich ręce chwytaly się miękkiego powietrza. Słychać było ich zduszony i szybki oddech.

<sup>36</sup>skrofufy — gruźlica węzłów chłonnych, nazywana też dawniej chorobą królewską, ponieważ wierzono, że dotyk króla może ją wyleczyć. [przypis edytorski]

<sup>37</sup>gędzić a. gąść (daw.) — w dawnej polszczyźnie: muzykować, grać. [przypis edytorski]

— Nie bójcie się, żandarmi — rzekł Kuzenda — i módlcie się razem ze mną: Boże Ojczy, któryś się wcielił w ten statek.

— Boże Ojczy, któryś się wcielił w ten statek — powtarzał wachmistrz głosem zduszonym.

— Boże Ojczy, któryś się wcielił w ten statek — wołał głośno pan Hudec, rzucając się na kolana, a chór głosów na pokładzie przyłączył się do jego wołania.

## 9. UROCZYSTOŚĆ

Redaktor Cyryl Keval, miejscowy sprawozdawca praskich „Lidových Novin” przyodział się tym razem w czern i zaraz po szóstej wieczór pędził na Sztwanicę, aby zreferować uroczyste otwarcie nowej Centralnej Karburatorowej Elektrowni dla Wielkiej Pragi. Przepychał się przez tłumy ciekawych, którzy zatłoczyli całą dzielnicę Petrowską i przebił się przez trzy szeregi strażników aż do małej betonowej budowli, poobwieszanej sztandarami.

Z wnętrza domku słyhać, jak monterzy klną, bo już czas najwyższy, a tu naturalnie jeszcze nie wszystko gotowe. Spieszą się. Cała Centrala jest nie większa od publicznego szaletu. I tu spaceruje sobie, podobny poniekąd do filozofującej czajki, starusieńki pan redaktor Czwanczara z „Venkova”<sup>38</sup>. Pan Czwanczara grzecznie zagadał do młodego dziennikarza.

— Załóżcie się, panie kolego, że dzisiaj coś się stanie. Nie widziałem jeszcze parady, żeby się przy niej nie stało coś głupiego. I to się, mój paniczu, powtarza już od czterdziestu lat.

— To straszne, mistrzu — rzekł pan Keval — nieprawdaż, że ten oto domeczek ma oświetlać całą Pragę, pędzić tramwaje i pociągi aż do sześćdziesięciu kilometrów poza Pragę i dawać siłę napędową tysiącom fabryk i... i...

Pan Czwanczara pokiwał sceptycznie głową.

— Zobaczymy, panie kolego, zobaczymy. Nas, starej gwardii, już nic nie zaskoczy, ale — pan Czwanczara zniżył głos do szeptu — niech pan zwróci uwagę, panie kolego, że tu nawet nie ma zapasowego Karburatora. Gdyby się ten połamał, albo, przypuścmy, wyleciał w powietrze, wtedy... rozumie pan?

Kevalowi zrobiło się głupio, że sam nie wpadł na ten koncept.

— To jest wykluczone, mistrzu — zaczął przeczyć. — Mam murowane informacje. Ta elektrownia została zbudowana tylko na oko. Prawdziwa centrala jest całkiem gdzie indziej... Jest... jest... — szeptał, wskazując palcem głęboko pod ziemią. — Nie wolno mi powiedzieć gdzie. Czy mistrz zwrócił uwagę, że ciągle przebrukowują Pragę?

— Już od czterdziestu lat — rzekł pan Czwanczara w zadumie.

— Otóż w tym właśnie sęk — błagował Keval zwycięsko. — Pan rozumie, względy wojskowe. Ogromny system podziemnych korytarzy. Magazyny, prochownie i tak dalej. Posiadam bardzo dokładne informacje. Mamy szesnaście karburatorowych podziemnych twierdz dokoła Pragi. Na powierzchni ani śladu, tylko footballowe boiska, budka z sodową wodą albo patriotyczny pomnik, ha, ha, rozumie pan? Dlatego właśnie budujemy tyle różnych pomników.

— Młody przyjacielu — rzekł pan Czwanczara — cóż dzisiejsze pokolenie wie o wojnie! My starzy moglibyśmy powiedzieć niejedno. Aha, oto i pan starosta.

— I nowy minister wojny. Widzi pan, mówiłem panu. Redaktor „Techniki”. Główny dyrektor MEAS. Najwyższy rabin.

— Poseł francuski. Minister robót publicznych. Panie kolego, starajmy się dostać do środka. Arcybiskup. Poseł włoski. Prezydent senatu. Naczelnik Gminy Sokolskiej. Zobaczycie, panie kolego, że o kimś zapomnieli!

W tej chwili pan Cyryl Keval ustąpił swoje miejsce jakiejś damie, co oderwało go od seniora dziennikarza i od wejścia, przez które nieprzerwanie płynął potok zaproszonych gości. Nagle ozwały się dźwięki hymnu narodowego, zabrzmiała komenda straży honorowej i w otoczeniu świty panów w cylindrach i w uniformach wchodziła głowa państwa po czerwonym kobierczyku do betonowego budyneczku. Pan Keval wspinał się na palce

<sup>38</sup> „Venkov” (pol. „Wies”) — czeski dziennik, wychodzący w pierwszej połowie XX w., reprezentujący interesy rolników. [przypis edytorski]

i przeklinał swoją uprzejmość. Teraz już się do środka nie dostanie. Czwanżara ma rację, pomyślał jeszcze; zawsze zrobi się jakieś kapitalne głupstwo: na taki sławetny odpust zbudują taką marną budkę! Zresztą, co tam, mowy poda Agencja Telegraficzna, a sos do tego to się już dorobi: głębokie wzruszenie, niezrównany postęp, spontaniczna owacja na cześć głowy państwa...

Wewnątrz budynku nastąpiła nagle cisza i ktoś zaczął wałkować uroczyste przemówienie. Pan Keval ziewnął i z rękoma w kieszeniach obchodził budynek. Dobrze już szarżało. Policjanci w białych rękawiczkach mieli odświętne gumpalki. Po nadbrzeżach tłumy ludzi stłoczonych. Uroczyste przemówienie jest zbyt długie, jak zawsze. Kto to właściwie przemawia?

Na wysokości jakich dwóch metrów ujrzał Keval w murze betonowym niewielkie okienko. Rozejrzył się i hop! Uczepił się kraty i zbliżył mądrą swą głowę do okienka. Aha, przemawia pan starosta Wielkiej Pragi, czerwony jak rak. Obok niego stoi pan G. H. Bondy, prezes MEAS, jako przedstawiciel zakładów, i zagryza wargi. Głowa państwa trzyma rękę na przełączniku, aby go na dany znak nacisnąć. W jednej chwili zapłonie uroczyste oświetlenie w całej Pradze, rozbrzmieją<sup>39</sup> orkiestry, wystrzelą fajerwerki. Minister robót publicznych wierci się nerwowo: będzie prawdopodobnie przemawiał, gdy skończy mowę starosta. Jakiś młody oficerek podkręca wąsik, posłowie zagraniczni zachowują się tak, jakby byli całkowicie pochłonięci mową, z której nie rozumieją ani słowa, dwaj delegaci robotników stoją jak skamieniały, jednym słowem wspaniały przebieg — pomyślał pan Keval i zeskoczył.

Potem obleciał pięć razy dookoła całą Sztwanicę, powrócił do centrali i hop na okienko. Pan starosta mówił jeszcze. Gdy pan Keval dobrze nadstawił uszu, usłyszał całkiem wyraźnie: „...zbliżała się właśnie klęska białogórska<sup>40</sup>...” Szybko zeskoczył na ziemię, usiadł na boczku i zapalił. Było już porządnie ciemno. W górze między koronami drzew połyskiwały gwiazdki. Dziwne, pomyślał Keval, że i one nie poczekały, aż głowa państwa naciśnie przełącznik, aby mogły zabłysnąć. Cała Praga tonęła w mrokach. Wełtawa płynęła czarna, nie połyskująca odbiciem ani jednej lampy. Wszystko wyczekiwało w skupieniu na uroczyste okamgnienie Światłości. Gdy Keval dopalił całe Virginia, powrócił do centrali i podsadził się ku okienku. Pan starosta dobrze już purpurowy wciąż jeszcze mówił. Głowa państwa stoi z ręką na przełączniku, obecne osobistości rozmawiają z sobą półgłosem, tylko zagraniczni posłowie słuchają mowy pana starosty bez drgnienia. Gdzieś całkiem w tyle kiwa się głowa starusieńkiego pana Czwanżary.

Kiedy starosta skończył z powodu wyczerpania fizycznego, zaczął przemawiać minister robót publicznych. Widać było, jak rąbie zdania, aby mowę swoją co rychlej ukończyć. Głowa państwa przełożyła przełącznik do lewej ręki. Stary Bollington, dziekan ciała dyplomatycznego, skonał stojąc, ale nawet w śmierci zachował wyraz skupionego zasłuchania. Raptem minister skończył swoje przemówienie, jakby uciął.

Pan G. H. Bondy podniósł głowę, rozejrzył się wkoło ciężkim spojrzeniem i wypowiedział parę słów. Zdaje się, że tyle tylko, iż zakłady MEAS oddają swoje dzieło publiczności dla dobra i użytku naszej stolicy. I już. Głowa państwa wyprostowała się i nacisnęła przełącznik. Cała Praga zajaśniała nagle niezmiernym blaskiem, tłumy wydały okrzyk, rozkołysały się dzwony na wszystkich wieżach, na baszcie mariańskiej huknął pierwszy strzał armatni. Keval, wiszący u kraty, odwrócił spojrzenie ku miastu. Z Wyspy Strzeleckiej<sup>41</sup> wyleciały ku niebu promieniste rakiety. Hradczany<sup>42</sup>, Petrzyn<sup>43</sup> i Letna<sup>44</sup> zajaśniały girlandami żarówek, kilka oddalonych orkiestr jęło się zmagać z sobą. Nad

<sup>39</sup>rozbrzmieją — dziś popr. forma 3 os. lm. cz. przysz.: rozbrzmia. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>klęska białogórska, właśc. bitwa na Białej Górze — bitwa rozegrana w 1620 r. w okolicy wzgórza Biała Góra (dziś w granicach Pragi). Protestantycy Czesi zostali pokonani przez katolickich Habsburgów. Konsekwencją tej klęski było zniemczenie elit i degradacja czeskiej kultury, trwająca aż do XIX w. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>Wyspa Strzelecka, czes. *Strželecký ostrov* — wyspa na Wełtawie w Pradze, połączona z brzegami mostem Legii. [przypis edytorski]

<sup>42</sup>Hradczany, czes. *Hradčany* — dzielnica Pragi, powstała w XIV w. na wysokim brzegu Wełtawy, wokół średniowiecznego zamku królewskiego, jako samodzielne miasto; do Pragi zostały Hradczany włączone w 1784 r. [przypis edytorski]

<sup>43</sup>Petrzyn, czes. *Petrřín* — kompleks parkowy w Pradze, na wzgórzu sąsiadującym z Hradczanami. Znajduje się tam m.in. powstała w 1891 r. wieża widokowa, w kilka lat po ukazaniu się *Fabryki Absolutu* wybudowano tam obserwatorium i największy na świecie stadion piłkarski. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>Letna — wzgórze w Pradze, położone nad Wełtawą, na północ od centrum miasta. [przypis edytorski]



Sztwanicą<sup>45</sup> krążyły oświetlone biplany<sup>46</sup>, od strony Wyszehradu<sup>47</sup> płynął nad miastem olbrzymi V-16<sup>48</sup> obwieszony lampionami. Tłumy obnażyły głowy, policjanci przyłożyli ręce do kasków i stali nieruchomi jak posągi. Z baszty były teraz dwie baterie, którym odpowiadały monitory<sup>49</sup> od strony Karlina<sup>50</sup>. Keval przycisnął znowu twarz do kraty, aby ujrzyć koniec ceremoniału w środku, przy Karburatorze. W tejże chwili krzyknął, wytrzeszczył oczy i po prostu przyssał się do okienka. Potem jęknął, jak gdyby zawołał:

— O mój Boże! — wypuścił kratę z rąk i ciężko opadł na ziemię. Zanim jeszcze stanął na ziemi, natknął się na niego człowiek uciekający co siły w nogach. Keval złapał go za surdut: uciekający się obejrzał. Był to G. H. Bondy, śmiertelnie blady.

— Co się tam stało, panie prezesie? — pytał Keval szczękając zębami. — Co oni tam robią?

— Proszę mnie puścić! — zawołał Bondy. — Na Boga, puść mnie pan! Uciekajmy stąd!

— Ale co się tam z nimi stało?

— Puścić! — krzyknął Bondy i pięściami odepchnął Kevala między drzewa.

Drżąc, wsparł się Keval o pień drzewa. Ze środka betonowego domku słychać było coś jak barbarzyński śpiew.

\*

Po paru dniach urzędowa Agencja Telegraficzna zaprodukowała publiczności następujący mglisty tekst: „Wbrew wiadomościom pewnej miejscowej gazety, cytowanej także za granicami, komunikujemy ze źródeł jak najlepiej poinformowanych, że przy uroczystym otwarciu Centrali Karburatorowej nie zdarzyło się nic nieprzystojnego. W związku z tym starosta Wielkiej Pragi złożył swój urząd i wyjechał na kurację. Natomiast dziekan Billington jest zupełnie zdrow i krzepki. Prawdą jest jedynie to, iż wszyscy zebrani oświadczyli zgodnie, że wrażeń tak potężnych nigdy dotychczas nie doznali. Paść na ziemię i kłaniać się swemu Bogu jest prawem każdego obywatela, a czynienie cudów nie jest zakazane w państwie demokratycznym żadnemu obywatelowi, na jakimkolwiek urzędzie. W każdym razie stanowczo nie należy wciągać głowy państwa w wypadki godne pozwolowania, spowodowane jedynie przez niedostateczną wentylację i nerwowe przecracowanie”.

Plotka

## IO. ŚWIĘTA ELEN

W kilka dni po tych wydarzeniach błądził pan G. H. Bondy ulicami Pragi z cygarem w zębach i rozmyślał. Gdyby nań kto spojrział, to pomyślałby, że pan Bondy patrzy na chodnik; ale pan Bondy patrzył w przyszłość. Mówił sobie w duchu, że Marek miał rację. A ten biskup Linda miał tej racji jeszcze więcej. Jednym słowem nie można wprowadzić Boga na świat bez sakramentnych następstw. Ludzie to głupstwo; niech sobie robią, co im się żywnie podoba, ale nie można dopuścić do zachwiania się banków, bo nie wiadomo, jak oddziaływałyby to na przemysł. Dziś wybuchnął w banku Živno strajk religijny. Zmontowaliśmy tam Karburator i wnętrze, po dwóch dniach urzędnicy banku ogłosili majątek jego jako fundusz boży dla ubogich. Taka rzecz nigdy dawniej stać się nie mogła. Nie, stanowczo stać się nie mogła.

Zgnębiony Bondy ssał swe cygaro. No więc co? — pytał w duchu. — Cisnąć wszystko do diabła? Na dzisiaj mamy zamówień na dwadzieścia i trzy miliony. Tego zatrzymać już nie można. Może z tego będzie koniec świata czy coś w tym guście. Za dwa lata wszystko będzie leżało na kupie.

<sup>45</sup>Sztwanica, czes. *Ostrov Štvanice* — wyspa na Węławie w Pradze. [przypis edytorski]

<sup>46</sup>biplan — dwupłat, samolot o dwóch płatach nośnych (tj. dwóch parach skrzydeł), umieszczonych jeden nad drugim. Samolot taki jest bardziej zwrotny, ale nie tak szybki, jak maszyna z jedną parą skrzydeł. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>Wyszehrad — tu: wzgórze w Pradze, na prawym brzegu Węławy (w innym znaczeniu: miasto na Węgrzech). [przypis edytorski]

<sup>48</sup>V-16 — najprawdopodobniej mowa o sterowcu. [przypis edytorski]

<sup>49</sup>monitor — tu: okręt artyleryjski. [przypis edytorski]

<sup>50</sup>Karlin, czes. *Karlín* — dzielnica Pragi. [przypis edytorski]

Teraz już pracuje na świecie parę tysięcy Karburatorów, a każdy z nich w dzień i w nocy zije Absolutem. A ten Absolut jest diablo inteligentny. Ma jakąś wariacką ochotę zaprzęgnąć się do roboty. No tak, nie ma nic do robienia, już tysiąc lat nic nie robił, a teraz spuściliśmy go z łańcucha. Co on wyrabia, na przykład w banku Živno! Sam prowadzi księgi i rachunkowość, sam załatwia korespondencję. Radzie zarządu udziela rozkazów na piśmie. Kontrahentom rozsyła ogniste epistoły o miłości czynnej. No dobrze, ale akcje Živno są teraz makulaturą. Kilogram za gomółczkę. Tak to bywa, gdy Bóg wmiesza się w sprawy bankierskie.

Firma Oberlander, fabryka włókiennicza w Upicy, bombarduje nas rozpaczliwymi depeszami. Przed miesiącem zamiast kotłów ustawili sobie Karburator. Dobrze, maszyny idą. All right. Ale nagle zaczynają selfaktory i krosna pracować same przez się. Gdy się rwie nitka, to się sama związuje i wszystko idzie dalej. Robotnicy z rękoma w kieszeniach gapią się tylko. O szóstej praca się kończy, przędzalnicy i tkacze idą do domu. Ale krosna pędzą dalej, same przez się, całą noc, cały dzień, całe trzy tygodnie i tkają, tkają bez ustanku. Firma depeszuje: Do wszystkich diabłów, bierzcie od nas towar, posyłajcie surowce, zatrzymajcie maszyny! Teraz zaczęło się to samo w fabryce braci Buxbaumów, Morawtza i Sp. przez prostą zarazę na odległość. Na miejscu nie ma już surowców. W panice wrzucają do selfaktorów szmaty, słomę, ziemię, co im wpadnie w ręce. Ale proszę, i z tego tkają się kilometry ręczników, perkalików, kretonów i tak dalej. Straszliwy popłoch. Ceny wyrobów włókienniczych walą się na łeb na szyję. Anglia podnosi cła ochronne, państwa sąsiednie grożą bojkotem. A fabryki biadają: Rany boskie, zabierzcie precz przynajmniej towar! Wywieźcie to gdziekolwiek, pošlijcie nam ludzi, wagony, autopociągi, zatrzymajcie maszyny! Wnoszą do sądu skargi o odszkodowanie. Przeklęte życie! A wiadomości takie przychodzą zewsząd, gdziekolwiek zaprowadzono sobie Karburator. Absolut szuka pracy. Chce mu się wściekle żyć! Dawniej tworzył światy, teraz rzucił się na fabrykację. Zagarnął już Liberec, brneńskie bawełnianki, Trutnow, dwadzieścia cukrowni, tartaki, Mieszczkański Browar w Pilźnie; zagraża fabrykom Škody; pracuje w Jabłońcu i w kopalniach jachimowskich. Tu i ówdzie zwalniają robotników, gdzie indziej pozamykali fabryki i ze zgrozą pozwalają zamkniętym maszynom pracować. Straszliwa nadprodukcja. Fabryki bez Absolutu wstrzymują produkcję. Przewrót i zamęt.

Ale ja — rzekł do siebie pan Bondy — jestem patriotą. Nie pozwolę rujnować naszej mateczki ojczyzny. Zresztą mamy tutaj swoje własne fabryki. Dobrze. Od dzisiaj stornujemy zamówienia z Czech. Co się stało, to się stało, ale od tej chwili nie ustawimy w Czechach już ani jednego Karburatora. Zrzucimy nimi Niemcy i Francję, potem będziemy Absolutem bombardowali Anglię. Anglia jest konserwatywna, zamyka się przed naszymi Karburatorami. Będziemy rzucać je tam z powietrza, niby wielkie bomby. Cały świat przemysłowy i finansowy zarazimy Bogiem i tylko u nas pozostawimy sobie taką kulturalną bezbogą wysepkę rzetelnej pracy. Jest to, że tak powiem, obowiązkiem patriotycznym, a prócz tego chodzi przecie i o nasze własne fabryki. G. H. Bondy poweselał przy tej myśli. Przynajmniej zyskamy u nas na czasie, dopóki nie zostaną wynalezione jakieś ochronne maski przeciwko Absolutowi. Do diabła, ja sam wypiszę trzy miliony na badania ochrony przeciwko Bogu. Albo powiedzmy na razie dwa miliony. Wszyscy Czesi będą chodzili w maskach, a tymczasem tamci inni będą się topić w Absolutcie, cha, cha. Przynajmniej ich przemysł diabli wezmą.

Pan Bondy zaczął spoglądać na świat jasnymi oczyma. Aha, tu oto idzie jakaś młoda kobitka. Idzie sobie ładnie i elastycznie. Jaka też jest od frontu? Pan Bondy przyśpieszył kroku, prześcignął ją i uchylił się nagle grzecznym łukiem. Ale widocznie się rozmyślił, bo obrócił się na pięcie tak szybko, że omal nie zderzył się z nią nosem w nos.

— Pani, panno Elen — rzekł z pośpiechem. — Nie przypuszczałem, że... że...

— Wiedziałam, że pan idzie za mną — mówiło dziewczę, spuściwszy oczy i przystanąwszy.

— Pani przeczuwała — mówił Bondy uradowany. — Właśnie myślałem o pani.

— Ja czułam pańską zwierzęcą chuć — rzekła Elen cicho.

— Moją co...?

— Pańską zwierzęcą chuć. Pan mnie nie poznał. Tylko obmacywał mnie pan oczami, jakbym była na sprzedaż.

G. H. Bondy się zachmurzył.

— Panno Elen, czemu pani pragnie mnie obrazić?

Elen zakręciła głową.

— Wszyscy to robią. Wszyscy, wszyscy są jednacy. Tak rzadko spotyka się czyste oczy.

Pan Bondy złożył usta do gwizdnięcia. Aha, już wiemy: gmina religijna starego Machata!

— Tak — odpowiedziała Elen na jego myśl. — Powinien pan zachodzić czasem między nas.

— Ależ z przyjemnością! — zawołał pan Bondy i pomyślał przy tym, że szkoda tak ładnej dziewczyny.

— Dlaczego szkoda? — zapytała Elen łagodnie.

— Hola, panno Elen — zaprotestował Bondy — pani czyta moje myśli. To nieuczciwie. Gdyby ludzie odczytywali swoje myśli, nie mogliby utrzymywać z sobą przyzwoitych stosunków. Przecież to niedelikatność, żeby wiedzieć, co sobie myślę.

— Cóż ja zrobię? — mówiła Elen. — Każdy, kto pozna Boga, ma ten dar. Każda pańska myśl myśli się równocześnie we mnie. Ja jej nie czytam, ja mam ją sama. Gdyby pan wiedział, jak to człowieka oczyszcza, gdy może osądzić każdą utajoną nikczemność!

— Hm — mruknął pan Bondy drżąc, aby czego nie pomyśleć.

— Naprawdę — zapewniała go Elen. — Mnie to z pomocą bożą wyleczyło z miłości do bogactwa. Starsznie byłabym rada, gdyby i panu spadło bielmo z oczu.

— O, nie daj Boże! — przeraził się Bondy. — A, proszę pani, czy pani rozumie wszystko to, co pani hm, w ludziach no... widzi?

— O, jak najdokładniej.

— No to niech pani słucha, panno Elen — rzekł Bondy — mogę pani powiedzieć wszystko, i tak by to sobie pani we mnie przeczytała. Nigdy nie mógłbym pojąć żony, która czytywałaby moje myśli... Święta mogłaby sobie być, owszem; miłosierna wobec ubogich bez ograniczeń; zarobię na to i jest to reprezentacyjne. Nawet cnotę zniósłbym ostatecznie, z miłości dla pani. Wszystko bym zniósł. Kochałem panią na swój sposób, panno Elen. Mówię to pani, bo pani sama to czyta. Ale bez skrytych myśli, panno Elen, nie ma ani handlu, ani obcowania z sobą. Głównie zaś bez skrytych myśli nie ma małżeństwa. To jest wyłączone, panno Elen. I choćby pani znalazła najświętszego człowieka, niech pani nie wychodzi za niego, dopóki może pani odczytywać jego myśli. Trochę ułudy, to jedyny nie zawodzący środek łączący ludzi. Święta Elen, nie wychodź za mąż!

— Dlaczego nie? — rzekła święta Elen słodko. — Nasz Bóg nie jest przeciwny naturze. Uświęca ją tylko. Nie żąda od nas umartwienia. Nakazuje nam życie i płodność. Chcę, abyśmy...

— Hola! — przerwał jej G. H. Bondy. — Wasz Bóg tego nie rozumie. Jeśli pozbawia nas złudy, to jest zdecydowanie przeciwny naturze. Jest po prostu niemożliwy, Elen, absolutnie niemożliwy. Musi to zresztą i sam zrozumieć. Albo jest zupełnie niedoświadczony, albo też zupełnie i zbrodniczo destrukcyjny. Szkoda, panno Elen. Ja nie jestem wrogiem religii, ale ten wasz Bóg nie wie, czego żądać, a czego nie żądać. Niech pani idzie na pustynię ze swoim jasnowiedztwem, święta Elen. Dla nas, ludzi, taka rzecz się nie nadaje. Żegnaj, święta Elen, i raczej do niewidzenia.

## II. PIERWSZE STARCIE

Dotychczas nie ustalono, w jaki sposób to się stało, ale właśnie wtedy, kiedy to fabryczka inżyniera R. Marka (Brzewnow, ul. Mixa 1651) była obsadzona przez detektywów i otoczona kordonem policyjnym, nieznanymi sprawcy skradli doświadczalny Karburator Marka. Pomimo usilnych dochodzeń wszelki ślad skradzionej maszyny zaginął.

W jakiś czas potem właściciel karuzeli, Jan Binder, kupował naftowy motorek dla karuzeli i orkiestronu u handlarza starym żelastwem na placu Hasztalskim. Handlarz zaproponował mu duży miedziany walek z kołem pędnym i powiedział mu, że to bardzo tani motor. Nasypiesz troszeczkę węgla do środka i pędzi maszyna całe miesiące. Jan Binder powziął wprost ślepe zaufanie do miedzianego walka i kupił go za trzy setki. Sam

Rozmowa, Telepatia,  
Tajemnica

Maszyna

go sobie potem podwiózł na wózku do swej karuzeli, która stała właśnie koło Zlichowa<sup>51</sup> i miała zepsuty napęd.

Jan Binder zrzucił marynarkę, zdjął z wózka miedziany walek i pogwizdując zabrał się do roboty. Na walcu umocował koło pędne, na koło założył pas i przerzucił go na inny walek, który miał jednym końcem uruchamiać karuzelę, drugim zaś orkiestrion. Potem naoliwił łożyska, pchnął koło i wsadziwszy ręce w kieszenie i pogwizdując sobie, stał w pasiastym trykocie, czekając w zamyśleniu co też się stanie. Koło obróciło się trzy razy dokoła swej osi i stanęło: potem zadygotało, zatrzęsło się i zaczęło kręcić się cicho, poważnie. Raptem ozwał się orkiestrion wszystkimi swoimi bębenkami i piszczałkami, karuzela otrząsnęła się i zaczęła kręcić się płynnie. Zaiskrzyła się srebrna frędzla, białe konie w czaprakach pociągnęły czerwonymi lejcami książęce karoce, jeleni o dziko wytrzeszczonych oczach płynął wokoło, wspięty do skoku, łabędzie o szlachetnych szyjach wlokły za sobą swe bielutkie i błękitne łodzie... Iskrząc się, brzęcząc muzyką, roztaczała karuzela swoją rajską krasę przed nieruchomymi oczami trzech Gracyj wymalowanych na orkiestrionie zachłystującym się własną muzyką.

Jan Binder stał ciągle z ustami złożonymi do gwizdania i z rękoma w kieszeniach. Spoglądał na swoją karuzelę jak we śnie, oczarowany czymś nowym i przepięknym. Ale już nie był sam. Zaplakane i umorusane dziecko ciągnęło ku karuzeli swoją młodą piastunkę i stanęło przed nią z oczyma ogromnymi i z buzią otwartą szeroko w zachwycie. I piastunka wytrzeszczyła oczy i stała jakby w olśnieniu. Karuzela krążyła, cudownie płonąca, majestatyczna, wspaniała jak święto. Raz pędziła w szalonym namiętym wirze, to znów kołysała się jak statek ciężki woniami Indyj<sup>52</sup>, albo płynęła jak złoty obłok wysoko na niebie. Zdawało się, że wznosi się oderwana od ziemi, że goreje, że śpiewa. Nie, to śpiewa orkiestrion. Teraz zachłystuje się kobiecymi głosami, na które spada złocisty deszcz harfianych tonów, to znów huczy jak dziewiczy las czy organy, ale z głębi dziewiczego lasu lecą śpiewając ptaki i siadają ci na ramionach. Złote trąby zwiastują wjazd zwycięzcy, czy może całego wojska, połyskującego ognistymi mieczami. A kto tu śpiewa taki uroczysty hymn? Tysiące machają palmami, niebo się otwiera i przy łomocie bębnow spływa na ziemię śpiew samego Boga.

Jan Binder podnosi rękę, ale karuzela zatrzymuje się nagle i nachyla się rozwartymi objęciami ku dziecięciu. Dziecię drepce ku karuzeli, jakby szło do rozwartej bramy raj, a piastunka jak we śnie idzie za nim i sadowi je w łabędziej łodzi.

— Dzisiaj darmo — rzekł Binder ochryple, orkiestrion zaśpiewał i karuzela popłynęła, jakby się wznosiła do nieba. Co to? Przecież nie kręci się już karuzela, ale cała ziemia wiruje w koło, Zlichów ze swoim kościołem opisuje olbrzymie kolisko, podolskie sanatorium sunie razem z Wyszehradem i przetacza się na drugi brzeg Wełtawy. Ależ tak, cała ziemia obraca się dokoła karuzeli, krąży coraz szybciej, wiruje jak turbina. Tylko karuzela stoi pośrodku, kołysząc się łagodnie niby statek, na którego pokładzie chodzą białe konie, jelenie, łabędzie i małe dziecko, które za rękę prowadzi piastunkę i głaszcze zwierzęta. Ależ tak, ziemia kręci się jak szalona i tylko karuzela jest lubą wysepką spokoju i odpoczynku. I Jan Binder, zataczając się, z żołądkiem wzburzonym, porażony wirowaniem ziemi, z rękoma wzniesionymi idzie, utykając ku karuzeli, chwyta się tyki i wskakuje na jej spokojny pokład.

Teraz dopiero widać, jak dygoce ziemia, falując niby wzburzone morze, lecz co to? Z domków wybiegają wystraszeni ludzie, wymachują rękoma, zataczają się i padają, unoszeni jak na olbrzymim wirującym kole. Binder mocno trzyma się tyki, nachyla się ku nim i ryczy: — Do mnie, ludkowie, do mnie!

A ludzie widzą promieniującą karuzelę, spokojnie wznoszącą się nad wirującą ziemią i zataczając się pędzą ku niej. Binder trzymając się tyki podaje im wolną rękę i wyciąga ich z fal ziemi. Dzieci, babki i wujaszkwowie stoją teraz uratowani na pokładzie karuzeli, oddychają spokojniej po tym wielkim lęku i dziwiają się widząc, jak ziemia obraca się dokoła. Już wszystkich Binder wyratował i wciągnął na pokład, ale jeszcze biega tu jakieś czarne psisko, skuczy ze strachu i chciałoby dostać się na wierzch, ale ziemia unosi je

<sup>51</sup>Zlichow, Zlichov — dzielnica Pragi. [przypis edytorski]

<sup>52</sup>Indyj — dziś częstsza forma D.: Indii. [przypis edytorski]

coraz szybciej i szybciej, kręcąc się dookoła karuzeli. Więc Binder kucnął, wysunął rękę na dół, schwycił psa za obroź i wciągnął na karuzelę.

Teraz zaintonował orkiestrion pieśń dziękczynienia. Brzmiała ona niby chór rozbitków, w którym szorstkie głosy marynarzy mieszają się z dziecięcymi modlitewkami. Nad rozpętaną burzą sklepia się melodyjna tęcza (h-moll) i niebo rozgarnia się uszczęśliwionym blaskiem skrzypcowego pizzicata. Rozbitkowie na karuzeli Bindera stoją, milcząc, z głowami obnażonymi. Kobiety poruszają ustami w niemej modlitwie, a dzieci zapominają już o przeżytych okropnościach i odważają się głaskać twarde pyszczek jelenia i wiotkie szyje łabędzi. Białe konie cierpliwie pozwalają dziecięcym nóżkom wdrapywać się na siodła: czasem który z nich zarzy i mądrze grzebnie kopytem. Ziemia kręci się już znacznie wolniej, a Jan Binder, wysoki w pasiastym trykocie bez rękawów, zaczyna nieumiejętnie przemawiać:

— Tak, ludkowie, zebraliśmy się tutaj, ucieklszy mitręgom wszelkim i zamętowi świata tego. Tutaj jest pokój boży wśród burzy, tu jesteśmy poukładani w Panu Bogu jak w pościeli. To jest znak, że mamy uciekać z tej ziemskiej kołowaczyny i uchylać się w objęcia boże, amen.

W podobny sposób przemawiał wtedy Jan Binder, a ludzie na karuzeli słuchali słów jego jak w kościele. Wreszcie ziemia się zatrzymała, orkiestrion cicho i pobożnie preludował<sup>53</sup>, a ludzie zeskakiwali z karuzeli. Jan Binder zaznaczył jeszcze, że to było darmo, i odpuszczał ich nawróconych i zbudowanych. A gdy potem koło godziny czwartej spacerowały mamusie z dziećmi i starzy emeryci między Zlichowem i Smichowem, orkiestrion znowu się rozdzwieczał, a ziemia znowu krążyć zaczęła, Jan Binder ponownie wszystkich uratował na pokładzie karuzeli i uspokoił ich przygodnym kazaniem. O szóstej szli robotnicy z pracy, o ósmej wynurzyli się ze zmierzchu kochankowie, a jeszcze po dziesiątej włączyły się łaziki idące z szynków i kin. Wszyscy po kolei bywali porywani wirem ziemi i ratowani na pokładzie karuzeli, gdzie uspokajały ich odpowiednie słowa Jana Bindera.

Po tygodniu tej duszobawczej działalności karuzela pana Bindera opuściła Zlichów i wędrowała dalej wzdłuż Wełtawy do Chuchli<sup>54</sup>, Zbrasławia<sup>55</sup>, a w końcu do Sztiechowic. W Sztiechowicach pracowała już cztery dni z ogromnym religijnym powodzeniem, gdy doszło do zdarzenia nieco niejasnego.

Jan Binder dokończył właśnie kazanie i z błogosławieństwem odpuszczał nowych uczniów swoich, gdy wtem z mroku wynurzył się ciemny milczący tłum. Na jego czele kroczył wysoki, brodaty mężczyzna i podszedł prosto do Bindera.

— Więc tak — rzekł, przewyciężając wzburzenie — spakuj pan swoje manatki, bo jak nie, to...

Wierni binderowcy usłyszeli te słowa i zawracali ku swemu nauczycielowi. Binder, czując za plecami swoich ludzi, odpowiedział stanowczo:

— Jak będzie po deszczu.

— Miarkuj się pan — rzekł inny wzburzony mąż. — Mówi z panem sam pan Kuzenda.

— Daj pan spokój, panie Hudec — rzekł brodaty mąż. — Ja załatwię z nim tę sprawę sam. Więc mówię wam po raz drugi: spakuj się pan, bo wam cały ten kram rozwałę w imię Pańskie.

— No to wy sami idźcie do domu — odpowiedział Binder — bo wam w imię Pańskie wybije zęby.

— Do stu tysięcy! — zawołał maszynista Brych, wysuwając się na czoło tłumy. — Niech spróbuje!

— Bracie — rzekł łagodnie Kuzenda — najprzód po dobremu. Panie Binder, pan tu robisz oszukańcze gusła, a my tego nie ścierpimy tak blisko naszej bagrownicowej świątyni.

— Szwindlowa bagrownica — rzekł Binder z wielką pewnością siebie.

— Coś pan powiedział? — zawołał Kuzenda dotknięty do żywego.

— Szwindlowa bagrownica.

<sup>53</sup>preludować — grać preludia. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>Chuchla, czes. *Malá Chuchle, Velká Chuchle* — dziś część Pragi, w pld. części miasta. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>Zbrasław, czes. *Zbraslav* — dziś część Pragi, do 1974 samodzielna miejscowość położona na pld. od stolicy Czech. [przypis edytorski]

Co było potem trudno rozwikłać i ustalić. Zdaje się, że pierwszy ruszył piekarz z obozu Kuzendy, ale Binder dał mu pięścią w łeb. Gajowy uderzył Bindera kolbą fuzji w pierś, ale w następstwie fuzję stracił, a pewien młodzieniec ze Sztiechowic (z obozu Bindera) wybił nią Brychowi przednie zęby i zrzucił kapelusz panu Hudecowi. Pocztowiec (zwolennik Kuzendy) dusił jakiegoś smyka Binderowego. Binder przyskoczył mu na pomoc, ale dziewczyna ze Sztiechowic rzuciła się na niego od tyłu i ugryzła go w ramię, gdzie pan Binder miał wytatuowanego czeskiego lwa<sup>56</sup>. Któryś z ludzi Bindera dobył noża, gromada Kuzendy cofała się pozornie, ale mniejsza jej część rzuciła się na karuzelę, strąciła jeleniowi poroże i skręciła jeden ze szlachetnych karków łabędzich. Raptem westchnęła karuzela, pochyliła się i jej strzecha spadła na walczącą grupę. Kuzenda uderzony tyką stracił przytomność. Wszystko odbywało się w ciszy i w ciemności. Gdy przybiegli ludzie, Binder miał złamany obojczyk, Kuzenda leżał w omdleniu, Brych wypluwał zęby i krew, a dziewczę ze Sztiechowic histerycznie szlochało. Inni się porozbiegali.

## 12. DOCENT PRYWATNY

Młody uczyony, doktor filozofii Blahouš, liczący sobie dopiero lat pięćdziesiąt i pięć, z zawodu docent prywatny<sup>57</sup> porównawczej religiologii na uniwersytecie Karola, zacierał ręce, zasiadając nad poczętymi kartkami papieru. Jakby mimochodem napisał nagłówek: „Zjawiska religijne ostatnich czasów” i zaraz zaczął pisać swój artykuł: „Spór o definicję pojęcia »religia« trwa już od czasów Cyncerona...” Napisawszy te słowa, zamyślił się. Ten artykuł — pomyślał — poślę do „Czasu”. Zobaczycie, panowie koledzy, jaki szum powstanie koło niego! Co za szczęście dla mnie, że akurat teraz wybuchła ta gorączka religijna! Aktualny będzie artykułusik! Nasze gazety będą pisały: „Młodszy nasz uczyony, dr fil. Blahouš, wydrukował właśnie wnikliwe studium itd. Potem otrzymam stanowisko profesora nadzwyczajnego i koledzy popękają z zawiści. Młody uczyony znowu zatarł ręce przywiedle już po trosze, aż mu w palcach radośnie zatrzęszczało, i zabrał się do roboty. Gdy wieczorem gospodyni przysłała zapytać, co chciałby na kolację, dotarł już był do ojców kościoła i kończył kartkę sześćdziesiątą. O godzinie dwudziestej trzeciej miał zapisanych kartek 115 i zbliżał się właśnie do definicji pojęcia religii, w której jedno słowo było całkiem inne, niż w definicji jego poprzednika. Potem zwięźle omówił metody ścisłej wiedzy religiologicznej (z kilku chłasnieniami polemicznymi) i tym zakończył krótki wstęp do swego artykułu.

Mijała już północ, kiedy nasz docent pisał: „Właśnie w ostatnich czasach wynurzyły się różne zjawiska religijne i kultyczne, które zasługują na uwagę ścisłej wiedzy religiologicznej. Chociaż właściwym zadaniem jej jest badanie zjawisk religijnych narodów dawno wymarłych, to jednak i żywa terażniejszość może dostarczyć współczesnemu, dr Blahouš podkreślił przymiotnik współczesnemu, badaczowi wielu spostrzeżeń, które *mutatis mutandis*<sup>58</sup> rzucą snop światła na kultury starożytne, dostępne w gruncie rzeczy jedynie naszym domysłem”.

Potem podług gazet i ustnych świadectw opisał kuzendyzm, w którym znalazł ślady fetysyzmu, a nawet totemizmu (bagrownica jako totemowy bóg Sztiechowic). U Binderowców stwierdził kultyczne pokrewieństwo z tańczącymi derwiszami i ze starymi kultami orgiastycznymi. Nie ominął zjawisk przy otwarciu elektrowni i z zadziwiająco bystrością spostrzegacza związał je z perskim kultem ognia. W religijnej gminie starego Machata odkrył rysy ascetyczne i fakirskie; cytował różne przypadki jasnowiedzenia i cudownego uzdrawiania, które całkiem trafnie przyrównał do czarownictwa dawnych środkowo-afrykańskich szczepów murzyńskich. Nieco obszerniej omówił zjawisko epidemii psychicznych i sugestii tłumów, przypomniał pochody biczowników, wyprawy krzy-

<sup>56</sup>czeski lew — herb dawnych czeskich władców i godło Czech. [przypis edytorski]

<sup>57</sup>docent prywatny, niem. *Privatdozent* — w kulturze niemieckiej doktor habilitowany nie opłacany przez uczelnię. [przypis edytorski]

<sup>58</sup>*mutatis mutandis* (łac.) — zmieniwszy to, co wymagało zmiany; pomijając nieścisłości. [przypis edytorski]

zowe, chiliazm<sup>59</sup> i malajski amok<sup>60</sup>. Objął ruchy religijne ostatnich czasów z dwóch psychologicznych punktów widzenia: jako przypadłości zwyrodniałych histeryków i jako zbiorową epidemię psychiczną zabobonnych mas mniej wartościowych. W obu wypadkach demonstrował atawistyczny przejaw prymitywnych form kultycznych wraz ze skłonnościami do animistycznego panteizmu i szamanizmu, do religijnego komunizmu przypominającego nowochrześciców i w ogóle niedowład czynności rozumowej przy wybujałościach najniższych popędów zabobonności czarowniczej, okultycznej<sup>61</sup>, mistycznej i bałwochwalczej.

„Nie będziemy tu rozstrzygać — pisał dalej dr Blahouš — jak dalece chodzi tu o szarlatanstwo i oszustwo jednostek wyzyskujących łatwowierność ludu; przy badaniu naukowym pokazałoby się z pewnością, że domniemane »cudy« dzisiejszych cudotwórców są jedynie starymi, dobrze znanymi kawałami bałamutnej sugestii. Urzędowi bezpieczeństwa i psychiatrom zalecamy z tej dziedziny życia codziennie powstające »gminy religijne«, sekty i kółka. Ścisła wiedza religiologiczna ustala, że wszystkie te zjawiska religijne są w gruncie rzeczy barbarzyńskim atawizmem i chaotyczną mieszaniną najdawniejszych pierwiastków kultycznych, żyjących podświadomie w ludowej wyobraźni. Wystarczyło paru fanatyków, szarlatanów i zdeklarowanych maniaków, aby pod powłoką cywilizacji przebudziły się w europejskiej ludzkości owe przedhistoryczne motywy wier religijnych, które...”

Dr Blahouš powstał znad biurka. Właśnie dopisał był 346 ćwiartkę swego artykułu, ale nie czuł się jeszcze zmęczony. Muszę przygotować efektowne zakończenie — pomyślał: parę myśli o postępie wiedzy, o podejrzanej życzliwości rządu dla religianckiego zabobonstwa, o konieczności zmontowania bojowego frontu przeciwko reakcji i tak dalej.

Młody nasz uczyony, uskrzydłony entuzjazmem i natchnieniem, podszedł do okna i wychylił się ku cichej nocy. Było pół do piątej rano. Dr Blahouš patrzył w ciemną ulicę, drżąc nieco od chłodu. Wszędzie było martwo, ani jedno światełko nie czuwało w ludzkich oknach. Docent prywatny podniósł oczy ku niebu; bladło już po trosze, ale iskrzyło się gwiazdami w beźmiernym majestacie.

— Jak dawno nie popatrzyłem na niebo! — westchnął naukowiec. — Mój Boże, będzie temu przeszło trzydzieści lat!

Tkliwy wietrzyk powiał mu na czoło, jakby ktoś ujął jego głowę przeczystymi, chłodzącymi rękoma. — Jestem zawsze taki samotny, zawsze taki samotny! — pomyślał ze smutkiem stary człowiek.

— Och, pogłaszcz mnie trochę po włosach! Już trzydzieści lat nikt nie położył mi dłoni na czole!

Drżąc i trzęsąc się stał dr Blahouš w oknie.

— Coś tu jest — poczuł i pomyślał nagle w słodkim i tęsknym zachwycie. — O Boże, przecie ja tu nie jestem sam! Trzyma mnie coś w objęciach, ktoś stoi koło mnie. Ach, niechaj zostanie!

Gdyby w tej chwili pani gospodyni była weszła do jego pokoju, byłaby go ujrzała stojącego z obiema rękami wzniesionymi wysoko i z głową odchylną w tył w postawie najwyższego zachwycenia. Ale Blahouš drgnął, rozwarł oczy jak we śnie i powrócił do biurka.

„Z drugiej jednak strony nie można wątpić — pisał szybko, nie troszcząc się o to, co napisał przedtem — że obecnie Bóg nie może objawiać się inaczej jak w prymitywnych formach kultycznych. Współczesny upadek wiary przerwał związki z dawnym życiem religijnym. Bóg musi zaczynać od początku, nawracając nas ku sobie, jak niegdyś czynił z dzikusami. Najpierw jest bałwanem i fetyszem, jest bożkiem grupy, klanu albo szczepu. Ożywia przyrodę i oddziaływa przez czarowników. W naszych oczach powtarza się

<sup>59</sup>chiliazm (z gr. *χίλια*, *chilia*: tysiąc), dziś częściej *millenaryzm* (z łac.) — koncept religijny pochodzący z tradycji żydowskiej i pełniący istotną rolę w pojmowaniu świata przez chrześcijan w pierwszych wiekach n.e. Spodziewali się oni szybkiego powrotu Chrystusa, co miało zapoczątkować tysiącletni okres jego panowania na ziemi. [przypis edytorski]

<sup>60</sup>malajski amok — słowo amok pochodzi z kultury malezyjskiej, używane jest także w Indonezji, na Filipinach i w Indiach, opisuje stan silnego wzburzenia i ograniczonej świadomości, w którym człowiek (lub zwierzę) niszczy przedmioty i zabija ludzi. [przypis edytorski]

<sup>61</sup>okultyczny — dziś popr.: okultystyczny. [przypis edytorski]

więc rozwój spraw religijnych zaczynający się od form przedhistorycznych i zmierzający ku stopniom wyższym. Możliwe, że obecna fala religii rozbije się w kilku kierunkach, z których każdy dążyć będzie do opanowania innych. Możemy oczekiwać okresu walk religijnych, które swoim zapalem i uporem przewyższą wyprawy krzyżowe, a rozmiarami swymi prześcigną ostatnie wojny światowe. W bezbożnym naszym świecie królestwo boże nie będzie zbudowane bez wielkich ofiar i chaosu dogmatycznego. A jednak powiadam wam: oddajcie się Absolutowi całą istotą i wiercie w Boga, choćby przemawiał do was w sposób jakikolwiek. Wiedźcie, że oto przybywa, aby z ziemi naszej, a może i z innych planet, uczynić królestwo boże, władztwo Absolutu. W samą porę powiadam wam jeszcze raz: ukorzcicie się!”

Ten artykuł dra Blahouša istotnie się ukazał. Wprawdzie nie cały, bo redakcja zamieściła tylko część jego wywodów o nowych sektach i cały końcowy ustęp z ostrożną ze swej strony uwagą, że artykuł ten naszego młodego uczonego jest wysoce znamienny dla nastrojów obecnej doby.

Hałasu artykuł Blahouša nie narobił, bo został przygłuszony wydarzeniami innymi. Tylko drugi młody naukowiec, prywatny docent dr Regner, przeczytał artykuł Blahouša z wielkim zainteresowaniem, po czym przy różnych sposobnościach oświadczał:

— Blahouš jest niemożliwy. Zupełnie niemożliwy. Proszę was, jak śmie mówić fachowo o religii drab, który sam wierzy w Boga?!

### 13. KRONIKARZ SIĘ TŁUMACZY

A teraz pozwólcie, aby kronikarz zwrócił waszą uwagę na swoją kłopotliwą sytuację. Po pierwsze pisze akurat rozdział trzynasty świadom tego, że fatalna liczba będzie miała nieszczęsny wpływ na jedność i dokładność jego wywodów. Coś się w tym nieszczęsnym rozdziale poplącze, możecie być pewni. Autor mógłby wprawdzie, jakby nigdy nic, napisać u góry „Rozdział XIV”, ale uważny czytelnik poczułby się oszukany o rozdział XIII i słusznie: zapłacił przecie za całe opowiadanie. Zresztą, jeśli boicie się trzynastki przeskoczcie ten rozdział, nie straciecie w ten sposób zbyt wiele światła w ciemnej przygodzie Fabryki Absolutu.

Gorsze są inne kłopoty kronikarza. Opowiedział wam tak dokładnie, jak umiał, powstanie i prosperowanie fabryki. Zwrócił uwagę na skutki funkcjonowania paru karburatorowych kotłów u pana Machata, w banku „Živno”, w upickiej fabryce włókienniczej, na bagrownicy Kuzendy i na karuzeli Bindera. Opisał na tragicznym przykładzie Blahouša zatrucie na odległość, spowodowane swobodnie wałęsającym się Absolutem, który, jak to widać, zaczął się niepokojąco rozlać, bez jakiegoś jednakże dostrzegalnego planu.

Ale teraz pomyślcie, że od początku całej tej sprawy została wyprodukowana cała masa, tysiące Karburatorów najróżnorodniejszych typów. Pociągi, samoloty, automobyle i statki morskie pędzone przy pomocy tego najtańszego motoru, wyrzucały na swej drodze całe obłoki Absolutu, jak dawniej pozostawiały za sobą tylko dym, kurz i smród. Zważcie, że tysiące fabryk na całym świecie już powyrzucały stare swoje kotły i zaprowadzały Karburatory: że setki ministerstw i urzędów, setki banków i giełd, i domów handlowych, towarzystw eksportowych i wielkich kawiarni, hotelów i koszar, szkół i teatrów, a także wielkich domów robotniczych, tysiące redakcji i stowarzyszeń, kabaretów i gospodarstw domowych posługiwało się Najnowszym Karburatorowym Ogrzewaniem Centralnym marki MEAS. Zważcie, że do koncernu MEAS przystąpiły zakłady Stinnesa ze wszystkim, co do nich należało, że amerykański Ford rzucił się na wyrób seryjny Karburatorów i że zakłady jego, dzień w dzień, rzucały na rynek trzydzieści tysięcy gotowych maszyn.

Proszę tedy, zważcie to wszystko i przypomnijcie sobie, jakie skutki miało funkcjonowanie każdego z przedstawionych wam Karburatorów. Pomnóżcie te skutki przez setki tysięcy i od razu zrozumiecie sytuację kronikarza. Jakże chętnie wędrowałby razem z wami za każdym z nowo zrodzonych Karburatorów, jak miło byłoby mu pogapić się na jego ładowanie na wóz, podać trochę siana, chleba albo kawałek cukru koniom o królewsko szerokich zadach, wiozącym na wielkiej platformie nowy, miedziany wałek do którejś z fabryk. Jakże rad asystowałby z rękoma w tył założonymi przy jego montowaniu i doradzałby monterom, a potem czekałby na chwilę, gdy maszyna ruszy. Z jaką

Literat



drapiezną uwagą wpatrywałby się następnie w ludzkie twarze, kiedy „to” zacznie na nich oddziaływać, kiedy Absolut przeniknie do nich nosem, uszami i zacznie rozkładać ich zatwardziałą przyrodzoną, łamać ich skłonności, leczyć ich moralne urazy, jak przeorze je swym głębokim pługiem, jak otworzy się przed nimi straszliwy, a jednak ludzki; różneci, przerobi naturalny świat cudów, ekstaz, natchnień, oświecenia i wiary! Bowiemy zważcie, iż kronikarz sam się wam przyznaje, że nie stać go na to, aby był historykiem. Tam, gdzie historyk swoją stopą czy prasą swej historycznej erudycji, heurystyki, dyplomatyki, abstrakcji, syntezy, statystyki i innych historycznych wynalazków stłacza tysiące i setki tysięcy drobnych, żywych, osobistych zdarzeń w gęstą, dającą się dowolnie ugniatać masę, którą nazywa się „faktem dziejowym”, „zjawiskiem społecznym” albo w ogóle „prawdą historyczną”, dostrzega kronikarz tylko poszczególne wypadki i znajduje w nich nawet duże upodobanie. Teraz na przykład winien by opisać i objaśnić pragmatycznie, rozwojowo, ideowo, syntetycznie „religijny prąd”, który porwał cały świat przed rokiem 1950. Świadom tego olbrzymiego zadania, przystępuje do zbierania „zjawisk religijnych” owych czasów.

Historia, Literat

I oto na tej heurystycznej drodze natknie się na przykład na Bindera Jana, emerytowanego artystę Variété, który w pasiastej koszuli wędruje ze swoją karuzelą od gminy do gminy. Historyczna synteza nakazuje kronikarzowi, co prawda, aby zrezygnował z pasiastej koszuli, karuzeli, a nawet z Jana Bindera i aby jako „jądro historyczne”, jako zdobywcę nauką, zatrzymał jedynie stwierdzenie, że „zjawisko religijne od samego początku zagarniało najszerze warstwy społeczne”.

Literat, Nauka

Otóż kronikarz musi przyznać się tu, że Jana Bindera porzucić nie może, że jest oczarowany jego karuzelą i że nawet jego pasiasta koszula interesuje go żywiej niż jakikolwiek „syntetyczny rys”. Jest to wprawdzie całkowita naukowa nieudolność, jałowy dyletantyzm, ciałniutki historyczny horyzont i co się wam żywnie podoba. Ale gdyby kronikarz mógł popofolgować swym osobistym skłonnościom, wędrowałby z Binderem aż do Budziejowic, potem na Klatowy, ku Pilznu, ku Zluticy i tam dalej. Nie bez żalu opuścił go w Sztiechowicach i macha za nim ręką: Żegnaj, cwaniaku Binderze, żegnaj karuzelo, już się nie zobaczymy!

Mój Boże, przecież tak samo opuściłem Kuzendę i Brycha na wełtawskiej bagrownicy. Z radością byłbym spędził z nimi jeszcze wiele wieczorów, bo lubię Wełtawę i w ogóle płynącą wodę, a szczególnie wieczory nad wodą, zaś pana Kuzendę i Brycha upodobałem sobie ogromnie. Co do pana Hudeca, piekarza, pocztowca, gajowego i kochanków ze Sztiechowic, wierzę, że i oni byłiby warci bliższego poznania, tak samo jak każdy, jak każdy z was, jak każdy żywy człowiek. A tymczasem muszę pędzić dalej i pozostaje mi zaledwie tyle czasu, aby pomachać za nimi kapeluszem. Żegnaj, panie Kuzendo, dobranoc, panie Brychu; dziękuję wam za ten jedyny wieczór na bagrownicy. I z panem muszę się rozstać, panie doktorze Blahoušu: chętnie przebywałbym z panem przez wiele lat, aby opisać życie pańskie, bo czyliż życie docenta prywatnego nie jest na swój sposób zaciekawiające i bogate? Niech pan przynajmniej pozdrowi ode mnie panią gospodynię.

Wszystko, co istnieje, godne jest uwagi.

I dlatego chciałbym towarzyszyć każdemu nowemu Karburatorowi na jego drodze. Poznawałbym i wy poznawalibyście coraz innych ludzi, a to jest zawsze cenne. Choćby tylko dziurką od klucza zajrzeć w ich życie, przeniknąć ich serca, widzieć narodziny wiary osobistej i osobistego zbawienia, przystanąć przy nowych cudach ludzkiej świętości, to byłaby uciecha dla mnie!

Wyobraźcie sobie żebraka, szefa prezydium, dyrektora banku, maszynistę, kelnera, rabina, majora, redaktora działu gospodarczego, kabaretowego komika, w ogóle wszystkie rodzaje ludzkich zajęć; wyobraźcie sobie skąpca, lubieżnika, nabzdyczeńca, sceptyka. Tartufa, karierowicza i wszystkie rodzaje ludzkich temperamentów. Otóż, ile to różnych, nieskończenie rozmaitych, osobliwych i zdumiewających przypadków i zjawisk religijnej łaski (albo, jeśli wolicie, zatrucia Absolutem) można by napotkać i jak bardzo byłoby warto pointeresować się każdym z nich!

Ileż jest tu stopni wiary, od zwykłego wierzącego do fanatyka, od pokutnika do cudotwórcy, od konwertyty do żarliwego apostoła! Wszystko to ogarnąć! Wszystkiemu podać rękę! Ale trudna rada! To dzieło nie zostanie nigdy wykonane, a kronikarz, który

zrezygnował z honoru naukowego przedestylowania całego tego dziejowego materiału, z żalem odwraca się od przypadków, których opisać nie było mu dane.

Gdybym mógł zatrzymać się jeszcze przy świętej Elen! Czemuż musiałem zdradliwie opuścić R. Marka, który w Spindelmühle<sup>62</sup> leczy chore nerwy! Jakże interesujące byłoby zbadanie pracującego mózgu stratega przemysłu, pana G. H. Bondy'ego! Trudna rada! Absolut rozlał się już po całym świecie i stał się zjawiskiem masowym. I oto kronikarz, z żalem spoglądając wstecz, musi się zdecydować na opis sumaryczny pewnych wydarzeń społecznych i politycznych, które przyjąć musiały nieuchronnie.

Wstąpmy tedy w nowy krąg faktów!

#### 14. KRAINA OBFITOŚCI

Zdarzało się nieraz kronikarzowi (a na pewno i niejednemu z was), że gdy spoglądał na nocne niebo — wszystko jedno z jakich powodów — i na gwiazdki, i z niemym przerażeniem uświadamiał sobie ich ogromną liczbę i niewyobrażalnie wielkie odległości i rozmiary, i powiedział sobie, że każdy z tych jasnych punktów jest olbrzymim gorejącym światem albo nawet całym żyjącym systemem planetarnym, jako też, że takich punktów jest, przypuśćmy, parę miliardów; albo gdy spoglądał z wysokiej góry (mnie przytrafiło się to w Tatrach) na rozległą dal ziemi, a pod sobą widział łąki, lasy, góry, a tuż przed nosem gęsty las i trawę, wszystko przeobfite jakies, splątane, chciwe życia i nabite żywotnością, i widział w trawie masę kwiatów, robaczków i motyli, a wariacką tę przeobfitość mnożył rozłogami, które ukazywały się jego oczom i biegły aż Bóg wie dokąd, a do tych rozłogów doliczył miliony innych równie bogatych, składających się na powierzchnię ziemi, wówczas niejednokrotnie zdarzało się kronikarzowi, iż wspomniał o Stworzycielu, i rzekł sobie:

Jeśli to wszystko ktoś zrobił, czyli stworzył, to — powiedzmy to sobie szczerze, jest to straszliwe marnotrawstwo. Aby się ktoś mógł wykazać jako Stwórca, nie musiał stwarzać tego wszystkiego tak szalenie dużo. Obfitość to chaos, a chaos to coś jakby nieprzytomność czy stan upojenia. Tak jest, ludzki umysł bywa zaskoczony nadmiarem tego twórczego wyczynu. Jest tego po prostu zbyt wiele. Szalona bezgraniczność. Kto jest od urodzenia nieskończony, jest oczywiście we wszystkim przywykły do wielkich rozmiarów i brak mu właściwego umiaru (bowiem wszelki umiar ma za przesłankę skończoność), a raczej brak mu w ogóle wszelkiej miary.

Proszę nie uważać tego za bluźnierstwo: staram się jedynie wyrazić dysproporcję między ludzkim rozumem a kosmiczną obfitością. Ta bezcelowa, bujna, wprost gorączkowa nadliczbowość wszystkiego, co jest, ukazuje się trzeźwemu ludzkiemu oku raczej jako rozpętanie, niż jako sumienne i metodyczne tworzenie. Tyle chciałem z całym pietyzmem powiedzieć, zanim powrócimy do rzeczy.

Już wam wiadomo, że całkowite spalanie, wynalezione przez inżyniera Marka, dowiodło dość jasno obecności Absolutu we wszelkiej materii. Można to sobie przedstawić mniej więcej tak (jest to oczywiście tylko hipoteza), że przed stworzeniem wszystkiego, Absolut istniał jako Nieskończona Wolna Energia. Ta Wolna Energia z jakichś ważnych powodów, fizycznych czy moralnych, zabrała się do Tworzenia: stała się Energią Pracującą i ściśle według prawa inwersji przeszła w stan Nieskończonej Energii Związanej: jak gdyby się zgubiła w swoim pracowniczym efekcie, czyli w stworzonej materii, w której pozostawała w stanie utajonym. Jeśli to trudno zrozumieć, to nic na to, niestety, nie poradzę.

A teraz przez całkowite spalanie w atomowym motorze Marka ta spętana energia w jakiś sposób się wyzwoliła, wyzbyła się materialnych pęt, które ją wiązały; stała się Energią Wolną, czyli aktywnym Absolutem, równie wolnym jak przed stworzeniem. Było to nagle wyswobodzenie niezbadanej Potęgi pracowniczej, która już raz przejawiała się właśnie w stworzeniu świata.

Gdyby cały wszechświat uległ nagle całkowitemu spalaniu, mógłby się powtórzyć pierwotny twórczy wyczyn. Byłby to zdecydowany koniec świata, bezwzględna likwidacja, która umożliwiłaby założenie nowej światowej firmy: Kosmos II. Tymczasem jednak,

<sup>62</sup>*Spindelmühle*, czes. *Špindlerův Mlýn* — miasto w Karpatach, na północy Czech, kilkanaście kilometrów na płd. zachód od polskiego Karpacza, ośrodek turystyczny i narciarski. [przypis edytorski]

jak wiecie, materia w Karburatorach Marka spalała się tylko na kilogramy. Absolut, wyzwalany jedynie po troszeczkę, albo nie czuł się dostatecznie na siłach, aby natychmiast tworzyć na nowo, albo też może nie chciał się powtarzać. Jednym słowem zdecydował widocznie, że będzie się manifestował dwojako: po pierwsze niejako tradycyjnie, a po drugie stanowczo nowocześnie.

Sposób manifestacyjny<sup>63</sup> tradycyjnych, jakimi zaczął się przejawiać, był, jak już wiecie, religijny. Były nimi te różne natchnienia i nawrócenia, wpływy moralne, cuda, lewitacje, ekstazy, wieszczby, głównie zaś wiara religijna. W tej dziedzinie Absolut wtargnął w ludzkie życie osobiste i kulturalne drogami już udeptanymi, ale w rozmiarach dotychczas niebywałych. Po paru miesiącach jego działalności na całym świecie nie było już bodaj człowieka, który by — przynajmniej przemijająco — nie był poczuł na sobie natarcia religii, którym Absolut domagał się jego duszy. Ku temu psychologicznemu wystąpieniu Absolutu jeszcze powrócimy, nieco później, gdy trzeba będzie opisywać jego katastrofalne następstwa.

Druga egzystencjalna manifestacja Wolnego Absolutu przyniosła z sobą coś całkiem nowego. Nieskończona Energia, która niegdyś zatrudniała się tworzeniem świata, rzuciła się — widocznie z powodu zmienionych warunków istnienia — na fabrykację. Nie tworzyła: za to produkowała. Zamiast czystego tworzenia, stanęła u maszyn — stała się Nieskończonym Robotnikiem.

Wyobraźcie sobie, że w jakiegokolwiek fabryce, na przykład w fabryce świeczek, zatrudniono Perfect Carburator jako najtańszy napęd, zamiast parowego kotła. Absolut wydzielający się stale z atomowego motoru, z wrodzoną sobie inteligencją już w ciągu doby spenetrował sposoby produkcji i z całą swoją nieokiełznaną aktywnością czy, być może, ambicją, rzucił się na tę produkcję: zaczął na własną rękę bić świeczki. A gdy się rozpędził, nie dał się już zatrzymać. Maszyny, przez nikogo nie dozorowane i nie kierowane, miotały świeczki. Zapasy żelaza przygotowane do przerobienia na świeczki podnosiły się płyta po płycie, sunęły w powietrzu i wkładały się we właściwe miejsca obrabiarek. Było to na pierwsze spojrzenie wprost upiorne. Gdy materiał się kończył, żelazo wykwitowało z ziemi, grunt dokoła fabryki pocił się czystym żelazem, jakby wyssanym z głębin ziemi, po czym żelazo wznosiło się na wysokość mniej więcej metra i wślizgiwało się w maszyny ruchem urywanym, jakby było popychane.

Proszę dobrze uważać: ja mówię wprawdzie, że „żelazo się podnosiło”, albo że „żelazo się wślizgiwało”, ale wszyscy naoczni świadkowie określają swoje wrażenie tak, jak gdyby żelazo było podnoszone nieustępliwą, ale niewidzialną siłą, przemocą i z tak dostrzegalnym a skupionym wysiłkiem, że widok tego wzbudzał zgrozę. Dostrzegało się tu straszliwy wysiłek, który towarzyszył temu, co się działo. Może ktoś z was bawił się spirytyzmem i widział „lewitację stołu”. Taki świadek lewitacji przyzna mi, że stół nie podnosił się po prostu z jakąś zdematerializowaną lekkością, ale z jakimś kurczowym wysiłkiem: że zatrzeszczał we wszystkich wiązaniach, otrząsł<sup>64</sup> się, wspiął i wreszcie dźwignął się, jakby podnoszony siłą zmagającą się z nim uporczywie.

Ale ja mam opisać straszliwą niemą walkę, która zmusza żelazo do dźwignania się z głębi ziemi, ugniata je w sztaby, wsuwa do maszyn, siecze z nich świeczki! Sztaby zwijają się jak bicze, opierają się ruchowi, który je popycha, szczękają i zgrzytają wśród ciszy, w niematerialnej niemocie, która się z nimi zмага. Wszystkie współczesne opisy zaznaczają zgrozę tego widoku.

Oczywiście, cud, ale nie myślcie, że cud jest czymś bajecznie łatwym i prostym. Zdaje się, że do istoty prawdziwego cudu należy nadludzkie denerwujące napięcie. Ale pomijając olbrzymie wysiłki Absolutu, w tym jego nowym zatrudnieniu najbardziej uderza wydajność jego produkcji. Pozostańmy przy branży świeczkowej. A więc jedyna fabryka zagarnięta przez Absolut zionęła taką masę świeczek w dzień i w noc, że na dziedzińcu potworzyły się z nich całe góry, które w końcu obaliły ogrodzenie i zasypały ulice.

A więc zostajemy tymczasem przy świeczkach, bo tu widzimy całą przyrodzoną Absolutu niewyczerpaność i marnotrawność jak w czasach tworzenia świata. Gdy już raz rzucił się na produkcję, nie troszczył się o dystrybucję, o popyt, o rynek, o cel,

Cud

<sup>63</sup>manifestacyjny — dziś częstsza forma D. Im: manifestacji. [przypis edytorski]

<sup>64</sup>otrząsł — dziś popr. forma 3 os. lp. cz. przesz.: otrząsnął. [przypis edytorski]

w ogóle o nic: swoją ogromną energię wyżywał po prostu w masowym rzucaniu na świat świeczek. Będąc z natury nieskończonym, nie znał miary i ograniczeń w niczym, nawet w świeczkach.

Możecie sobie wyobrazić, jak robotnicy takiej fabryki przerażali się widokiem wydajności nowego napędu. Była to dla nich nieoczekiwana i nieuczciwa konkurencja, coś, co ich pracę czyniło zupełnie zbędną. I niewątpliwie całkiem słusznie byliby zaprotestowali przeciwko takiemu atakowi manchesterskiego kapitalizmu na lud pracujący, co najmniej tak, że zdemolowaliby fabrykę i powiesili fabrykanta, gdyby nie byli zaskoczeni i obojętnością przez Absolut w jego aktywności pierwotnej, dzięki któremu wybuchło wśród nich oświecenie we wszystkich postaciach i stopniach. Tymczasem przechodzili wszelkie lewitacje, wieszczania, cudotwórstwa, jasnowidztwa, cudowne uzdrawiania, świętość, miłość bliźniego i tym podobne nienaturalne, a nawet nadprzyrodzone stany.

Z drugiej strony możecie sobie wyobrazić, jak niebogi<sup>65</sup> właściciel świeczkarni<sup>66</sup> przyjął tę boską, masową produkcję swego artykułu. Mógł doprawdy zachłysnąć się radością, powyrzucać wszystkich robotników, którzy, wiadomo, zażłoszcili go niemal na śmierć, i zacierać ręce na widok lawiny świeczek, których robocizna nie kosztowała go ani grosza. Ale prawdopodobnie sam uległ psychicznemu oddziaływaniu Absolutu i z miejsca oddał całą fabrykę robotnikom, swoim braciom w Bogu, iżby władali nią wespół z nim, a z drugiej strony zrozumiał w lot, że te góry świeczek pozbawione są jakiegokolwiek wartości, ponieważ nie będzie dla nich zbytu.

Prawda, że robotnicy nie musieli stać przy maszynach i nosić żelaznych sztab, a prócz tego byli współwłaścicielami fabryki. Ale po paru dniach pokazało się, że w jakikolwiek sposób trzeba pousuwać stutonowe góry świeczek, które przestały być towarem. Zrazu podejmowano jakieś próby rozsyłania świeczek całymi wagonami pod zmyślonymi adresami, ale później nie pozostało nic innego, jak wywożenie ich za miasto na olbrzymie hałdy. To uprzątnięcie świeczek zatrudniało wszystkich robotników przez pełnych czternaście godzin dziennie. Lecz nie szemrali, jako ludzie oświeceni religijnym duchem miłości i wzajemnej posługi.

Darujcie, że tak długo zabawiłem przy świeczkach. Absolut nie znał przemysłowej specjalizacji. Rzucił się z taką samą gorliwością na przędzalnię, gdzie dokonał nie tylko cudu plecenięcia biczów z piasku, ale i przędzenia z niego nici, na tkanie i pończoszarnie, i w ogóle na całą branżę włókienniczą, wytwarzając bez przerwy miliony kilometrów towaru łokciowego<sup>67</sup>. Opanował huty, walcownie, stalownie, fabryki maszyn rolniczych, wyrobów drewnianych, gumowych, cukrownie, fabryki przetworów chemicznych, nawozów sztucznych, azotowych, naftę, drukarnie, piapiernie, farbiarnie, huty szklane, ceramikę, obuwie, tasiemki, kopalnie, browary, destylacje, parowe mleczarnie, młyny, mennice, fabryki samochodów i szlifiernie. Tkał, dział<sup>68</sup>, prządł, kuł, zlewał, montował, szył, heblował, rznął, kopał, palił, drukował, rafinował, gotował, filtrował, prasował przez dwadzieścia cztery, a nawet dwadzieścia sześć godzin dziennie. Zaprzężony do maszyn rolniczych zamiast lokomotyw<sup>69</sup> orał, siał, bronował, plewił, kosił, żął i młócił. W każdej dziedzinie sam pomnażał materiał surowcowy i ustokratniał produkcję. Był niewyczerpany. Tarzał się w wydajności. Znalazł nowy wyraz dla własnej nieskończoności: obfitość. Cudowne rozmnożenie rybek i chlebów na puszczy doczekało się monumentalnego wznowienia: cudownego rozmnażania świeczek, desek, azotowych nawozów, pneumatyków, papieru dla maszyn rotacyjnych i wszelkich innych wyrobów fabrycznych. Nastąpiła na świecie nieograniczona obfitość wszystkiego, czego ludziom potrzeba. Ale ludziom potrzeba wszystkiego, tylko nie nieograniczonej obfitości.

<sup>65</sup>niebogi (daw.) — biedny. [przypis edytorski]

<sup>66</sup>świeczkarnia — fabryka produkująca gwoździe. [przypis edytorski]

<sup>67</sup>towar łokciowy (daw.) — tekstylia, które dawniej sprzedawano, odmierzając łokciem krawieckim. [przypis edytorski]

<sup>68</sup>dziać — wytwarzać dzianiny. [przypis edytorski]

<sup>69</sup>lokomobila — daw. wielofunkcyjna maszyna rolnicza: kocioł parowy na kołach, używany do napędzania innych maszyn, np. młockarni. [przypis edytorski]

## 15. KLEŚKA

No tak, w dzisiejszych, że tak powiem, sławionych czasach drożyzny nie możemy sobie wyobrazić straszliwego społecznego zła nieograniczonej obfitości. Wydaje się nam, że nastalby po prostu raj na ziemi i nic więcej, gdyby się nagle znalazły nieograniczone zapasy wszystkiego. Niejeden myśli, że byłoby na świecie tym lepiej, im więcej byłoby tego wszystkiego, co wszystkim jest potrzebne. No i tak tanio, proszę państwa!

Otóż katastrofa gospodarcza, która — przez przemysłową inteligencję Absolutu — zwała się na świat w czasach, które tu opisujemy, polegała na tym, że wszystko, czego człowiek potrzebuje, można było otrzymać nie tanio, ale po prostu darmo. Mogłeś sobie, człowieku, wziąć garść świeczków i wbijać je dowolnie w podeszwy albo w podłogę, ale mogłeś także wziąć sobie darmo cały wagon świeczków, tylko, proszę cię, co byłbyś z tym robił? Wieźć je sto kilometrów i rozdawać darmo? Tego nie zrobiłbyś przecie, albowiem, w chwili gdy stałeś nad lawiną świeczków, nie widziałeś już tych świeczków właśnie, a więc rzeczy stosunkowo pozytywnej, ale coś absolutnie bezwartościowego i bezsensownego w swej masowości. Coś równie bezwartościowego, jak te gwiazdeczki na niebie. Owszem, taka masa błyszczących świeczków bywała czasem widokiem wzniosłym i budziła nawet myśli poetyczne, tak właśnie jak te gwiazdeczki na niebie. Góra świeczków wydawała się stworzoną dla niemego podziwu. Pejzażowo było to swoiście piękne, jak swoiście pięknym jest widok morza. Ale morza także nie rozwozi się w wagonach do okolic śródlądowych, gdzie żadnego morza nie ma. Dla wody morskiej nie ma gospodarczej dystrybucji. Nie było jej teraz także dla naszych świeczków.

Ale podczas gdy tutaj właśnie rozlewa się iskrzące morze świeczków, o parę kilometrów dalej nie dostaniesz świeczka za skarby świata. Zdeprecjonowany gospodarczo, znikł świeczek ze sklepów. Jeśli chcecie wbić sobie świeczek w obcas albo wsunąć go bliźniemu swemu pod prześcieradło, daremnie szukać go będziecie. Nie ma go tak samo, jak w Czesławiu<sup>70</sup> albo w Slanem<sup>71</sup> nie ma morza. Och, gdzież wy jesteście, zacni kupcy dawnych czasów, którzy kupowaliście tanio tutaj, aby drogo sprzedać tam?! Biada, zniknęliście, albowiem oświeciła was łaska boża. Powstydziliście się swoich zysków i pozamykaliście swoje kramy, aby rozmyślać o braterstwie wszystkich ludzi i rozdawać wszystko, co macie i aby już nigdy, nigdy nie wzbogacać się przez dystrybucję rzeczy wszystkim braciom w Bogu jednakowo potrzebnych.

Gdzie nie ma ceny, nie ma rynku. Gdzie nie ma rynku, nie ma też dystrybucji. Gdzie nie ma dystrybucji, nie ma towaru. A gdzie nie ma towaru, wzrasta potrzeba, rosną ceny, rosną zyski, rośnie handel. Ale wy odwróciliście się od zysków i wzbudziście w sobie nieodpartą odrzę do wszelkich rachunków w ogóle. Przestaliście spoglądać na materialny świat oczyma popytu, podaży, rynku. Z rękoma złożonymi do modlitwy podziwiacie piękność i obfitość świata. A tymczasem świeczki wyszły. Nie było świeczków. Tylko kędyś w dali gromadziły się ich niewyczerpane lawiny.

I wy, piekarze, powychodziliście przed swoje kramy i wołaliście: „Pójdźcie, ludkowie boży, pójdźcie, przez Chrystusa Pana, i bierzcie sobie bochenki i mąkę, kajzerki i rogaliki! Zmiłujcie się i bierzcie sobie darmo!” A wy, kupcy towarów łokciowych, wywaliliście sztuki sukien, weby i płócienek na ulicę i płacząc z radości, krajaliście każdemu, kto przechodził obok, po pięć czy dziesięć metrów i na Boga prosiliście, aby przyjęli podarunek tak skromny. I dopiero po opróżnieniu całego zapasu, padaliście w pustym sklepie na kolana i dzięki czyniliście Panu, iż było wam dane stroić bliźnich swoich jako te lilie polne.

Zaś wy, rzeźnicy i wędliniarze, braliście na głowy swoje kosze z mięsem i z serdelkami, i z parówkami, a chodząc od drzwi do drzwi, zapukaliście, zadzwoniliście, prosząc, aby każdy raczył wybrać sobie, co jego serce raczy. I tak samo wy wszyscy, którzy sprzedajecie buty, sprzęty, tytoń, walizki, okulary, klejnoty, kobierce, biczce, postronki, wyroby blaszane, porcelanę, książki, sztuczne zęby, jarzyny, leki i wszystko, o czym kto pomyśli, wszyscy wy, owiani tchnieniem bożym, wylegliście na ulicę i rozdawaliście „wszystko, co macie” w przeschlachtetnej panice łaski bożej, po czym spotykając się z sobą u progów

Handel, Święty

<sup>70</sup>Czasław, czes. *Nové Město (Čáslav)* — miasto w środkowej części Czech. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Slaný — miasto w Czechach, położone ok. 30 km na pln.-zach. od Pragi. [przypis edytorski]

swoich opustoszałych sklepów i magazynów, komunikowaliście sobie wzajemnie: „Tak to, bracie kochany, ulżyłem sumieniu swemu!”

Po dniach niewiele pokazało się jednak, iż nie było już co rozdawać, ale nie było też co kupić... Absolut spłądrował i doszczętnie spustoszył wszystkie handle<sup>72</sup>.

A tymczasem z dała od wielkich miast waliły się z maszyn miliony metrów sukien i płócien, niagary kostek cukru, kipiąca, przewspaniała, niewyczerpana obfitość Boskiej Nadprodukcji wszelkiego towaru. Wątle próby rozdzielania tego potopu między potrzebujących rychło zgasły. Po prostu nic się nie dawało zrobić.

Być może zresztą, że tę katastrofę gospodarczą spowodowało jeszcze coś innego, a mianowicie inflacja pieniądza. Absolut wtargnął także do państwowych mennic i drukarni i rzucał dzień w dzień setki miliardów banknotów, pieniędzy kruszcowych i papierów wartościowych. Dewaluacja była absolutna: paczka pięciotysiączek znaczyła niebawem niewiele więcej niż paczka papieru klozetowego nieco zbyt sztywnego, oczywiście. Gdybyście za dziecięcy smoczek gumowy zaproponowali dziesiątkę albo pół miliona, pod względem handlowym byłoby to zupełnie obojętne. I tak, i tak nie dostalibyście go, bo w handlu zanikł. Wszelkie liczby straciły w ogóle jakikolwiek sens i znaczenie. To całkowite rozbicie systemu liczbowego jest oczywiście naturalnym następstwem nieskończoności i wszechmocy bożej.

W owych czasach po miastach wybuchał już niedostatek, miejscami nawet głód. Aparat zaopatrzeniowy, z przyczyn wyżej wymienionych, zawiódł zupełnie.

Nie brakło, owszem, ministerstw zaopatrzenia, handlu, opieki społecznej i kolei żelaznych. Według naszych wyobrażeń można było w porę uchwycić w fabrykach ogromny strumień produkcji, uratować wyroby przed zepsuciem i ostrożnie rozwozić je po miejscowościach spłądrowanych boską szczodropliwością. Niestety, nie uczyniono tego. Personel ministerialny spędzał godziny urzędowania na radosnych modlitwach, ogarnięty łaską szczególnie mocną. W ministerstwie zaopatrzenia panowała nad sytuacją sekretarka, panna Szarówna, która wygłaszała kazania o Dziewięciu Strefach, w ministerstwie handlu kierownik Winkler propagował ascezę, podobną do indyjskiej jogi. Prawda, że ta gorączka trwała tylko dwa tygodnie, po czym nastąpiło — widocznie przez specjalne działanie Absolutu — cudowne uświadomienie sobie obowiązku. Właściwe urzędy administracyjne pracowały gorączkowo we dnie i w nocy, aby zażegnać katastrofę zaopatrzeniową, ale najwidoczniej było już za późno. Jedynym wynikiem było, że każde ministerstwo produkowało codziennie od piętnastu do pięćdziesięciu trzech tysięcy akt, które na skutek uchwały komisji międzyministerialnej były codziennie wywożone ciężarówkami do Wławy.

Bodaj że najstraszniejszą była katastrofa wyżywienia, ale na szczęście swoje mieliśmy przecie (mówię tu tylko o stosunkach, jakie panowały u nas) NASZYCH ZACNYCH CHŁOPKÓW! Uświadomcie sobie, państwo, że przecie nie od dzisiaj wiadomo: nasz wiejski lud, bez obrazy i nie wytykając palcem, to rdzeń narodu. Mówi o tym nawet bardzo stara piosenka: „Co to za człowiek? Czyli go znasz? Toć chłopak zacny, żywiciel nasz!” Istotnie, co to za człowiek, który pozostał nietknięty marnotrawiącą gorączką Absolutu? Co to za człowiek, który ani na chwilę nie zachwiał się w panice rynku światowego? Co to za człowiek, który nie założył rąk, nie dał się wciągnąć w wir lekkomyślności i pozostał wierny samemu sobie? „Co to za człowiek? Czyli go znasz? Toć chłopak zacny, żywiciel nasz!”

Tak jest, był to nasz chłopak, który na swój chłopski sposób uratował świat przed głodem. Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby i jego, podobnie jak mieszcuchów, ogarnęła była mania rozdawania wszystkiego ubogim i potrzebującym! Gdyby był porozdawał wszystko posiadane ziarno, swoje krówki i cielęta, i gąski, i kartofle. Po dwóch tygodniach w miastach byłby wybuchnął głód, a wieś byłaby wyżarta, wyssana, bez zapasów i sama<sup>73</sup> głodna.

Nie stało się tak tylko dzięki naszemu dzielnemu chłopkowi. Możemy to sobie dzisiaj tłumaczyć i wyjaśniać, jak kto chce, a więc cudownym instynktem naszej wsi, albo jej głęboką, a szczerą wiernością dla mateczki-ziemi, albo wreszcie tym, że na wsi Absolut

Biurokracja

Chłop, Interes

<sup>72</sup>handel — tu daw.: zakład handlowy. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>samaż — zaimek *sama* uzupełniony o partykułę wzmacniającą -ż. [przypis edytorski]

był mniej jadowity, bo w drobnych gospodarstwach wiejskich Karburator nie znalazł tak masowego zastosowania jak w przemyśle — jednym słowem, objaśniajcie to sobie, jak wam się podoba, ale fakt pozostaje faktem, że przy najpowszechniejszej ruinie gospodarczej i finansowej i w ogóle zaniku wszelkiego rynku, chłop nie rozdawał. Nie podarował nikomu ani źdźbła słomy, ani ziarenka owsa. Na ruinach dawnego przemysłowego i handlowego ładu chłop nasz spokojnie i niewzruszenie sprzedawał, co miał do sprzedania. I sprzedawał drogo. Tajemniczym instynktem odgadł katastrofalny zasięg skutków obfitości i w porę powiedział: stop! Powiedział stop tym, że od razu podniósł ceny, choćby jego śpichrze pękały od przeładowania. I to świadczy o zdumiewająco zdrowym rdzeniu naszego ludu wiejskiego, że bez jedyne słowa, bez organizacji, wiedziony tylko zbawczym głosem wewnętrznym, podniósł ceny na wszystko i wszędzie. Śród szaleńczej obfitości wszystkiego utrzymał wyspę niedostatku i drożyzny. Może przeczuwał, że tym ocala świat.

Albowiem podczas gdy inne towary, zdeprecjonowane darmowym rozdawaniem, znikają — z naturalną koniecznością — z rynków, produkty rolnicze były sprzedawane dalej. Oczywiście, trzeba było wyruszać za nim na wieś. Wasz sklepikarz i rzeźnik, i piekarz, nie mieli już nic do dania wam i sprzedania, prócz bratniej miłości i świętego słowa. Więc brałeś, bracie, swój tobolek i jechałeś sto i dwadzieścia kilometrów. A potem chodziłeś od zagrody do zagrody i patrzajcież! — tutaj kupiłeś kilogram ziemniaków za złoty zegarek, tam jajeczko za drogocenny trieder<sup>74</sup>, ówdzie kilo otrąb za pianino albo za maszynę do pisania. I było co jeść. Oto sam widzisz, że gdyby chłop był te wszystkie rzeczy porozdawał, to już dawno nie miałbyś nic do zjedzenia. Ale chłopek uchował dla was nawet funkcję masła, a uchował tylko na to, aby ci go wręczyć w zamian za perski dywan albo za wspaniały strój regionalny.

Pytam was tedy, gdzie zostały powstrzymane szaleńcze gospodarcze eksperymenty Absolutu? Kto nie stracił głowy w powszechnej panice epidemii cnoty? Kto oparł się skutecznie katastrofalnej powodzi obfitości i uratował nas przed zagładą, nie szczedząc mienia i życia naszego?

„Co to za człowiek? Czyli go znasz?  
Toć chłopek zacny, żywiciel nasz!”

## 16. W GÓRACH

Południe na Budzie w Niedźwiedzim Dole. Inżynier Rudolf Marek siedzi skulony na werandzie, patrzy w gazetę, to znowu ją składa, aby się rozejrzeć po szerokim pasie Karikonoszy. Jest cisza, wielka i kryształowa cisza na górach i złamany inżynier prostuje się, aby odetchnąć z głębi.

A oto idzie jakiś człowieczek i zmierza ku Budzie.

— Jakie to czyste powietrze — myśli Marek siedzący na werandzie. Tutaj, chwala Bogu, Absolut jest jeszcze utajony, jest zaklęty we wszystkim, jest ukryty w tych górach i lasach, w tej wspaniałej trawce i w modrym niebie. Tutaj nie lata po świecie, nie straszy i nie robi cudów, ale tkwi we wszystkim materialnym, Bóg, głęboko i cicho wszechobecny; nawet nie dyszy, tylko milczy i patrzy przymrużonym oczkiem.

Marek złożył ręce w niemej dziękczynnej modlitwie.

— Boże, jakie tu czyste, jakie czyste powietrze!

Człowiek przybywający z dołu zatrzymał się pod werandą.

— No, nareszcie znalazłem cię, Marku! — zawołał.

Marek spojrział na niego nie bardzo uradowany. Ten, co przyszedł do niego, był to G. H. Bondy.

— No, nareszcie cię znalazłem! — powtórzył pan Bondy.

— No to chodź na górę — rzekł Marek wyraźnie nierad gościowi. — Co cię tu do mnie prowadzi, człowieku?! I jak ty wyglądasz!

<sup>74</sup>trieder — tu: przyrząd optyczny, lornetka. [przypis edytorski]

Istotnie G. H. Bondy był cały żółty i wychudły. Na skroniach porządnie posiwiął, a dokoła oczu zbiegały się zmarszczki zmęczenia. Siadł milczący koło Marka i zacisnął ręce między kolanami.

— No, więc, co ci się stało? — nalegał Marek po przykrej chwili milczenia. Bondy machnął ręką.

— Przechodzę na emeryturę, bracie. To jest... i mnie, i mnie także się stało.

— Łaska? — zawołał Marek i cofnął się od Bondy'ego jak od trędowatego.

Bondy kiwnął głową. Czy to łza zawstydzona zawisła na jego rzęsach?

Marek cichutko zagwizdał.

— No, jeśli już i ty... O, biedaku!

— Nie! — zawołał Bondy z pośpiechem i ocierał oczy. — Nie myśl aby, że ja jeszcze teraz... Ja, uważasz, przyjacielu, jakoś to przechodziłem... No, nie dałem się, ale wiesz, kiedym był, no... opanowany przez to... były to najszcześniejsze chwile mego życia. Nie masz pojęcia, kolego, jak wielkiego wysiłku potrzeba, aby się człowiek z tego wylizał.

— Wierzę ci — rzekł Marek z wielką powagą. — A jakie miałeś te... jakie objawy miałeś?

— Miłość bliźniego — szepnął Bondy. — Człowiecze, ja szalałem z samej miłości bliźnich. Nigdy nie byłbym przypuszczał, że czegoś podobnego można doznawać.

Na chwilę zapanowało milczenie.

— Więc tyś się z tego... — zaczął Marek.

— Wykaraskałem się. Wiesz, że lis odgryzie sobie nogę, gdy uwięźnie w żelazach? Ale jestem po tym wszystkim paskudnie słaby. Po prostu ruina, kolego. Jak po tyfusie. Dlatego przyjechałem tutaj, żeby się zebrać w kupę... Czy tu czysto?

— Zupełnie czysto. Dotychczas ani śladu... Absolutu. Tylko się go czuje... w przyrodzie i we wszystkim. Ale to bywało w górach już i dawniej... W ogóle zawsze.

Bondy zasepił się i milczał.

— No i co ty — ozwał się po chwili roztargniony — co ty o tym mówisz? Czy ty wiesz w ogóle, co się tam na dole dzieje?

— Dostają gazety. W pewnej mierze... nawet z gazet można się dowiedzieć, co się na świecie dzieje. Spłaczą w nich wszystko, pomieszają jak groch z kapustą, ale... kto umie czytać... Słuchaj Bondy, czy to naprawdę takie straszne?

G. H. Bondy kiwał głową szybko raz za razem.

— Gorsze to, niż sobie wyobrażasz. Po prostu rozpaczliwe. Słyszysz? — mówił głosem zduszonym. — On jest już wszędzie. Sądzę, że ma jakiś określony plan.

— Plan — zawołał Marek i poderwał się.

— Nie krzycz tak głośno. Ma plan, człowieku, na pewno... Zabiera się do rzeczy z diabelską przebiegłością. Powiedz, Marku, co jest największą potęgą świata?

— Anglia — rzekł Marek bez wahania.

— E tam, Anglia! Przemysł jest największym mocarstwem świata. I tak zwane „masy ludowe” są także największą potęgą świata. Odgadujesz już jego plan?

— Nie odgaduję.

— Opanował jedno i drugie. Zagarnął przemysł i masy... Teraz ma w ręku wszystko. Według wszystkiego myśli o opanowaniu świata. Tak to, mój Marku.

Marek usiadł.

— Czekaj no, przyjacielu — rzekł. — Ja tu w górach bardzo dużo o tych rzeczach rozmyślałem. Śledzę wszystko i porównuję zjawiska. Widzisz, ja o czym innym nawet myśleć nie umiem. Nie wiem, do czego to wszystko zmierza, ale jedno wiem na pewno, mój Bondy, że On nie ma żadnego planu. Sam jeszcze nie wie, co i jak. Być może, że chce czegoś wielkiego, ale nie wie, jak się do tego zabrać. Coś ci powiem, mój Bondy. On jest dotychczas wciąż jeszcze tylko siłą przyrody. Politycznie strasznie źle zorientowany. Pod względem gospodarczym barbarzyńca. Powinien był jednak podporządkować się kościołowi, który ma pewne doświadczenie... Wiesz, mnie wydaje się Absolut czasem taki dziecinny.

— Nie myśl tak, przyjacielu — rzekł G. H. Bondy z ciężkim westchnieniem. — On wie, czego chce. Dlatego rzucił się na wielki przemysł. On jest współczesniejszy, niż zrazu myśleliśmy.



— To tylko igraszki — przeczył Marek. — Chce się tylko zatrudniać. Jakaś taka, uważasz, boska młodość. Czekaj no, ja wiem, co chcesz powiedzieć. Jest ogromny w pracy. Imponuje nam po prostu tym, co potrafi zrobić. Ależ, mój Bondy, to jest takie bezsensowne, że w tym nie może być żadnego planu.

— Najbezsensowniejszymi rzeczami w dziejach świata były konsekwentnie przeprowadzane plany — oświadczył G. H. Bondy.

— Patrzaj, Bondy — mówił Marek szybko — ile ja tu mam różnych gazet. Śledzę każdy jego krok. Powiadam ci, że w tym wszystkim nie ma ani szczypty związku. Wszystko to są tylko improwizacje wszechmocy. Absolut wyczynia ogromne triki, ale jakoś bez związku, na ślepo, chaotycznie. Aktywność jego jest zupełnie niezorganizowana. Przybywa na świat całkiem nieprzygotowany. W tym jest jego słabość. Imponuje mi, nie ma co mówić, ale ja widzę także jego słabizny. Nie jest dobrym organizatorem i może nigdy nim nie był. Miewa genialne pomysły, ale jest niesystematyczny. Dziwię się tobie, mój przyjacielu, że dotąd nie dałeś sobie z nim rady. Ty, taki sprytny człowiek!

— Z Nim trudna sprawa — rzekł Bondy. — Zaskoczy cię w twojej własnej duszy i koniec z tobą. Gdy nie przekona się drogą rozumowania, ześle na ciebie cudowne oświecenie. Wiesz, co zrobił Szawłowi.

— Ty przed nim uciekasz — rzekł Marek — ale ja go gonię i depcę mu po piętach. Już go trochę znam i mógłbym wypisać na niego list gończy. Rysopis: nieskończony, niewidzialny, bezkształtny. Miejsce przebywania: wszędzie w pobliżu motorów atomowych. Zajęcie: anarchiczny utopijny mistycyzm. Powody, dla których jest ścigany: przywłaszczenie sobie cudzego mienia, nieuprawnione wykonywanie zawodu lekarskiego, wykroczenia przeciwko ustawom o zgromadzeniach, zakłócanie czynności urzędowych i tak dalej. Znaki szczególne: wszechmoc. Jednym słowem: złapcie Absolut i zatrzymajcie Go!

— Ba, ty się śmiejesz — westchnął G. H. Bondy. — Nie śmiej się. On nas pokonał.

— Jeszcze nie! — zawołał Marek. — Uważaj, Bondy, On dotychczas nie umie rządzić. Swoim nowinkarstwem narobił pełno zamętu. Na przykład rzucił się na nadprodukcję zamiast wybudować naprzód cudowny transport kolejowy. Teraz sam jest w nie lada kłopotcie, bo wszystko, co wyrobił, jest do niczego. Z tą jego obfитоścią było tak jakoś jakbyś potężnie uderzył w wodę. Po drugie, skołował swoją mistyką wszystkie urzędy i zniszczył cały aparat administracyjny, którego teraz właśnie potrzebowałby dla utrzymania porządku. Rewolucję możesz sobie robić, gdzie chcesz, tylko nie w urzędach. Nawet gdyby miał być koniec świata, trzeba najpierw zniszczyć wszechświat, a dopiero potem urzędy. Tak się rzeczy mają, kolego. A po trzecie, skasował pieniądze jak jakiś najnaiwniejszy teoretyzujący anarchista i tym od razu sparaliżował krążenie produktów. Nie wiedział, że prawa rynku są potężniejsze od praw jakichkolwiek. Nie wiedział, że produkcja bez handlu jest po prostu nonsensem. Nie wiedział nic. Poczynał sobie jak... jak... Jednym słowem jest to tak, jak gdyby jedną ręką niszczył, co drugą stworzył. Mamy cudowną obfitość, a przy tym katastrofalną nędzę. Jest wszechmocny, a wytworzył tylko chaos. Wiesz, ja wierzę ostatecznie, że kiedyś stworzył prawa przyrody i praszczury — góry, i wszystko, co chcesz, ale handlu, naszego nowoczesnego handlu i przemysłu nie stworzył na pewno, bo się w nim zupełnie nie orientuje. Nie, mój Bondy, handel i przemysł nie są z Boga.

— No dobrze — ozwał się G. H. Bondy — ja wiem, że następstwa jego aktywności są... katastrofalne... niepojęte... Ale co mamy robić?

— Tymczasem nic. Ja, drogi przyjacielu, tylko patrzę i porównuję. Mamy tu nową wieżę Babel. Na przykład gazety klerykalne wyrażają podejrzenie, że „zameł w naszych religijnie wzburzonych czasach został z diabelską przebiegłością przygotowany przez wolnomularzy...” Pisma narodowe oskarżają Żydów, socjaliści prawi napadają na lewych, agrariusze rzucają się na liberałów. Zwariować można. I uważasz, cała ta kołowaczna nie jest jeszcze u szczytu. Cała intryga zaczyna się dopiero na dobre. Uważaj Bondy, coś ci powiem.

— No?

— Jak ci się zdaje? Czy ten... Absolut... jest jeden?

— Nie wiem — odpowiedział Bondy. — I... czy od tego coś zależy?

— Wszystko — odpowiedział Marek. — Chodź no tu bliżej i nadstaw uszu.

Bóg

Bóg, Władza, Polityka,  
Handel

Biurokracja

## 17. MŁOT I GWIAZDA

— Bracie Pierwszy Strażniku, co widzisz na Wschodzie? — pytał Czcigodny, cały w czerni, z białym skórzanym fartuchem i srebrnym młotkiem w ręku.

— Widzę Mistrzów zgromadzonych w Warsztacie i przygotowanych do Pracy — rzekł Pierwszy Strażnik.

Czcigodny uderzył młotkiem.

— Bracie Drugi Strażniku, co widzisz na Zachodzie?

— Widzę Mistrzów zebranych w Warsztacie i przygotowanych do Pracy.

Czcigodny trzykrotnie uderzył młotkiem:

— Praca się rozpoczyna.

Bracia Wolnej Francuskiej Łoży Mularskiej „Młot i Gwiazda” siedli, nie spuszczać oczu z Czcigodnego G. H. Bondy’ego, który zwołał ich tak nieoczekiwanie. W Warsztacie było cicho jak w kościele. Na ścianach obitych czarną materią były wytkane Maksymy Podstawowe. Czcigodny Bondy był blady i zamyślony.

— Bracia — ozwał się Czcigodny po chwili — zwołałem was w chwili wyjątkowej... wyjątkowo... ku tej Pracy, która... wyjątkowo... wbrew przepisom naszego Zakonu... nie jest pustą formalnością. Wiem... że naruszam uroczysty i sakralny charakter naszej pracy... Wiem, że... Wkładam na was obowiązek... wypowiedzenia się... hm... o sprawie naprawdę ważnej i publicznej... o zasięgu największym.

— Czcigodny ma prawo ustanawiać Pracę — oświadczył Judex Formidabilis przy powszechnym wzruszeniu.

— Otóż — zaczął G. H. Bondy — idzie tu o to, że na Zakon nasz... uderzają systematycznie... klerykałowie... cała partia klerykalna. Twierdzą, że... nasza wiekowa... tajna działalność... ma związek z osobliwymi... i godnymi pożałowania zdarzeniami... w dziedzinie przemysłowej i duchowej. Pisma klerykalne twierdzą, że Łoże Wolnomyślne rozmyślnie wywołały... rozpętanie sił demonicznych. Pytam was... co w katastrofie obecnej uczynimy dla dobra Ludzkości... i ku czci Najwyższego. Tym... otwieram dyskusję.

Po chwili uroczystej ciszy powstał Drugi Strażnik.

— Bracia! W tej historycznej chwili witam, że tak powiem, głębokie słowa, które wypowiedział nasz Dostojny Czcigodny. Powiedział on, że tak powiem, „zdarzenia godne pożałowania”. Owszem, tak jest, my, którzy mamy na celu jedynie szczęście Ludzkości, musimy uznać wszystkie te pożałowania godne cuda, oświecenia, ataki miłości bliźniego i inne zaburzenia podobne, że tak powiem, za wysoce pożałowania godne. Zachowując całkowitą tajność, jaka cechuje nasz Zakon, musimy, że tak powiem, odrzucić jakiegokolwiek związku z faktami pożałowania godnymi, które, że tak powiem, nie zgadzają się z tradycyjnymi i postępowymi zasadami naszego Wielkiego Zakonu. Bracia, te pożałowania godne zasady są, iż tak powiem, jak słusznie powiedział Czcigodny w zasadniczej sprzeczności z tym, co... które... Ponieważ klerykałowie, że tak powiem, napadają na nas, więc skoro mamy na oku Najwyższe Interesy Ludzkości, przeto wnoszę, abyśmy w całym znaczeniu słowa wyrazili zgodę z wydarzeniami pożałowania godnymi, jak słusznie powiedział Czcigodny.

Judex Formidabilis powstał.

— Bracie Czcigodny, proszę o głos. Stwierdzam, że tu się mówiło w pożałowania godny sposób o pewnych zdarzeniach. Uważam, że te zdarzenia nie są takie pożałowania godne, jak sądzi nasz Brat Drugi Strażnik. Nie wiem wprawdzie, o jakich wydarzeniach Brat Drugi Strażnik mówi, ale jeśli ma na myśli zgromadzenia religijne, na których ja bywam, to oświadczam, że się myli, a nawet powiem otwarcie, że jest w błędzie.

— Proponuję — ozwał się inny Brat — abyśmy głosowali, czy wzmiankowane wydarzenia są pożałowania godne, czy nie są.

— A ja — zawołał inny — proponuję wybór ściślejszego komitetu do zbadania zdarzeń pożałowania godnych. Komitet, składający się z trzech członków.

— Z pięciu członków.

— Z dwunastu!

— Pozwólcie Bracia — ozwał się Judex Formidabilis — jeszcze nie skończyłem.

Czcigodny uderzył młotkiem.

— Głos ma Brat Judex Formidabilis.

— Bracia — rzekł Judex miękko — nie będziemy się spierali o słowo. Zdarzenia, o których padły tu pożałowania godne wyrazy, są tego rodzaju, że zasługują na zastanowienie, rozważanie, a nawet na uwagę. Ja nie przeczę, że uczestniczyłem w pobożnych zebraniach, na których spoczęła specjalna łaska boża. Mam nadzieję, że to nie jest w niezgodzie z karnością Wolnego Mularza.

— Bynajmniej — ozwało się kilka głosów.

— Dalej, przyznaję się, że i mnie spotkał zaszczyt, iż mogłem być wykonać kilka pomniejszych cudów. Sądzę, że to nie sprzeciwia się mojemu Stopniowi i mej Godności.

— Zaiste nie.

— Mogę więc oświadczyć wam — na podstawie własnego doświadczenia — że wzmiankowane zdarzenia są przeciwnie dostojne, wzniosłe i cnotliwe, że przyczyniają się ku Szczęściu Ludzkości i Sławią Najwyższego i dlatego ze stanowiska wolnomularskiego nie może przeciwko nim być zastrzeżeń. Wnoszę, aby Loża wyraziła swą neutralność wobec wszystkich tych przejawów obecności boskiej.

Powstał Pierwszy Strażnik i rzekł:

— Bracia, ja co prawda w to wszystko nie wierzę, nic nie widziałem, nic nie wiem, ale sądzą, że powinniśmy raczej wypowiedzieć się za tą religią. Sądzę, że w tym wszystkim nic nie ma, ale po co zaraz o tym gadać? Więc ja proponuję, abyśmy tajnie dali znać, iż mamy o tym jak najlepsze informacje i że wyrażamy swą zgodę, aby wszystko było tak, jak jest.

Czcigodny wznosił oczy i rzekł:

— Zwracam uwagę Braci, że Związek Przemysłowców wybrał Absolut na swego prezesa honorowego. Dalej, że akcje MEAS, nazywane akcjami Absolutu, mogą jeszcze podnieść się w kursie. Nawiasem mówiąc, ktoś, kto nie chce podawać swego imienia, ofiarował na rzecz Wdowiej Skarbonki naszej Loży tysiąc sztuk tych akcji. Proszę, mówcie Bracia dalej.

— Więc ja — oświadczył Drugi Strażnik — cofam, że tak powiem, pożałowania godne zdarzenia. Z wyższego stanowiska zgadzam się najzupełniej. Proponuję, abyśmy o sprawie pomówili z wyższego stanowiska.

Czcigodny podniósł oczy i rzekł:

— Polecono mi zwrócić waszą uwagę, że Loża Najwyższa ma wydać instrukcje o ostatnich zdarzeniach. Loża Najwyższa zaleca Braciom Mistrzom, aby wstępowali do kółek religijnych i aby je organizowali w duchu wolnomularskim, jako Warsztaty Uczniów. Nowe Warsztaty mają być prowadzone w duchu postępowym i przeciwkościelnym. Zaleca się poznawanie różnych nauk: monistycznej, abstynenckiej, fletcherowskiej, wegetariańskiej i tak dalej. Każde kółko niechaj będzie nauczane innej wiary, aby można było wypróbować, która jest najlepsza dla Szczęścia Ludzkości i Sławy Najwyższego. Czynność taka na rozkaz Loży Najwyższej obowiązuje wszystkich Mistrzów. Proszę, Bracia, możecie rozprawiać dalej.

## 18. W REDAKCJI NOCNEJ

Największy dziennik ludowy „Przyjaciół Ludu” miał redakcję nie tak bardzo liczną. O godzinie pół do dziesiątej wieczorem siedział w jej lokalu tylko nocny redaktor Kosztial (Bóg raczy wiedzieć, dlaczego fajki nocnych redaktorów śmierdzą tak haniebnie) i pater Joszt, który pogwizdując przez zęby, pisał na jutro artykuł wstępny.

W tej chwili wszedł do redakcji pan metrampaż<sup>75</sup> Novotny i przyniósł mokre odbitki szczotkowe<sup>76</sup>.

— No więc, panowie, artykuł wstępny — warknął. — Kiedyż go mamy złożyć?

Pater Joszt przestał świstać.

— Zaraz będzie, panie Novotny — rzekł skwapliwie. — Nie przypominam sobie pewnego słowa. Czy już mieliśmy „diabelskie machinacje?”

<sup>75</sup>metrampaż (z fr. *mettre en pages*: umieszczać na stronach) — łamacz, pracownik zecerni formujący kolumny druku ze szpałt złożonych przez zecera. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>odbitka szczotkowa — próbny wydruk, na którym można sprawdzić jakość składu i nanieść korektę. Dawniej był to wydruk odbijany ręcznie przez przyłożenie kartki papieru do złożonych szpałt posmarowanych farbą i ostukanie jej szczotką. [przypis edytorski]

— Onegdaj.

— Aha. A „zbójcka zasadzka?” Też już była?

— Była.

— „Nikczemne oszustwo?”

— Mieliśmy dzisiaj.

— „Bezbożny wynalazek?”

— Chyba ze sześć razy — odpowiedział redaktor Kosztial.

— Szkoda! — westchnął pater Joszt. — Uważam, że zbyt rozrzutnie szafowaliśmy myślami. Jak wam się podobał dzisiejszy artykuł wstępny, panie Novotny?

— Mocny — rzekł pan metrampaż. — Ale czas już składać.

— Zaraz będzie — zapewniał pater Joszt. — Sądzę, że ci z góry byli zadowoleni z numeru porannego. Zobaczycie, że przyjdzie Jego Biskupia Miłość. Powie mi: Dobrze ryczałeś, Joszcie. Mieliśmy już „oszalałą wściekliznę?”

— Mieliśmy.

— Szkoda. „Musimy ustawić nowe baterie i palić, Joszcie”, rzekła do mnie któregoś dnia Jego Miłość. „Bij w nich jak w kaczy kuper! Bo uważasz, wszystkiego do czasu, ale my na wieki”. — A pan, panie Novotny, nie ma w zapasie jakiego takiego dobrego słówka?

— No, więc dajmy na to „zbrodnicza tępota”, albo „perwersyjna złośliwość”.

— Niczego sobie — odetchnął z ulgą pater Joszt. — Powiedz pan, panie Novotny, skąd pan bierze takie dobre pomysły?

— Ze starych roczników „Przyjaciela Ludu”. Ale ten artykuł wstępny, wasza wielebności!

— Zaraz się zrobi. Poczekajcie: „Zbrodnicza tępota i perwersyjna złośliwość wiadomych kół, które bałwanami Baala mącą czystą wodę Skały Piotrowej... Aha, zaraz będzie: Skały Piotrowej, mącą czystą wodę, tak, i ustawiają na niej złotego cielca, który zwie się diabłem czyli Absolut...”.

— Artykuł wstępny? — ozwał się głos we drzwiach lokalu nocnej redakcji.

— *Laudetur Jesus Christus*<sup>77</sup>. Wasza Biskupia Miłości — zerwał się pater Joszt.

— Macie artykuł wstępny? — zapytał biskup Linda, wchodząc żwawym krokiem. — Któż to pisał poranny wstępniak? Rany boskie, wyście nas urządzili! Który idiota napisał to?

— Ja — wyjąkał pater Joszt, cofając się. — Ja... Wasza Biskupia Miłości... ja myślałem...

— Ja ci dam myśleć! — ryknął biskup Linda, upiornie luskając okularami. — Masz! — Zgniół w ręku poranny numer „Przyjaciela Ludu” i rzucił go Josztowi pod nogi. — „Ja myślałem?! Patrzcież, on myślał! Czemuś nie telefonował? Czemu nie zapytałeś, co masz pisać? A wy, panie Kosztial? Jak pan może zamieszczać coś podobnego? Pan także pewno myślał? Novotny!

— Słucham — rzekł pan metrampaż, drżąc ze strachu.

— Dlaczego kazał pan to złożyć? Pan także myślał?

— Nie, ja nie myślałem — protestował metrampaż. — Ja muszę składać, co mi panowie poślą.

— Nikt nic nie musi, tylko, co każe ja! — oświadczył stanowczo biskup Linda. — Siadaj, Joszcie, i czytaj, coś rano naglądzil. Mówię ci: czytaj!

— Już od dawna — czytał pater Joszt drżącym głosem swój własny artykuł wstępny — już od dawna, niepokoi nasz ogół... nikczemne oszustwo...

— Co?

— Nikczemne oszustwo, Biskupia Miłości — jęknął pater Joszt. — Ja myślałem... ja... ja teraz widzę... że...

— Że co?

— Że to jest trochę za mocne, to „nikczemne oszustwo”.

— Pewno, że za mocne. Czytaj dalej.

— ...nikczemne oszustwo z tak zwanym Absolutem... którym masoneria, Żydzi i inni postępowcy... balamucą świat. Zostało naukowo dowiedzione...

<sup>77</sup>*Laudetur Jesus Christus* (łac.) — niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. [przypis edytorski]

— Patrzcie państwo — krzyknął biskup Linda. — Joszt nam coś naukowo dowiódł! Czytaj dalej!

— ...naukowo dowiedzione — bąkał nieszczęsny Joszt — że tak zwany Absolut... jest takim samym szwindlem niedowiarków... jak sztuczki mediów, które...

— Poczekaj no — rzekł z nagłą łaskawością biskup. — Napisz taki artykuł wstępny: Zostało naukowo dowiedzione... Napisałeś? A więc, dowiedzione, że ja, pater Joszt, jestem osioł, fujara, niezguła... Napisałeś?

— Napisałem — szepnął zmiądzony Joszt. — Wasza Miłość raczy dyktować dalej.

— Wrzuc to do kosza, synu — rzekł pan biskup — i rozwiń swoje głupie uszy. Czytałeś dzisiejsze gazety?

— Czytałem, Wasza Mił...

— Wygląda tak, jakbyś ich nie czytał. Dzisiaj rano, paterku, ukazał się przede wszystkim komunikat związku monistów, że Absolut jest właśnie tą Jednością, którą moniści zawsze uważali za Boga, że więc kult Absolutu w pełni odpowiada nauce monistów. Czyś to czytał?

— Czytałem.

— Dalej wiadomość, że loże masońskie zalecają swoim członkom kult Absolutu. Czytałeś?

— Czytałem.

— Dalej, że na synodalnym zjeździe luteranów superintendent Maartens miał pięciogodzinny wykład, w którym dowodził tożsamości Absolutu z objawionym Panem naszym. Czytałeś?

— Czytałem.

— Dalej, że na zjeździe Siódmej Międzynarodówki delegat rosyjski Paruskin-Rebenfeld zaproponował oddawanie czci Towarzyszowi Bogu, który sympatie swoje dla ludu roboczego objawił tym, że wstąpił do fabryk. Przyjęto z wdzięcznością do wiadomości, że Najwyższy Towarzysz postanowił pracować zamiast wyzyskiwanych. Uchwalono wniosek, aby na dowód solidarności zagał generalny strajk we wszystkich swoich zakładach. Po tajnej naradzie prezydium, wniosek cofnięto jako przedwczesny. Czytałeś?

— Czytałem.

— Wreszcie przyjęto rezolucję, że Absolut jest wyłącznie majątkiem warstw proletariackich i ludowych i że burżuazja nie ma prawa czcić Go lub też przyjmować od Niego cuda. Zarządzono opracowanie robotniczego kultu Absolutu oraz nakazano tajne uzbrojenie na wypadek, gdyby kapitał spróbował wyzyskiwać albo przywłaszczyć sobie Absolut! Czytałeś to?

— Czytałem.

— Dalej, manifest Wolnej Myśli, komunikat Armii Zbawienia, oświadczenie Teozoficznej Centrali Adyar, list otwarty do Absolutu, a podpisany przez Wspierające się Gminy Chałupników, manifest Związku Właścicieli Karuzel podpisany przez prezesa Bindera, dalej Głos Jednoty Kostnickiej, numer specjalny „Głosów z Tamtego Świata”, „Baptysowskiego Czytelnika” i „Abstynenta”... Człowieku, czytałeś to wszystko?

— Czytałem.

— Więc widzisz, synu miły. Wszędzie tam z wielkim hałasem przywłaszczają sobie Absolut, robią mu honory i świetne propozycje, mianują go członkiem honorowym, mecenasem, protektorem, Bogiem, i Bóg wie czym jeszcze, a tymczasem taki jakiś półgłówek, pater Joszt, tak jest, Joszt, maluchny Joszcik, nadyma się i krzyczy, że wszystko jest nikczemnym oszustwem i naukowo dowiedzionym szwindlem! Jezus Maria, tyś nas urządził!

— Ależ, Wasza Miłości, miałem przecież nakazane... pisać przeciwko... przeciwko tym wszystkim zjawiskom...

— Miałeś nakazane — przerwał mu pan biskup surowo. — Ale czy nie widzisz, że się sytuacja zmieniła? Ech, mój Joszcie — wołał biskup, powstając — nasze świątynie opustoszały, a owieczki pobiegły za Absolutem. Joszcie, człowieku głupi, jeśli mamy pozyskać owieczki dla siebie, musimy zdobyć Absolut. We wszystkich kościołach poustawiamy atomowe Karburatory, ale takich rzeczy, ty moja wielebnośćko, nie rozumiesz.

Zapamiętaj sobie, to jedno: Absolut musi pracować dla nas: musi być nasz, *id est*<sup>78</sup>, musi być tylko nasz. *Capiscis*<sup>79</sup>, *mi fili*<sup>80</sup>?

— *Capisco*<sup>81</sup> — szepnął pater Joszt.

— *Deo gratias*<sup>82</sup>. Teraz, Joszciku, wykręcisz się, ale na całego. Napiszesz ładny artykułasek wstępny, w którym powiesz, że Święta Kongregacja, uwzględniając prośby wiernych, przyjęła Absolut na łono Kościoła. Panie Novotny, masz pan tu o tym List Apostolski. Weźmie pan na to grube czcionki cycero<sup>83</sup> na pierwszą stronicę. Pan, panie Kosztial, poda w „Wiadomościach Miejsowych”, że prezes G. H. Bondy przyjmie w niedzielę z rąk arcybiskupa sakrament chrztu. Doda pan do tego radosne powitanie, rozumie pan? A ty, Joszcie, siadaj i pisz... Poczekaj no, jakieś mocniejsze słowo na początek.

— Och, Wasza Miłości, może by: zbrodnicza tępota i perwersyjna złośliwość wiadomych kół...

— Bardzo dobrze, pisz: — Zbrodnicza tępota i perwersyjna złośliwość wiadomych kół już od miesięcy stara się sprowadzić nasz lud na błędne drogi. Publicznie głosi się heretycki fałsz, że Absolut jest czymś innym, niż owym Bogiem, ku któremu już od kołyski wznosiliśmy ręce... Masz to?... Wznosiliśmy ręce w dziecinnej wierze... i miłości... Masz to? Więc dalej...

## 19. PROCES KANONIZACYJNY

Łatwo zrozumiecie, że w danych warunkach przyjęcie Absolutu na łono Kościoła było wielką niespodzianką. Zostało to przeprowadzone właściwie tylko papieskim *Breve*<sup>84</sup>, a kolegium kardynalskie stanęło wobec faktu dokonanego i zastanawiało się jedynie nad tym, czy można Absolutowi udzielić sakramentu chrztu. Postanowiono poniechać tego. Chrzt Boga jest jawną tradycją kościelną (*vide* Jana Chrzciciela), ale i w tym wypadku nowochrzconiec musi być osobicie obecny. Prócz tego było bardzo łaskotliwym zagadnieniem politycznym, która osobistość panująca miałaby być kumem<sup>85</sup> Absolutu. Dlatego Święta Kongregacja zaleciła, aby przy najbliższej mszy pontyfikalnej Ojciec Święty pomodlił się za nowego członka kościoła. Stało się to w formie bardzo uroczystej. Dalej, włączono do nauki kościelnej, że obok sakramentu chrztu, krwi, uznaje Kościół Święty także chrzest uczynków cnotliwych i zasłużonych.

Nawiasem mówiąc, na trzy dni przed wydaniem *Breve* przyjął papież w dłuższej audiencji prezesa G. H. Bondy'ego, który przedtem przez czterdzieści godzin konferował z sekretarzem papieskim monsignorem Pulpettim.

Niebawem została przeprowadzona prosta beatyfikacja Absolutu, formą *super cultu immemorabili* w uznaniu cnotliwego żywota Absolutu, obecnie Błogosławionego, i zarządzono regularny, ale przyśpieszony proces kanonizacyjny, oczywiście z dalekosiężną modyfikacją: nie chodziło bowiem o kanonizowanie Absolutu, ale o deifikowanie. Została natychmiast ustanowiona komisja deifikacyjna z kół najwybitniejszych uczonych kościelnych i pasterzy. Jako *Procurator Dei*<sup>86</sup> działał z mianowania wenecki arcybiskup, kardynał dr Varesi, jako *Advocatus Diaboli*<sup>87</sup> funkcjonował monsignor Pulpetti.

Kardynał Varesi przedstawił siedemnaście tysięcy zaświadczeń o dokonanych cudach, które podpisali prawie wszyscy kardynałowie, patriarchowie, prymasowie, metropolici,

<sup>78</sup>*id est* (łac.) — to jest. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*capiscis* (z wł.) — zniekształcona forma *capisci*: rozumiesz (z os. lp cz. ter.). [przypis edytorski]

<sup>80</sup>*mi fili* (łac.) — mój synu. [przypis edytorski]

<sup>81</sup>*capisco* (wł.) — rozumiem. [przypis edytorski]

<sup>82</sup>*Deo gratias* (łac.) — Bogu dzięki. [przypis edytorski]

<sup>83</sup>*czcionki cycero* — dużymi literami; cycero w typografii to jednostka długości, wynosząca 12 punktów typograficznych, czyli ok. 4,5 mm. Nazwa pochodzi od rozmiaru czcionek użytych w wydaniu listów Cycerona z 1468 r. [przypis edytorski]

<sup>84</sup>*breve* (łac.: krótkie) — oficjalna publikacja papieskiego stanowiska w sprawie mniejszej wagi. [przypis edytorski]

<sup>85</sup>*kum* — tu: ojciec chrzestny. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*Procurator Dei* — urzędnik w procesie kanonizacyjnym, przedstawiający zasługi kandydata na świętego. [przypis edytorski]

<sup>87</sup>*Advocatus Diaboli* (łac.: adwokat diabła) — potoczna nazwa urzędnika znanego oficjalnie jako *Promotor Fidei* (łac. *promotor fidei*), który w procesie kanonizacyjnym ma za zadanie znalezienie ewentualnych wad i grzechów kandydata na świętego, tak aby decyzja o kanonizacji była podejmowana tylko w przypadku naprawdę godnych kandydatów. [przypis edytorski]

książe kościoła, arcybiskupi, generałowie zakonów i opaci. Do każdego zaświadczenia dołączono badania znakomitości ze świata lekarskiego, orzeczenia wydziałów uniwersyteckich, opinie profesorów nauk przyrodniczych, technologów i ekonomistów, a wreszcie podpisy naocznych świadków, notarialnie potwierdzone.

Tych siedemnaście tysięcy dokumentów, jak wywodził monsignor Varesi, to tylko znikomy ułamek cudów istotnie dokonanych przez Absolut, bo realna ich liczba według bardzo ostrożnej oceny przekroczyła już trzydzieści milionów.

Prócz tego przedłożył *Procurator Dei* obszerne opinie najlepszych fachowców — specjalistów całego świata. Tak np. przedstawiciel wydziału lekarskiego w Paryżu, profesor Gardien, po dokładnym zanalizowaniu szeregu przypadków napisał, co następuje:

„...Ponieważ tedy liczne wypadki, przedstawione nam do zbadania, były z lekarskiego punktu widzenia absolutnie beznadziejne i naukowo rzecz biorąc nieuleczalne (paraliż, rak, ślepotę po chirurgicznym wyjęciu obu oczów<sup>88</sup>, chromość skutkiem operacyjnego odjęcia obu dolnych kończyn, śmierć skutkiem całkowitego oddzielenia głowy od tułowia, strangulacja u powieszzonego i dwa dni wiszącego itd.), wydział lekarski Sorbony uważa, że tak zwane cudowne wyleczenie tych wypadków należy przypisać bądź to zupełnej nieznajomości anatomicznych i patologicznych przesłanek, braku doświadczenia klinicznego i nieznajomości praktyki lekarskiej, albo też — czego wyłączać nie zamierzamy — interwencji siły wyższej, nie ograniczanej ani prawami przyrody, ani ich znajomości”.

Psycholog, profesor Meadow (Glasgow) napisał:

„...Ponieważ w czynach tych przejawia się stanowczo istota myśląca, zdolna do tworzenia skojarzeń, pamiętania, a nawet wniosków logicznych, istota, która tych psychicznych operacji dokonywa<sup>89</sup> bez pomocy mózgu i układu nerwowego, jest znakomitą potwierdzeniem mej miażdżącej krytyki psychofizycznego paralelizmu, głoszonego przez profesora Mayera. Stwierdzam, że tzw. Absolut jest istotą duchową, świadomą i inteligentną, aczkolwiek naukowo, jak dotychczas, mało jeszcze zbadaną”.

Profesor Lupen z brneńskiej Politechniki napisał:

„Na miarę wyczynu pracowniczego Absolut jest siłą zasługującą na najwyższy szacunek”.

Sławny chemik Wilibald (Tybinga) napisał:

„Absolut posiada wszystkie warunki istnienia i naukowego rozwoju, albowiem w sposób wzorowy odpowiada einsteinowskiej teorii względności”.

Kronikarz nie będzie wam dalej zabierał czasu wyliczaniem opinii światowych sław naukowych: wszystko to było zresztą opublikowane w „Aktach Sanctae Sedis”<sup>90</sup>.

Proces kanonizacyjny posuwał się w szybkim tempie, a tymczasem kolegium wybitnych dogmatystów i egzegetów opracowywało dzieło, w którym na podstawie Pisma Św. i dzieł Ojców Kościoła i Doktorów ustalono tożsamość Absolutu z Trzecią Osobą Boską.

Ale zanim doszło do uroczystej deifikacji, patriarcha konstantynopoliński, jako głowa kościoła wschodniego, zadekretował tożsamość Absolutu z Pierwszą Osobą Boską, Stwórcą. Do tego, zaiste heretyckiego poglądu przyłączyli się starokatolicy, obrzezani chrześcijanie abisyńscy, ewangelicy wyznania helweckiego, nonkonformiści i kilka co większych sekt amerykańskich. Rozgorzała z tego powodu żywa walka teologiczna. Co do Żydów, to rozpowszechniła się między nimi tajna nauka, że Absolut jest to stary Baal, a Żydzi liberalni przyznawali się jawnie, że w takim razie wyznają Baala.

Konflikt, Religia

<sup>88</sup>oczów — dziś częstsza forma D. Im.: oczu. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>dokonywa — dziś powszechna forma 3 os. lp. cz. ter.: dokonuje. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>Akta Sanctae Sedis — oficjalny organ prasowy Watykanu, wychodzący od r. 1865, w 1908 r. zastąpione przez „Acta Apostolicae Sedis”. [przypis edytorski]

Wolna Myśl zjechała się w Bazylei. W obecności dwóch tysięcy delegatów ogłoszono Absolut jako Boga Wolnych Myślicieli, po czym zaatakowano z niewiarygodną gwałtownością klechów wszystkich wyznań, którzy, jak twierdziła rezolucja, „chcą korzystać z jedyne go naukowego Boga i zamknąć go w brudnej klatce dogmatów kościelnych i kleszego zabobonstwa, aby w niej skarłał”. Ale Bóg dostrzegalny dla oczu każdego postępowego, nowoczesnego myśliciela, „nie ma nic wspólnego z średniowiecznym kramarstwem tych faryzeuszów; jedynie Wolna Myśl jest jego parafią, jedynie Bazylejski Kongres ma prawo ustalać naukę wiary i rytuał Wolnej Religii”.

Mniej więcej w tych samych dniach niemiecki Związek Monistów zakładał podczas wielkich uroczystości kamień węgielny pod przyszły Arcychram Atomowego Boga w Lipsku. Doszło przy tym do jakichś starć, szesnaście osób odniosło rany, a sławnemu fizykowi Luttgenowi rozbito okulary.

Nawiasem dodajmy, że tegoż roku na jesieni zdarzyły się jakieś zjawiska religijne w belgijskim Kongu i w francuskiej Senegambii. Murzyni całkiem nieoczekiwanie porzucali i zjedli misjonarzy i kłaniali się jakimś nowym bałwanom, które nazywali Ato albo Alolto; później wyszło na jaw, że były to motory atomowe i że w sprawie tej maczali ręce niemieccy agenci i oficerowie. Natomiast w powstaniu muzułmańskim, które wybuchło w Mekce w grudniu tegoż roku, dowiedziono obecności kilku francuskich emisariuszy, którzy w pobliżu Kaaby ukryli dwanaście lekkich atomowych motorów Aero. Późniejsze bunt mahometan w Egipcie i w Tripolisie i rzezie w Arabii kosztowały około 30 000 istnień Europejczyków.

Dwunastego grudnia dokonano wreszcie w Rzymie deifikacji Absolutu. Siedem tysięcy duchownych z gorejącymi świecami w ręku towarzyszyło Ojcu Świętemu do bazyliki Świętego Piotra, gdzie za głównym ołtarzem ustawiono największy dwunastotonowy Karburator, ofiarę koncernu MEAS dla Stolicy Świętej. Obrzęd trwał pięć godzin, przy czym zagnieciono tysiąc dwieście wiernych i gości. Ścisłe o godzinie dwunastej w południe zaśpiewał papież *In nomine Dei Deus*<sup>91</sup> i w tejże chwili rozegrały się dzwony wszystkich katolickich świątyń świata, wszyscy biskupi i księża odwrócili się od ołtarza i zwiastowali wierzącemu ludowi: *Habemus Deum*<sup>92</sup>.

## 20. ST. KILDA

St. Kilda<sup>93</sup> to wysepka, czy tylko skalisko pliocenowego tufu daleko na zachód od Hebrydów. Kilka niskich brzoźek, garść wrzosu i ostrej trawy, stado gnieźdzących się tu mew i na poły arktyczny motylek rodzaju *Polyommatus*<sup>94</sup> oto całe życie tej straconej przedniej straży naszej części świata, stojącej między nieskończonym falobiciem morza i równie nieskończonym przyplływem i odpływem wiecznie mokrych chmur. Zresztą St. Kilda była, jest i będzie zawsze nie zamieszkała<sup>95</sup>.

Ale w ostatnich dniach grudnia zarzucił tu kotwicę statek IKM „Dragon”. Statek wysadził na ląd cieślow, którzy z przywiezionych belek i desek zbudowali do wieczora duży, drewniany, niski barak. Dnia następnego przyjechali tapicerzy i przywieźli najładniejsze i najwygodniejsze meble. Dnia trzeciego wylądowali tu stewardzi, kucharze i kelnerzy i nazwozili do baraku mnóstwo naczyń, win i konserw, i w ogóle wszystkiego, co kultura wynalazła dla dostojnych, łakomych i potężnych panów.

Na czwarty dzień z rana przyplłynął statkiem H. M. S. „Edwin” R. H. Sir O’Patterney, angielski premier. Po upływie pół godziny przyplłynął poseł amerykański Horatio Bumm. Potem po kolei — każdy na statku wojennym: chiński pełnomocnik Mr Kei, premier

<sup>91</sup>*In nomine Dei Deus* (łac.: w imię Boga Bóg) — tytuł inkantacji, wymyślonej przez autora na okoliczność obrzędu deifikacji, czyli ubóstwienia, uznania Absolutu za boga. [przypis edytorski]

<sup>92</sup>*Habemus Deum* (łac.: mamy boga) — nawiązanie do tradycyjnych słów wypowiedzianych podczas ogłaszania wyboru nowego papieża: *habemus papam*. [przypis edytorski]

<sup>93</sup>St. Kilda — należący do Szkocji archipelag wysp na Atlantyku, oddalony od wybrzeży Szkocji o kilkadziesiąt kilometrów. [przypis edytorski]

<sup>94</sup>*Polyommatus* — modraszek. [przypis edytorski]

<sup>95</sup>St. Kilda była, jest i będzie zawsze nie zamieszkała — w rzeczywistości największa wyspa archipelagu, Hirta, była zamieszkała od czasów prehistorycznych. Ostatnich rdzennych mieszkańców (kilkadziesiąt osób mówiących po gaelicku) ewakuowano z wyspy w 1930 r. [przypis edytorski]



francuski Dudieu<sup>96</sup>, carski generał rosyjski Buchtin, cesarsko-niemiecki kanclerz dr Wurm<sup>97</sup>, włoski książę Trivelino<sup>98</sup> i japoński ambasador Janato. Szesnaście angielskich torpedowców krążyło wokół St. Kildy, aby uniemożliwić dostęp reporterom, albowiem zjazd ten Najwyższej Rady Wielkomocarstwowej, pośpiesznie zwołany przez wszechmocnego Sira O'Patterneya, miał się odbywać przy najściślejszym wyłączeniu publiczności.

Istotnie, torpedą został zatopiony duński szkuner do połowu wielorybów „Nyls Hans”, który próbował prześliznąć się w nocy przez łańcuch torpedowców. Oprócz dwunastu ludzi załogi zginął przy tej sposobności reporter gazety Chicago Tribune, Mr Joe Hashek. Pomimo to sprawozdawca New-York-Heralda, Bill Prittom, bawił przez cały czas na St. Kildzie w przebraniu kelnera i jego pióru zawdzięczamy tych kilka wiadomości, które nawet po późniejszych dziejowych katastrofach przechowały się o tym pamiętnym zjeździe.

Pan Bill Prittom twierdził, że ta wysoka konferencja polityczna dlatego odbywała się na miejscu tak opuszczonym, aby była wyłączona bezpośrednia ingerencja Absolutu na jej uchwały. Wszędzie indziej mogło się zdarzyć, że Absolut zdołałby się wśliznąć w zgromadzenie mężów tak dostojnych w postaci natchnienia, oświecenia, albo i cudu, co w wyższej polityce byłoby oczywiście rzeczą wprost niesłychaną. Zdaje się, że pierwszym celem konferencji było porozumienie się w polityce kolonialnej. Państwa miały się porozumieć i zobowiązać, że nie będą popierały ruchów religijnych na terytoriach innych państw. Podniętą ku temu była agitacja niemiecka w Kongu i Senegambii, dalej tajne wpływy francuskie przy wybuchu mahdyzmu w angielskich strefach mahometańskich, a przede wszystkim japońskie przesyłki Karburatorów do Bengalów, gdzie wrzała straszliwa rewolta najróżniejszych sekt. Narady odbywały się przy drzwiach zamkniętych. Wydano jedynie komunikat, że Niemcom przyznaje się sferę wpływów w Kurdystanie, a Japonii na niektórych wyspach greckich. Sojusz angielsko-japoński i francusko-niemiecko-rosyjski znalazły tu w pełni wyraz wielkiej serdeczności.

Po południu przyjechał osobno na torpedowcu pan G. H. Bondy i został przyjęty na audiencji Najwyższej Rady.

Dopiero około godziny piątej (według czasu angielskiego) zebrali się dostojni dyplomaci przy obiedzie i Bill Prittom miał przy tej sposobności możliwość słuchania rozmów przedstawicieli Wysokich Umawiających się Stron na własne uszy. Po obiedzie rozmawiali o sporcie i aktorkach. Sir O'Patterney z białogrzywą głową poety i z bystrymi oczami rozmawiał żywo o połowie łososi z jego ekscelencją premierem Dudieu, którego żywe ruchy, donośny głos i pewne *je ne sais quoi*<sup>99</sup> zdradzały dawnego adwokata. Baron Janato, odsuwając wszelki napój, słucha milcząc i uśmiecha się, jakby miał usta pełne wody. Dr Wurm przerzuca karty akt, generał Buchtin przechadza się po sali z księciem Trivelino, Horatio Bumm, zupełnie sam, robi na bilardzie serię karamboli (widziałem jego piękny tripple-boussard przez rękę, który ocenilby należycie każdy znawca), podczas gdy Mr Kei, podobny do bardzo złotej i bardzo wysuszonej staruszki, przebiera jakiś buddyjski różaniec: jest on mandarynem<sup>100</sup> w swoim państwie Słońca.

Nagle wszyscy dyplomaci skupiają się dokoła pana Dudieu, który opowiada:

— Tak jest, panowie, *c'est ça!*<sup>101</sup>. Nie możemy wobec Niego pozostać obojętni. Trzeba Go albo uznać, albo odmówić Mu uznania. My Francuzi jesteśmy raczej za tym drugim.

— Dlatego, że u was działa jako antymilitarysta — rzekł nie bez pewnej złośliwości książę Trivelino.

— Nie, panowie — zawołał Dudieu — na to nie liczcie. Armia francuska jest nie-  
tknięta. Jako antymilitarysta! Wielkie rzeczy! U nas było już tylu antymilitarystów! Pa-  
nowie, dobrze Go pilnujcie: jest to demagog, komunista, *un bigot*<sup>102</sup>, diabli wiedzą co

<sup>96</sup>Dudieu — nazwisko znaczące: fr. *du dieu* oznacza boski, *związany z bogiem*. [przypis edytorski]

<sup>97</sup>Wurm — nazwisko znaczące: niem. *Wurm* oznacza robaka. [przypis edytorski]

<sup>98</sup>Trivelino — nazwisko znaczące: Trivelino to typ z komedii dell'arte, postać sprytnego sługi. [przypis edytorski]

<sup>99</sup>*je ne sais quoi* (fr.: nie wiem co) — coś nieokreślonego, ale wyraźnie zauważalnego; najczęściej: szczególne wrażenie (głównie pozytywne), jakie wywiera dana osoba. [przypis edytorski]

<sup>100</sup>mandaryn — wysoki urzędnik w Chinach w czasach cesarstwa. [przypis edytorski]

<sup>101</sup>*c'est ça* — o to chodzi. [fr.: to jest to. Red. WL.] [przypis tłumacza]

<sup>102</sup>*un bigot* (fr.) — pobożniś. [przypis tłumacza]

tam jeszcze, ale zawsze radykał. *Oui, un rabouliste*<sup>103</sup>, *c'est ça*<sup>104</sup>. Trzyma się najdzikszych popularnych haseł. Idzie z tłumami. U was, Wasza Książęca Mość — zwrócił się nagle do księcia Trivelino — jest nacjonalistą i upaja się iluzjami imperium rzymskiego. Ale baczność, książę, takim jest tylko po miastach, podczas gdy na prowincji trzyma z klechami i wyczynia mariańskie cuda. Jedną ręką pracuje dla Watykanu, drugą dla Kwirynału. Albo jest w tym jakiś jego zamiar, albo... czy ja wiem. Moi panowie, możemy powiedzieć to sobie szczerze: wszyscy mamy z Nim kłopoty niemałe.

— U nas — rzekł w zamyśleniu Horatio Bumm, opierając się na kiju bilardowym — interesuje się także sportem. *Indeed, a big sportsman*<sup>105</sup>. Faworyzuje wszystkie rodzaje gier sportowych. Osiągnął bajeczne rekordy w sporcie i w sektach. Jest socjalistą. Trzyma z mokrymi. Zamienia wodę w *drinks*<sup>106</sup>. Niedawno temu na bankiecie w Białym Domu wszyscy, ech, wszyscy się strasznie podgazowali. Wiecie, pili tylko wodę, ale On im ją w żołądku przemienił w *drinks*.

— To dziwne — wywodził Sir O'Patterney — u nas wygląda raczej konserwatywnie. Zachowuje się jak wszechmocny *clergyman*<sup>107</sup>. *Meetings*<sup>108</sup>, pochody, kazania na ulicach i *such things*<sup>109</sup>. Sądzę, że jest przeciwny nam, liberałom.

Baron Janato ozwał się z uśmiechem:

— U nas jest jak u siebie. Bardzo, bardzo miły Bóg. Bardzo się przystosował. Bardzo wielki Japończyk.

— Jaki tam znowu Japończyk! — zawołał warkliwie generał Buchtin. — Co wy gadacie, batuszka! To Rosjanin, prawdziwy Rus, Słowianin. Szeroka ruska dusza, Ekscelecencjo. Trzyma z nami, muzykami<sup>110</sup>. Niedawno temu nasz archimandryta<sup>111</sup> urządził mu procesję: dziesięć tysięcy świeczek a ludu, *gaspada*<sup>112</sup>, jak maku. Zjechały się dusze chrześcijańskie z całej matuszki Rosji. I cudu nam robi, Ojciec nasz — dodał generał, zegnając się i kłaniając po pas.

Cesarski kanclerz niemiecki podszedł do rozmawiających i po chwili milczącego przysłuchiwania się rozmowie, rzekł:

— Tak, potrafi podobać się ludowi. Wszędzie przybiera mentalność danego kraju. Jak na swój wiek jest zdumiewająco ruchliwy. My to stwierdzamy na sąsiadach. W Czechach na przykład zachowuje się jako kolosalny indywidualista. Każdy ma tam swój Absolut na własną rękę. U nas mamy Absolut państwowy. U nas Absolut dojrzał natychmiast do wyższego państwowego uświadomienia. W Polsce działa niby jakiś gatunek alkoholu... U nas działa... jako... jako... *höhere Verordnung, verstehen sie mich*<sup>113</sup>.

— Czy także w waszych krajach katolickich? — z uśmiechem pytał książę Trivelino.

— To są takie lokalne różnice — odpowiedział dr Wurm. — Niech panowie tego nie przeceniają. Niemcy są tak zjednoczone, jak nigdy dotąd. Ale dziękuję waszej książęcej mości za katolickie Karburatory, które do nas przemycacie. Na szczęście są kiepskie, jak wszystkie włoskie wyroby.

— Spokojnie, spokojnie, panowie — wtrącił się w rozmowę Sir O'Patterney. — W zagadnieniach religijnych neutralność! Co do mnie, to łososie łowią na haczyk dwosty. Onegdaj złowiłem łososia takiej długości. Widzicie panowie? Czternaście funtów.

— A nuncjusz papieski? — zapytał dr Wurm.

— Stolica Święta prosi, abyśmy utrzymali pokój za wszelką cenę. Żąda, aby mistycyzm został policyjnie zakazany. W Anglii nie da się tego zrobić w ogóle... Mówię wam,

Naród, Polityka

<sup>103</sup>*rabouliste* — por. ang. *rabulistic*, z łac. *rabula*: krzykliwy adwokat, nieudolny prawnik skupiający się na drobiazgach. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*oui, un rabouliste* (fr.) — tak jest, krzykacz. [przypis tłumacza]

<sup>105</sup>*Indeed, a big sportsman* (ang.) — naprawdę wielki sportowiec. [przypis tłumacza]

<sup>106</sup>*drinks* (ang.) — napoje. [przypis tłumacza]

<sup>107</sup>*clergyman* (ang.) — duchowny. [przypis tłumacza]

<sup>108</sup>*meetings* (ang.) — wiece. [przypis tłumacza]

<sup>109</sup>*such things* (ang.) — takie rzeczy. [przypis tłumacza]

<sup>110</sup>*muzyk* (ros. *музик*) — chłop. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*archimandryta* (gr. *ἀρχιμανδριτης, archimandritis*: szef owczarni) — duchowny sprawujący władzę nad klasztorem w Kościele prawosławnym, odpowiednik katolickiego opata. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*gaspada* (z ros.) — panowie. [przypis tłumacza]

<sup>113</sup>*höhere Verordnung, verstehen sie mich* (niem.) — wyższe rozporządzenie, rozumiecie mnie, panowie? [przypis tłumacza]

panowie, czternaście funtów. *Heaven*<sup>114</sup>, musiałem się dobrze trzymać, żeby nie wpaść w wodę.

Baron Janato uśmiechnął się jeszcze grzeczniej:

— Ale my nie chcemy neutralności. On jest wielki Japończyk. Cały świat może przyjąć japońską wiarę. My także chcemy rozsyłać po świecie misjonarzy i nauczać wiary.

— Panie baronie — rzekł O’Patterney bardzo poważnie — wie pan, że świetne stosunki naszych państw...

— Anglia może przyjąć wiarę japońską — uśmiechał się baron Janato — i stosunki będą jeszcze świetniejsze.

— Słuchaj, batiuszka — zawołał generał Buchtin — nie chcemy żadnych japońskich wiar. Jeżeli ma być wiara, to niech będzie prawosławna. Niby dlaczego? A dlatego po pierwsze, że jest prawosławna, po drugie, że jest ruska, po trzecie, że tego chce nasz Car, a po czwarte, że my mamy, mości panowie, największe wojsko. Ja, moi panowie, prosto po żołniersku: po prawdzie i sprawiedliwości. Jeśli już jakaś wiara, to tylko nasza prawosławna.

— Dajcież spokój, panowie — rzekł wzburzony Sir O’Patterney. — Nie na to się tu zebraliśmy przecie!

— Całkiem słusznie — rzekł dr Wurm. — Musimy się porozumieć co do wspólnego *démarche*<sup>115</sup> wobec Boga.

— Którego? — rzekł nagle chiński pełnomocnik Mr Kei, podnosząc wreszcie pomarszczone powieki.

— Którego? — powtórzył zaskoczony dr Wurm. — Przecież jest chyba tylko jeden.

— Nasz japoński — uśmiechał się przymilnie baron Janato.

— Prawosławny, batiuszka, i żaden inny! — krzyczał generał, czerwony jak indyk.

— Budda — rzekł Mr Kei i spuścił powieki, całkiem już teraz podobny do wyschłej mumii.

Sir O’Patterney zerwał się gwałtownie.

— Gentlemani — rzekł — proszę, pójdźcie za mną.

Po czym panowie dyplomaci udali się znowu na salę obrad. O ósmej wieczorem wybiegła jego ekscelencja generał Buchtin, z twarzą już purpurową i z pięściami zaciśniętymi. Za nim dr Wurm, układając swoje akta. Sir O’Patterney, nie licząc się ze względami grzecznościowymi, wychodził z kapeluszem na głowie, bardzo czerwony, za nim szedł zamilkły M. Dudieu. Księżę Trivelino oddala się błądy, za nim baron Janato, stale się uśmiechając. Jako ostatni wyszedł Mr Kei, z oczami spuszczoneymi, przesuwając w palcach paciorki arcydługiego różańca.

Na tym kończy się sprawozdanie, które pan Bill Prittom ogłosił w „Heraldzie”. Urzędowego komunikatu o tej konferencji nie wydano — prócz wspomnianego już o strefach wpływów — a jeśli nawet zapadła jaka uchwała, to niewiele była warta. Albowiem „w łonie dziejów”, jak brzmi termin ginekologiczno-historyczny, przygotowywały się wydarzenia nieoczekiwane.

## 21. DEPESZA

Na górach pada śnieg. Sypie wielkimi, cichymi płatkami już całą noc. Nowego śniegu napadało na pół metra, ale padać nie przestaje. Milczenie splywa na lasy. Tylko czasem trzaśnie gałąź przeciężona śniegiem i jej trzaśnięcie toruje sobie krótką drogę przez zaśnieżoną, zgęszczoną ciszę.

Potem wzmógł się mróz i z pruskiej strony nadleciał lodowaty wiatr. Delikatne płatki przemieniają się w kłującą kaszę bijącą prosto w twarz. Opadły śnieg podnosi się z ziemi ostrymi igielkami i wiruje w powietrzu. Z drzew sypią się obłoki białego kurzu, szybko lecą nad ziemią, krążą i wznoszą się ku mrocznemu niebu. Sypie się śnieg od ziemi ku chmurom.

Gałęzie głębokich lasów zgrzytają i skrzypią. Z ciężkim trzaskiem łamie się sosna i miazdzy młოდodrzew. Ale te ostre dźwięki są jakby porozmiatane i porozwiewane gwiź-

<sup>114</sup>*Heaven* (ang.) — Nieba. [przypis tłumacza]

<sup>115</sup>*démarche* (polit., fr.) — oświadczenie a. wystąpienie dyplomatyczne jednego państwa wobec drugiego w konkretnej sprawie. [przypis edytorski]

dżącym huczącym, skuczającym, ostrym, przerywanym hukiem wiatru. Gdy huk na chwilę ustaje, słyszysz pod nogami piskliwy chrzęst zmarzłego śniegu, jakbyś deptał po tłuczonym, sproszkowanym szkle.

Nad Spindelmühle toruje sobie drogę posłaniec telegrafu. W wysokim śniegu wędruje się diabelnie ciężko. Posłaniec ściągnął czapkę na uszy i owiązał ją czerwoną chustką. Na rękach ma wełniane rękawice, a na szyi pstrokaty szal i jeszcze mu zimno. No, myśli sobie, za półtorej godziny wygrzebię się przecie na Niedźwiedzi Dół, a na schodzenie pożyczę sobie sanki. Diabli nadali, że ludziom chce się posyłać depesze w taką niepogodę!

Koło Dziewczęcej Kładki wichura porwała posłańca i pokręciła nim sobie w kółko. Zdrętwiałymi rękami złapał się za słupki tablicy turystycznej. — Jezus Maria — rzekł sobie — ależ to musi przecie ustać wreszcie! — Naprzeciwko niego w wolnej przestrzeni pędziła masa śniegu, jak obłok. Coraz bliżej, jest tuż, teraz tylko wstrzymać oddech... Tysiące igiełek kłuje go w twarz, włazi za kark; w spodniach jest gdzieś szczelina i przez nią dobiega się śnieg do gołego ciała. Pod zmarzłym ubraniem człowiek jest mokry. Obłok przeleciał i posłaniec ma ochotę wrócić na pocztę. Inżynier Marek — powtarza sobie adres depeszy — to nawet nietutejszy. Ale telegram jest express. Kto wie, o co tam chodzi. Może rodzina, czy ja wiem...

Przycichło trochę i posłaniec ruszył przez Dziewczęcą Kładkę i wzdłuż potoku pod górę. Śnieg skrzypiał pod ciężkimi butami i było mu rozpaczliwie zimno. Wiatr zawył znowu i całe masy śniegu wałęsały się z drzew prosto na głowę posłańca i za kołnierz. Po plecach spływa mu strumyczek lodowatej wody. Ale najgorsze to, że sypki śnieg jest diabelnie śliski, a droga idzie pod górę.

W tej właśnie chwili rozpuścił się huragan śniegowy.

Waliło się z góry coś, jakby biały trzaskający mur. Zanim zdołał się odwrócić, cała wściekłość wichury zwała go śniegiem w twarz. Schylił się i ciężko dyszał. Zrobił parę kroków i upadł. Usiadł tyłem do wiatru, ale ogarnął go niepokój, że zostanie zasypany śniegiem. Wstał, próbując iść dalej, ale znowu się pośliznął i upadł na ręce. Wstał jeszcze raz i zjechał na brzuchu parę metrów w dół. Przytrzymał się drzewa i otwartymi ustami chwycił powietrze. Laź teraz na czworakach. Do stu diabłów, muszę przecie dostać się na górę! Aby nie ugrząźć tutaj! Po twarzy spływał mu topniejący śnieg i pot. Śnieg go oślepił, wydawało mu się, że zgubił drogę, zapłakał na głos i pełzał pod górę. Ale na czworakach lezie się ciężko, i to jeszcze w długiej kapocie. Stanął tedy i zmagając się z wichurą, ruszył naprzód. Gdy się posunął o pół kroku naprzód, to zjechał dwa kroki na dół. Znowu posunął się trochę, ale się pośliznął i z twarzą w śniegu zjechał ze zbocza. Gdy wstał, spostrzegł, że zgubił kij.

A tymczasem nad górami lecą chmury śniegu, zaczepiają się o skały, świszczą, stękają, wirują. Posłaniec szlocha, jakby miał czkawkę; wysiłony i wystraszony zrobi krok, przystanie, żeby złapać powietrza, znowu krok, znowu odetchnąć i jeszcze krok... Jezu Chryste! Łapie się drzew. Która też może być godzina? Wyjął z kieszeni kamizelki swoją cebulkę w żółtym przejrzystym futerale, lecz i do futerału wdarł się śnieg. Wszystko zalepione śniegiem. Może to już zapada mrok. Zawrócić? Ale przecie ja już muszę być na górze!

Ciosy wiatru przemieniły się w nieprzerwane wianie. Chmury wałęsały się prosto po zboczu, ciemna brudnawa mgła jest pełna płatów śniegowych. Śnieg leci poziomo prosto w twarz i zalepia oczy, usta, nos. Mokrymi, zdrętwiałymi palcami trzeba ten na poły stopniały śnieg usuwać z uszu, z oczu... Posłaniec jest z przodu zawałony grubą, ciężką warstwą śniegu. Jego płaszcz zgina się ciężko, bo jest sztywny i ciężki jak deska. Do podeszew lgnie coraz więcej śniegu i buty stają się ciężkie jak ołów. A w boru coraz ciemniej. Przecież na Boga, nie może być więcej jak druga godzina!

Nagle zwałił się żółtozielony mrok i śnieg padał lawinowo. Kłaki śniegu duże jak pięść, wilgotne i ciężkie, lecą i wirują tak gęsto, że granica między ziemią a powietrzem znika. Nie widać własnego nosa. Wdychasz kłaki śniegu, brniesz przez wirującą zawieję, która sięga ci wysoko ponad głowę, stąpasz na ślepo jak kret ryjący sobie ścieżkę w śniegowej masie. Jedyne instynkt: iść naprzód. Jedyne pragnienie: oddychać czymś innym, niż śniegiem. Coraz trudniej wyciągać nogi ze śniegu. Brniesz przez zaspę, która sięga ci poza kolana. Wyrwasz nogę z gąszczu śnieżnego, który natychmiast zamyka się za tobą.

Poświęcenie,  
Niebezpieczeństwo

Tymczasem gdzieś tam po miastach, na dole, padają rzadkie płatki śniegu i zaraz tonieją w czarnym błocie. W sklepach zapalają światło, w kawiarniach jasno, ludzie siedzą pod lampami elektrycznymi i szemrzą, że taki dzisiaj paskudny, ciemny dzień. Niezliczone światła rozbłyskują po wielkim mieście i iskrzą się w wodnistym błocie.

Jedynе światelko świeci na zawianej śniegiem górskiej łące. Z trudem przebija się przez padający śnieg, zdaje się kręcić, przygasać, ale płonie i żyje. Buda w Niedźwiedzim Dole świeci.

Była już godzina piąta, a więc całkiem ciemno, gdy przed Niedźwiedzią Budą zatrzymało się coś bezkształtnego. To „coś” rozłożyło grube, białe skrzydła i zaczęło tłuc nimi o siebie i zdierać grube pokrywy śniegu. Spod śniegu ukazał się płaszcz, spod płaszcza wyjrzały nogi i zaczęły wściekle tłuc w kamienny próg, żeby się uwolnić od przylepionego śniegu. Był to pocztowiec ze Spindelmühle.

Wszedł do Budy i ujrzał przy stole chudego pana. Chciał go pozdrowić, ale głos zawiódł go zupełnie. Ozwał się tylko taki łagodny syk, jaki wydaje para ulatująca ciasnym otworem. Chudy pan wstał.

— Ależ, człowieku, gdzież to ciebie diabli noszą w takiej zamieci? Przecież mogłeś w tym bardzo łatwo skręcić kark!

Pocztowiec kiwnął głową i zasyczał niewyraźnie.

— Rozumu nie masz, człowieku! — zrzędził chudzielec. — Panienko — wołał na kelnerkę — niech no pani przyniesie gorącej herbaty! No, gadajcie, ojciec, gdzie was tu lichy niosło? Na Niedźwiedzią Budę?

Posłaniec zaprzeczył ruchem głowy i otworzył skórzaną torbę. Była pełna śniegu. Z trudem wygrzebał z niej telegram tak zamarły, że chrzęścił.

— Chchichcharek? — wyszeptał.

— Co? — pytał chudy pan.

— In-ży-nier... Ma-rek?... — sylabizował posłaniec z wielkim wysiłkiem i z wyrzutem w spojrzeniu.

— To ja jestem Marek — zawołał chudy pan. — Czy jest co dla mnie? Dawaj pan prędzej!

Inżynier Marek otworzył depeszę. Było w niej:

Twoje przypuszczenia potwierdzone. Bondy.

Więcej nic.

## 2.2. STARY PATRIOTA

W redakcji gazety „Lidové Noviny” praca szła na całego. Telefonista krzyczał w tubę telefoniczną, klóćąc się zaciekle z panienką z centrali. Szczękały nożyce, trzaskała maszyna do pisania, a pan Keval siedział na stole i bujał nogami.

— Kazanie na Wacławskim Placu pierwszy sort — mówi półgłosem. — Jakiś anarchista głosi tam dobrowolne ubóstwo. Szczuje ludzi, że byli jako te lilie polne. Brodziszcze ma po pas. Aż strach, ileż teraz jest takich brodatych chłopów. Każdy jak apostoł.

— Mhm — odpowiedział stary pan Rejzek, grzebiąc w arkuszach Agencji Telegraficznej.

— Od czego też rosna takie wielkie brodziska? — zastanowił się pan Keval. — Nie sądzi pan, panie Rejzek, że i na to może mieć wpływ ten Absolut? Wiesz pan, boję się, że i ja tak obrosnę. Pomyśl pan: po sam pas!

— Mhm — rzekł z wielkim zastanowieniem pan Rejzek.

— Na placu Havliczka jest dzisiaj nabożeństwo Wolnej Myśli. A na placu Týla wyczynia cuda proboszcz Nowaczek. Zobaczy pan, że znowu dadzą sobie po zębach. Wczoraj uzdrowił ten Nowaczek chromego od urodzenia. Potem był pochód, a ten chromy sprzął jakiegoś Żyda. Złamał mu trzy żebra, czy nawet więcej. Że niby tamten był syjonista.

— Mhm — przyświadczył pan Rejzek, podkreślając i przekreślając różne wiadomości.

— Dzisiaj na pewno będzie znowu bijatyka — mówił Cyryl Keval. — Postępowcy mają meeting na Staromiejskim Rynku. Znowu wyrzaskują swoje „Precz z Rzymem”! A pater Nowaczek organizuje Machabejczyków, wie pan, taką katolicką, zbrojną bojówkę. Będzie grubszy szpas. Arcybiskup zakazał Nowaczkowi robienia cudów, ale ta wielebnostka wściekła się po prostu. Nawet umarłych już wskrzesza.

Asceta

— Mhm — zgodził się pan Rejzek i kreślił dalej.

— Pisała do mnie matka — rozwodził się Cyryl Keval półgłosem. — Tam u nas na Morawach, koło HustopECA i w okolicy, mocno się sierzdzą na Czechów. Że to heretyki, bezbożniki i niedowiarki, że wynajdują jakichś nowych bogów i jeszcze to i owo. Zastrzelili tam gajowego za to, że Czech. Wszędzie się kotłuje.

— Mhm — przyznał pan Rejzek.

— Nawet w synagodze się pobili — dodał pan Keval. — Syjoniści okrutnie sprali tych, co wierzą w Baala. Trzech tam zatłukli na śmierć. A komuniści, wiesz pan, rozpadli się... Byłbym o tym zapomniał, a to takie szpasowne. Teraz będą mistyczni komuniści, niby lewica. Potem idą Christianie, Marianie, Scjentyści, Rezurekcjoniści, Joannici włókiennicy, Joannici metalowcy, Joannici górnicy i jeszcze coś siedem partyj<sup>116</sup>. Teraz urywają sobie łby o Kasy Chorych<sup>117</sup> i domy robotnicze. Dzisiaj wpadnę między nich; zobaczy się... Na popołudnie ostre pogotowie, ale tymczasem Koszary Wrszowickie posłały ultimatum Koszarom Czernińskim, domagając się uznania Wrszowickiego dogmatu o Trzech Stopniach Odkupienia. A jeśli się nie zgodzą, to mogą stawić się na Sandberku i będzie bitwa. Wrszowickie Koszary zabarykadowały się, żołnierze poustawiali karabiny maszynowe na oknach i wypowiedzieli wojnę. Oblega ich siódmy pułk dragonów. Straż zamkowa i cztery lekkie baterie. Po upływie sześciu godzin ma się rozpocząć strzelanie. Hej, panie Rejzek, co za uciecha być na świecie w takie czasy!

— Mhm — mruknął pan Rejzek.

— Aha, na uniwersytecie też niczego sobie — wywodził półgłosem dalej pan Keval. — Tam wydział przyrodniczy i historyczny dały sobie zdrowo po zębach. Wydział przyrodniczy odrzuca objawienie i wyznaje panteizm. Na czele stoją profesorowie, a dziekan Radl sam niósł sztandar. Historycy obsadzili bibliotekę w Klementinum i bronili się rozpaczliwie, tłukąc przeciwników głównie księgami. Dziekan Radl dostał w łeb oprawnym Velenowskim i zginął na miejscu. Widać wstrząs mózgu. Arne Novak został ciężko poranny jednym z tomów *Odkryć i Wynalazków*. W końcu historycy zasypali napastników zbiorowym wydaniem pism Jana Vrby. Teraz pracują tam saperzy. Wygrzebali dotychczas siedmiu zabitych, między nimi trzech docentów. Uważam, że zasypanych jest najwyżej trzydziestu.

— Mhm — przy wtórzył pan Rejzek.

— A Sparta<sup>118</sup>, proszę pana — gadał Keval jakby w łagodnym natchnieniu — ogłosiła jako jedyne boga starogreckiego Dia, podczas gdy Slavia jest za Światowidem. W niedzielę będzie mecz na Letniej między obu bogami. Oba kluby, prócz kopaczek, będą uzbrojone także w ręczne granaty. Prócz tego Slavia ma podobno karabiny maszynowe, a Sparta jedno działo dwunastocentymetrowe. Ogromny popyt na bilety. Zwolennicy obu klubów zbroją się gorączkowo. Będzie na co popatrzeć. Myślę, że Zeus wygra.

— Mhm — rzekł pan Rejzek — ale teraz mógłby pan przejrzeć pocztę.

— Przejrzeć można — zgadzał się pan Cyryl Keval. — No cóż, człowiek przyzwyczaił się nawet do Boga. Co nowego w Agencji?

— Nic osobliwego — mruczał pan Rejzek. — Krwawe demonstracje w Rzymie. W Ulsterze się tłuką. Wiesz pan, irlandzcy katolicy... St. Kilda została zdemolowana. W Budapeszcie pogromy. We Francji schizma. Pojawili się tam znowu waldensowie, a w Monasterze nowochrześciany. W Bolonii wybrano antypapę, niejakiego patera Marcina z braci bosych<sup>119</sup>. I tak dalej. Niech pan przejrzy listy, dobrze?

Cyryl Keval zamilkł i otwierał list za listem. Było ich kilkaset sztuk. Przeczytał ich ledwo sześć, i już nie mógł wytrzymać.

Sport

<sup>116</sup>partyj — dziś powszechna forma D. Im: partii. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>Kasa Chorych — instytucja zapewniająca ubezpieczonym w niej osobom bezpłatną pomoc medyczną oraz zasiłki pieniężne podczas choroby; pierwsza w Polsce kasa chorych powstała w roku 1920, w 1934 kasy chorych przekształcono w centralną Ubezpieczalnię Społeczną, nadzorowaną przez Zakład Ubezpieczeń Społecznych. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>Sparta, Slavia — tu: nazwy klubów sportowych. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>bracia bosci — pod taką nazwą może kryć się kilka zgromadzeń, np. karmelici bosci (łac. Ordo Fratrum Carmelitarum Discalceatorum Beatae Mariae Virginis de Monte Carmelo) lub augustianie bosci. [przypis edytorski]

— E, proszę pana, wszystko to na jedno kopyto — zawołał. — Na przykład to... Z Chrudzimia<sup>120</sup>. Szanowna Redakcjo! Jako stary prenumerator, niezawodnie zainteresuje to Szanownych Panów i Czytelników oraz całą publiczność — co za styl pokiełbaszony, rzekł Keval — wielki cud, który uczynił miejscowy proboszcz Zakoupil... — I tak dalej. W Jiczynie<sup>121</sup> cud uczynił magazynier spółdzielni, a w Beneszowie kierownik szkoły. W Chocieborzu<sup>122</sup> nawet jakaś trafikantka<sup>123</sup>, wdowa Jirakowa. Jakże tu czytać to wszystko!

Przez chwilę panowała znowu robotna cisza.

— Psiakość, panie Rejzek, wiesz pan, co byłoby sensacją pierwszej klasy? Prawdziwą kaczka indyjską? — zapalał się znowu Keval. — Oto, żeby się gdzieś coś stało w sposób naturalny, bez cudu. Ale pewno nikt by w to nie chciał wierzyć. Poczekaj pan, wymyślę coś naturalnego.

Znowu chwila ciszy.

— Ech, proszę pana — jęczał Keval. — Nie umiem wymyślić nic naturalnego. Gdy się nad tym zastanowić, to w gruncie rzeczy wszystko jest cudowne. Wszystko, co istnieje, jest jakąś magią.

Wszedł do pokoju redaktor naczelny.

— Który z panów ekscerpował „Trybunę”? Ona ma wiadomości, których my nie mieliśmy.

— Jakie wiadomości? — pytał pan Rejzek.

— W rubryce gospodarczej. Amerykańskie konsorcjum zakupiło na Oceanie Spokojnym wyspy i odnajmuje je. Taki malutki atol koralowy za pięćdziesiąt tysięcy dolarów rocznie. Wielki popyt także z europejskiego kontynentu. Akcje już po dwa tysiące i siedemset. G. H. Bondy ma akcji za sto dwadzieścia milionów. A my tej rzeczy nie podaliśmy!

Naczelny redaktor pourągał chwilę i trzasnął drzwiami.

— Uważajcie, panie Rejzek — odezwał się Keval — mam ciekawy list. Szanowna Redakcjo! Darujcie, panowie, że ja, stary patriota, pamiętający złe czasy ucisku i pochmurne dni niewoli, podnoszę głos swój oskarżający i proszę Was, abyście bystrym piórem swoim przedłożyli narodowi zatroskany i wielce zaniepokojony głos nasz, starych patriotów itd. A dalej: — Widzimy nasz sławny naród starożytny podszczuwany brat przeciwko bratu. Niezliczone partie, sekty i kościoły, jako wilcy gryzą się i w nienawiści duszą się wzajemnie... — Jakiś stary stryjaszek, bo ma ogromnie roztrzęsione pismo... — A odwieczny nasz nieprzyjaciół obchodzi nas wokoło jako lew ryczący i rzuca w lud germańskie hasło: Precz z Rzymem! A jest w tym popierany przez fałszywych patriotów, którzy nad upragnioną jedność narodową swój interes partyjny wynoszą. Widzimy okiem ducha zbliżanie się nowych Lipan, kiedy to Czech przeciwko Czechowi pod osłoną jakoby hasła religijnych występował i na niego nastawał, aż i pole całe trupami usiane było. I zaprawdę spełni się słowo Pisma o królestwie w sobie rozdzielonym. I stanie się wielkie rąbanie i siekanie jako powiadają nasze prawdziwe, bohaterskie rękopisy...

— Przestań pan — prosił pan Rejzek.

— Niech pan poczeka, on tu gromi przerost partyj<sup>124</sup> i kościołów. Powiada, że to dziedziczna choroba czeska... O tym nie może być najmniejszej wątpliwości, jak mawiał doktor Kramarz. Dlatego zaklinamy was, abyście w tej chwili ostatniej, gdy zewsząd grozi niebezpieczeństwo wielkie i straszliwe, wezwali naród nasz, iżby się zespolił w całonarodowej jedności ku obronie ojczyzny. A jeśli onej jednocie potrzebna jest więź kościelna, nie bądźmyż protestantami, ani katolikami, ani monistami, ani tym mniej abstynentami, ale przyjmijmy jedyną słowiańską mocną i bratnią wiarę prawosławną, która nas scementuje w jedną rodzinę słowiańską i pozyska dla nas w burzliwych czasach niniejszych ochronę potężnego monarchy słowiańskiego. Tych zaś, którzy by się zgodnie i dobrowolnie do tej sławnej myśli wszechsłowiańskiej nie przyłączyli, niech moc władzy państwowej, owszem i wszelka inna moc nadzwyczajna dozwoloną naciskiem przymusza, iżby swoje

<sup>120</sup>Chrudzim, czes. *Chrudim* — miasto w środkowej części Czech. [przypis edytorski]

<sup>121</sup>Jiczyn — miasto w pln. części Czech. [przypis edytorski]

<sup>122</sup>Chociebórz, czes. *Chotěboř*, niem. *Chotieboř* — miasto w środkowej części Czech. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>trafikantka — właścicielka sklepu z wyrobami tytoniowymi. [przypis edytorski]

<sup>124</sup>partyj — dziś powszechna forma D. Im: partii. [przypis edytorski]

partyjne i sekciarskie interesy jednolicie całonarodowej ofiarować byli gotowi. I tak dalej.  
Podpisano: stary patriota. Co pan na to?

— Nic — odpowiedział pan Rejzek.

— Ja sędzę, że jednak w tym coś jest — zaczął Keval, ale w tej chwili wszedł telefonista i rzekł:

— Z Monachium telefonują, że wczoraj wybuchła w Niemczech wojna domowa, czy religijna. Czy coś w tym guście. Czy warto zamieścić o tym wzmiankę w naszej gazecie?

### 23. ZATARG AUGSBURSKI

Do godziny jedenastej wieczorem doszły do redakcji „Lidowych novin” następujące wiadomości telefoniczne:

Agencja Telegraficzna. Monachium. 12 bm. Według W. T. B. wybuchły wczoraj w Augsburgu<sup>125</sup> krwawe demonstracje. Zabito siedemdziesięciu protestantów. Demonstracje trwają.

Ag. Tel. Berlin. 12 bm. Urzędowo komunikują, że liczba zabitych i rannych w Augsburgu nie przekracza dwunastu. Policja utrzymuje porządek.

Tel. Własny. Lugano. 12 bm. Według wiarygodnych informacji liczba ofiar w Augsburgu przekroczyła już pięć tysięcy. Komunikacja kolejowa z północnymi Niemcami przerwana. Bawarska rada ministrów obraduje w permanencji. Cesarz niemiecki przerwał polowanie i wraca do Berlina.

Ag. Tel. 12 bm. Dzisiaj o godzinie 3 rano rząd bawarski wypowiedział Prusom świętą wojnę.

Dnia następnego pan Cyryl Keval był już w Bawarii i z jego stosunkowo wiernego sprawozdania podajemy następujące fragmenty:

„W augsburskiej fabryce ołówków Schollera 10 bm. o godz. 18-tej wieczorem katolicy robotnicy pobili protestanckiego majstra z powodu jakiegoś sporu dotyczącego mariańskiego kultu. W nocy było spokojnie, ale dnia następnego o godzinie 10 rano wszyscy katolicy robotnicy opuścili fabryki i domagali się zwolnienia pracowników protestanckich. Fabrykant Scholler zabity, dwaj dyrektorzy zastrzeleni. Kler zmuszono przemocą, aby kroczył na czele pochodu z monstrancjami. Arcybiskup dr Lenz, który wyszedł, aby uspokoić manifestantów, został wrzucony do rzeki Lech. Socjalno-demokratyczni przywódcy próbowali przemawiać, ale musieli uciec do synagogi. O godzinie 15-tej synagoga została zburzona dynamitem. Podczas plądrowania żydowskich i protestanckich sklepów doszło do strzelaniny i licznych pożarów, rada miejska znaczną większością głosów uchwaliła specjalne nabożeństwo do P. M. P. i wydała ognistą odezwę do katolickich narodów świata, aby chwyciły za broń w obronie wiary świętej. Po rozpowszechnieniu tych wiadomości doszło do różnych manifestacji w innych miastach bawarskich. W Monachium o godzinie 19-tej wielkie zgromadzenie ludowe przy niesłychanym entuzjazmie przyjęło rezolucję o oderwaniu ziem południowych od związkowej Rzeszy niemieckiej. Monachijski rząd depešował do Berlina, że bierze na siebie odpowiedzialność za wszystko. Kanclerz Rzeszy dr Wurm odwiedził natychmiast ministra spraw wojskowych, który skierował do Bawarii 10 000 bagnatów z garnizonów saskich i nadreńskich. O godzinie 1-ej po północy transporty te wykolejono na granicy bawarskiej. Rannych żołnierzy ostrzeliwano z karabinów maszynowych. O godzinie 3-ej rano rząd monachijski, łącznie z krajami alpejskimi, uchwalił wypowiedzenie luteranom wojny świętej.

Zdaje się, iż w Berlinie nie tracą nadziei co do pokojowego zlikwidowania całego nieporozumienia. Do tej chwili trwa mowa cesarza niemieckiego w parlamencie, w której powiada on, że nie zna katolików ani protestantów, lecz tylko Niemców. Północno-niemieckie wojska są jakoby koncentrowane

<sup>125</sup>*Augsburg* — miasto w Bawarii, katolickim regionie na południu Niemiec, trzecie co do wielkości po Monachium i Norymberdze. [przypis edytorski]



na linii Erfurt — Gotha — Kassel. Katolickie wojsko idzie w ogóle na Zwickau i Rudolstadt, napotykając jedynie opór ludności. Miasto Greiz zostało spalone, mieszkańcy częściowo wymordowani, częściowo zabrani do niewoli. Wiadomości o wielkiej bitwie dotychczas nie potwierdziły się. Uchodźcy z Bayreuth opowiadają, że od północy słychać grzmot ciężkich armat. Dworzec kolejowy w Magdeburgu jest podobno zburzony bombami lotników bawarskich. Weimar płonie.

Tu w Monachium panuje nieopisany entuzjazm. We wszystkich szkołach pracują komisje poborowe, tłumy ochotników wyczekują kolei nieraz po dwadzieścia godzin. Na magistracie wywieszono głowy dwunastu pastarów. W przepelnionych świątyniach kler musi dniem i nocą odprawiać nabożeństwa. Poseł, proboszcz Grosshuber, umarł ze zmęczenia przy ołtarzu. Żydzi, moniści, abstynenci i inni innowiercy zabarykadowali się w swoich mieszkaniach. Bankier Rosenheim, przełożony religijnej gminy żydowskiej, został dzisiaj rano publicznie spalony na stosie.

Posłowie holenderski i duński zażądali swych paszportów. Amerykański poseł złożył protest przeciwko naruszeniu pokoju, natomiast rząd włoski zapewnił Bawarię, że zachowa neutralność szczególnie życzliwą.

Ulicami chodzą tłumy rekrutów i noszą sztandary z białym krzyżem w czerwonym polu. Wznoszą okrzyki: Bóg tak chce! Panie tłumnie zgłaszają się do służby samarytańskiej i przygotowują lazarety. Sklepy przeważnie pozamykane. Giełda także”.

\*

Tak było 14 lutego. Nazajutrz doszło do dość poważnej bitwy na obu brzegach Werry. Wojska protestanckie nieco się cofnęły. Tego samego dnia padły także pierwsze strzały na granicy belgijsko-holenderskiej. Anglia zarządziła mobilizację floty.

16 lutego. Włochy zgodziły się na przemarsz wojska hiszpańskiego, wysłanego na pomoc Bawarii. Tyrolscy chłopci uzbrojeni w kosy rzucili się na helweckich Szwajcarów.

18 lutego. Antypapa Marcin telegraficznie pobłogosławił wojska bawarskie. Niezdecydowana bitwa pod Meiningen.

19 lutego. Irlandia wypowiedziała wojnę Anglii. W Brussie pojawił się antykalif i rozwinął zielony sztandar Proroka. Mobilizacja w państwach bałkańskich, rzezie w Macedonii.

23 lutego. Przerwanie frontu północno-niemieckiego. Powszechne powstanie w Indiach. Ogłoszenie wojny mahometan przeciwko chrześcijanom.

27 lutego. Wojna grecko-włoska. Pierwsze starcia na terytorium albańskim.

13 marca. Japońska flotylla wypłynęła na wschód przeciw USA.

15 marca. Krzyżacy katolicycy obsadzili Berlin. Jednocześnie w Szczecinie powstała Unia państw protestanckich. Cesarz niemiecki, Kacper I, staje osobiście na czele wojsk.

16 marca. Dwumilionowa armia chińska idzie naprzód, przekroczywszy granice syberyjskie i mandżurskie. Wojsko antypapy Marcina zdobywa Rzym. Papież Urban chroni się w Portugalii.

18 marca. Hiszpania domaga się od rządu lizbońskiego wydania papieża Urbana. Po odrzuceniu tego żądania wybuchu *ipso facto*<sup>126</sup> wojna hiszpańsko-portugalska.

26 marca. Południowo-amerykańskie państwa wysyłają ultimatum do Unii północno-amerykańskiej. Żądają zniesienia prohibicji i zakazu wolności religijnej.

27 marca. Japońskie wojsko wylądowało w Kalifornii i w Kolumbii Brytyjskiej.

Na prima aprilis sytuacja światowa przedstawiała się mniej więcej tak: w Europie środkowej rozgrywał się wielki konflikt katolicko-protestancki. Unia protestancka wyparła Krzyżaków z Berlina, trzymała się w Saksonii i okupowała także neutralne Czechy. Dowódcą Pragi był przypadkiem, zaiste szczególnym, szwedzki generał-major Wrangel,

<sup>126</sup>*ipso facto* (łac.: przez sam fakt) — z tego powodu, w konsekwencji. [przypis edytorski]

może potomek generała Wrangla z wojny trzydziestoletniej. Natomiast Krzyżacy opanowali Holandię, którą zatopili morzem, przekopawszy tamy, dalej cały Hanower i Holsztyn aż po Lubekę, skąd wdzierali się do Danii. Wojowano bez pardonu. Miasto równano z ziemią, mężczyźni mordowano, kobiety do lat pięćdziesięciu gwałcono. Ale najpierw niszczone nieprzyjacielskie Karburatory. Świadcowie tych nad miarę krwawych walk zapewniają, że po obu stronach walczyły siły nadprzyrodzone. Zdarzało się czasem, że jakaś niewidzialna ręka chwyciła samolot i rzucała nim o ziemię, albo jak gdyby niewidzialna siła podchwyciła lecący jednomotorowy pocisk 54-centymetrowy i odrzuciła go nazad w szeregi nieprzyjacielskie. Szczególnie straszne były zjawiska przy niszczeniu Karburatorów. Gdy jakie miasto nieprzyjacielskie zostało zdobyte, nastawała w nim niewidzialna, ale rozpaczliwa bitwa wokół miejscowych Karburatorów. Czasem zdarzało się coś, jakby trąba powietrzna, miażdżąca i rozpraszająca cały gmach, w którym znajdował się Karburator, miało się wrażenie, jak gdyby ktoś dmuchnął w kupę pierza: cegły, belki i dachówki wirowały w powietrzu jak jakaś dzika karuzela i kończyło się to zazwyczaj strasliwą eksplozją, która niweczyła wszystkie drzewa i budowle w promieniu do dwunastu kilometrów i tworzyła lej przeszło dwóchsetmetrowej głębokości. Siła detonacji wahała się oczywiście, zależnie od wielkości danego Karburatora.

Wypuszczano gazy trujące na froncie szerokości trzechset kilometrów, a gazy te spalały nawet roślinność na rdzawy kolor. Ponieważ jednak te pełzące chmury niejednokrotnie — znowuż dzięki strategicznej interwencji sił cudownych — powracały do własnych szeregów, poniechano korzystania z oręża tak niepewnego.

Okazało się, że Absolut atakuje, ale z drugiej strony, że się także broni. W walkach używał broni niesłychanej (trzęsien ziemi, cyklonów, deszczów, siarki, potopów, aniołów, pomorów, szarańczy itd.) tak, że nie pozostawało nic innego, jak całkowita zmiana strategii. Zarzucono ataki masowe, stałe okopy, linie miejsca ufortyfikowane i tym podobne nonsensy. Każdy żołnierz otrzymywał nóż, kule i kilka bomb, i tak uzbrojony ruszał na własną rękę, aby zabić żołnierzyka, który miał na piersi krzyż innego koloru. Nie było dwóch armii stojących naprzeciwko siebie. Po prostu dane terytorium stawało się terenem walki i na nim oba wojska przenikały się wzajemnie i wymordowywały się łebek po łebku, aż się wreszcie pokazywało, do kogo dane terytorium należy. Jest to oczywiście metoda bardzo krwawa, ale w gruncie rzeczy była w niej niewątpliwa siła przekonująca.

Taka była sytuacja w Europie środkowej. Na początku maja wojska protestanckie wtargnęły przez Czechy do Austrii i Bawarii, podczas gdy wojska katolickie zajęły Danię i Pomorze. Holandia, jak już powiedzieliśmy, znikła z mapy Europy w ogóle.

We Włoszech szalała walka między Marcinistami a Urbanistami. Sycylia znalazła się w międzyczasie w rękach greckich euzonów. Portugalczycy obsadzili Asturię i Kastylię. W ogóle na południu wojna była wyjątkowo dzika. Anglia walczyła na terytorium irlandzkim, a później w koloniach. Na początku kwietnia posiadała już tylko przybrzeżny skrawek Egiptu. Inne posiadłości stracono, a koloniści zostali wymordowani przez autochtonów. Turcy przy pomocy arabskich, sudańskich i perskich wojsk zajęli całe Bałkany i opanowali Węgry, ale wtedy właśnie wybuchł między nimi spór szyitów i sunnitów z powodu jakiejś widocznie bardzo ważnej sprawy czwartego kalifa, Alego. Obie sekty goniły się na przemian od Konstantynopola po Tatry z zaciekłością i krwiożerczością bezprzykładną, którą na nieszczęście na własnej skórze poznawali także chrześcijanie. Tak więc w tej części Europy było i tym razem gorzej, niż gdziekolwiek indziej.

W tej chwili wojska rosyjskie zwracają się przeciwko żółtemu najazdowi, który wali się na północ i na zachód. W Ameryce Północnej wylądowało tymczasem dziesięć korpusów japońskich.

Jak widzicie, nie ma tu dotychczas mowy o Francji. Albowiem Francję zarezerwował sobie kronikarz dla rozdziału XXIV.

## 2.4. NAPOLEON GÓRSKIEJ BRYGADY

Bobinet, proszę państwa, Toni Bobinet, dwudziestodwuletni porucznik artylerii górskiej z garnizonu Annecy (Haute Savoie)<sup>127</sup>, chwilowo na sześciotygodniowych ćwiczeniach

<sup>127</sup>Annecy (Haute Savoie) — miasto na wschodzie Francji, w departamencie Haute Savoie, tj. Górna Sabaudia. [przypis edytorski]

w Les Aiguilles<sup>128</sup>, skąd przy ładnej pogodzie widać na zachodzie jezioro Annecy i Genewę, a na wschodzie tępy grzbiet Bonhomme'a i wierzchołki Mont-Blanc. Już wiecie? Więc to tutaj Toni Bobinet siedzi na skalnym złomie i pociąga się za nikły wąsik. Prócz tego przeczytał gazety sprzed dwóch tygodni i rozmyśla.

Teraz powinien by kronikarz pójść za biegiem myśli przyszłego Napoleona. Ale spojrzanie jego (mianowicie kronikarzowe) ślizga się po zaśnieżonym zboczach w dolinie Arly, gdzie już śnieg topnieje i gdzie oczom przymilają się małe miasteczka Megève, Flument, Ugines, z ich szpiczastymi kościołami, podobne do zabawek dziecinnych. O, wspomnienie dawnych minionych czasów dzieciństwa! O, wy marzenia małego budowniczego nad kolorowymi klockami!

Tymczasem porucznik Bobinet... Lecz nie! Zrezygnujmy z próby psychologizowania wokół wielkiego człowieka i wydawania sądu o powstawaniu tytanicznych myśli. Nie zdobędziemy się na to, a gdybyśmy się nawet zdobyć mogli, byłibyśmy może zawiedzeni. Wyobraźcie więc sobie, że taki mały porucznik siedzi na Iglicach (Les Aiguilles) pośrodku walącej się Europy, ma za sobą baterię górskich dział, a pod sobą znikomy świat, który dałoby się stąd, z tej wysokości wygodnie rozstrzelać, i że w starym numerze „Moniteur d'Annecy” przeczytał sobie akurat wstępniak, w którym niejaki pan Babillard dowojuje się mocnej ręki sternika, aby wyprowadził łódź Francji z szalejącej burzy ku nowej sławie i potędze, a także, że tutaj, na wysokości ponad 2000 metrów jest czyste, bezbogie powietrze, w którym myśli się jasno i swobodnie. Wyobraźcie sobie to wszystko i od razu zrozumiecie, że pan Toni Bobinet siedzący tu na kamieniu zamyślił się, a potem napisał do swej czcigodnej, pomarszczonej, białowłosej mamusi nieco mętnawy list, że „niedługo usłyszy o swoim Toni” i że Toni ma „wspaniałą myśl”. Potem robił jeszcze to i owo, w nocy zdrowo spał, a rano zwołał żołnierzyków swej baterii, przepędził starego safandulę — kapitana, zdobył posterunek żandarmski w Sallanches, zwięźle po napoleońsku, wypowiedział wojnę Absolutowi i znowu poszedł spać.

Nazajutrz rozstrzelał Karburator piekarni w Thônes, obsadził dworzec w Bonneville i zawładnął dowództwem w Annecy. Pod rozkazami miał już wtedy trzy tysiące ludzi. Przed upływem tygodnia rozstrzelał przeszło dwieście Karburatorów i w piętnaście tysięcy bagnatów i szabel szedł na Grenoble. Po obwołaniu go dowódcą Grenoble miał do dyspozycji armijkę liczącą czterdzieści tysięcy ludzi. Teraz zaczął schodzić w dolinę Rodanu, troskliwie oczyszczając z Karburatorów cały kraj przed sobą dalekonośnymi działami i wymiatając wszystkie motory atomowe. Na szosie wiodącej do Chambéry wziął do niewoli ministra wojny, który jechał do niego samochodem, aby mu zmyć głowę. Nazajutrz tenże minister mianował go generałem, najwidoczniej pozyskany dla jego planów.

Pierwszego kwietnia Lyon był oczyszczony i wolny od Absolutu.

Dotychczasowy marsz Bobineta odbywał się jak dotąd bez wielkiego rozlewu krwi. Dopiero za Loarą zaczęli mu stawiać czoło głównie żarliwi katolicy i miejscami dochodziło do wielkich rzezi. Na szczęście dla Bobineta nawet w gminach całkowicie opanowanych przez Absolut nie brakło Francuzów usposobionych nie tylko sceptycznie, ale przejawiających wprost fanatyzm niedowiarstwa i wolnomyślności. Po ponownych masakrach i wznawianych nocach świętego Bartłomieja „les Bobinets” byli wszędzie witani jako oswobodziciele. I rzeczywiście, wszędzie, gdziekolwiek się pojawili, osiągnęli stopniowe uspokojenie w miarę jak rozbijali coraz więcej Karburatorów.

Stało się tedy, że już w lipcu wypowiedział się parlament, iż „Toni Bobinet dobrze zasłużył się ojczyźnie” i razem z tytułem Marszałka przekazał mu godność Pierwszego Konsula. Francja była skonsolidowana. Bobinet zaprowadził ateizm państwowy; jakikolwiek przejaw religijności karany był śmiercią na podstawie prawa wojennego.

Trudno przejść milkliwie ponad niektórymi scenami z życia wielkiego człowieka.

*Bobinet i jego matka.* Pewnego dnia Bobinet naradzał się w Wersalu z generalicją. Ponieważ było gorąco, poszedł do otwartego okna. Nagle ujrzał w parku starusieńką panią wygrzewającą się na słońcu. Wówczas przerwał Bobinet wywody marszałka Jolliveta i zawołał: „Panowie, oto moja matka!...” Wszyscy obecni, nawet najbardziej zahartowani w walkach generałowie, nie umieli opanować łez wzruszenia wobec przejawu takiej synowskiej miłości.

<sup>128</sup>Les Aiguilles — nazwa miejscowa oznaczająca po fr. igły. [przypis edytorski]

*Bobinet i jego miłość ojczyzny.* Kiedyś podczas deszczu Bobinet był obecny przy przeglądzie wojska na Polu Marsowym. Gdy defilowały ciężkie agregaty artyleryjskie, najechało auto wojskowe na kałużę; woda bryzgnęła i poplamiała płaszcz Bobineta. Marszałek Jollivet chciał na miejscu ukarać dowódcę nieszczęsnej baterii i zdegradować go. Ale Bobinet nie dopuścił do tego: „Niech pan da spokój, panie marszałku, przecież jest to błoto francuskie”.

*Bobinet i inwalida.* Razu pewnego Bobinet przyjechał nie poznany do Chartres. W drodze pękła opona i podczas gdy szofer naprawiał uszkodzenie, zbliżył się jednonogi inwalida i zebrał. „Gdzie ten człowiek stracił nogę?” — pytał Bobinet. Inwalida odpowiedział, że stracił ją w Indochinach, że ma starą matkę i że nieraz całymi dniami oboje nie mają co włożyć w usta. „Marszałku, proszę zapisać nazwisko tego człowieka” — rzekł Bobinet wzruszony. I rzeczywiście, w tydzień potem do drzwi izdebki inwalidy zapukał kurier osobisty Bobineta i wręczył biednemu kalece paczuszkę „od pierwszego Konsula”.

Któż opisze radosne przerażenie inwalidy, gdy otworzywszy paczuszkę, znalazł w niej medal brązowy!

Przy takich wyjątkowych przymiotach duszy Bobineta nikt dziwić się nie będzie, że ostatecznie zgodził się on uczynić zadość gorącemu pragnieniu całego narodu i przy wybuchach powszechnego entuzjazmu ogłosił się dnia 14 sierpnia cesarzem francuskim.

W owych czasach nastawały dla całej kuli ziemskiej czasy bardzo niespokojne, ale tym niemniej historycznie wspaniałe. Wszystkie części świata jaśniały najdosłowniej bohaterскими czynami wojennymi. Obserwowana z Marsa, ziemia nasza jawiła się jako gwiazda pierwszej wielkości, z czego astronomowie marsowi wywnioskowali zapewne, że znajdujemy się jeszcze w stanie rozżarzonej. Możecie sobie wyobrazić, że rycerska Francja i jej przedstawiciel cesarz Toni Bobinet nie gasili żadnego żaru. Być może, iż działały tu jeszcze resztki Absolutu przed ich rozproszeniem się we wszechświecie, podniecając nastroje wzniosłe i ogniste. Jednym słowem, gdy w dwa dni po koronacji Wielki Cesarz oświadczył, że nadeszła godzina, aby Francja pokryła kulę ziemską swymi sztandarami, odpowiedział mu jednomyślny wybuch entuzjazmu.

Plan Bobineta był następujący:

1. Obsadzić Hiszpanię i przez zdobycie Gibraltaru osiąść klucz Morza Śródziemnego.
2. Obsadzić dolinę Dunaju aż po Budapeszt jako klucz Europy Środkowej.
3. Obsadzić Danię jako klucz Morza Północnego.

A ponieważ wszystkie klucze terytorialne trzeba posmarować krwią, wyprawiła Francja trzy armie, które zdobyły dla niej wielką sławę i chwałę.

Czwarta armia obsadziła Azję Mniejszą jako klucz Wschodu.

Piąta opanowała ujście rzeki Świętego Wawrzyńca jako klucz Ameryki.

Szósta zatonięła w bitwie morskiej u wybrzeży angielskich.

Siódma obiegła Sewastopol.

Na Sylwestra roku 1944 posiadał cesarz Bobinet wszystkie te klucze w kieszeni swoich artyleryjskich spodni.

## 25. TAK ZWANA NAJWIĘKSZA WOJNA

Jest to ugruntowane w naszej ludzkiej naturze, że gdy nam się przytrafia coś bardzo brzydkiego, to specjalne zadowolenie znajdujemy w tym, że owo brzydkie, które nas spotkało, jest — jak świat światem — największym w swoim zakresie. Tak na przykład, gdy nas dręczą upały, gazety pocieszają nas od razu tym, że „jest to najwyższa temperatura jaką notowano od roku 1881”.

I nie tylko, że nas to pociesza, ale jeszcze mamy trochę złości na ów rok 1881-szy, że nam dorównał. Albo gdy sobie odmrozimy uszy tak setnie, że się po prostu luszczą, to napelnia nas rodzajem radości to, że „tak ostrego mrozu nie było od roku 1786-go”.

Tak samo bywa też z wojnami. Dana wojna jest albo najsprawiedliwsza, albo najkrwawsza, najkorzystniejsza czy też najdłuższa od takiego a takiego czasu. Taki superlatyw daje nam pewne dumne zadośćuczynienie, że przeżywamy coś nadzwyczajnego i rekordowego.

Otóż wojna, która trwała od 12 lutego 1944 do jesieni roku 1953, była naprawdę i bez

Doskonałość

Wojna

przesady (słowo daję!) Największą Wojną. Nie odbierajmyż, proszę was, tym, co ją pamiętają, tej jedynej sprawiedliwie zasłużonej uciechy.

Uczestniczyło w tej wojnie 198 milionów ludzi i wszyscy oni polegli, prócz trzynastu. Mógłbym wam przytaczać liczby, przy pomocy których rachmistrze i statystycy próbowali poglądowo przedstawić te masowe straty. Na przykład ile by to było tysięcy kilometrów, gdyby ułożyć trupa przy trupie, albo ile godzin musiałby pędzić kurier, gdyby ci polegli byli poukładani zamiast podkładów kolejowych. Albo jeszcze gdyby pourzynano palce wskazujące wszystkich zabitych i poukładano w pudełkach od sardynek, ile setek wagonów wypełniłby taki towar, i tak dalej. Ale nie zapamiętuję dobrze liczb i nie chciałbym was oszukać ani o jeden marny wagonik statystyczny. Dlatego powtarzam tylko sumarycznie, że była to największa wojna od stworzenia świata i co do wielkości strat, i co do rozległości pobojujowska.

Jeszcze raz tłumaczy się kronikarz, że brak mu zmysłu i zdolności do opisów z wielkim rozmachem. Oczywiście powinien by opisać, jak się wojna przewałała od Renu po Eufrat, od Korei do Danii, od Lugano<sup>129</sup> do Haparandy<sup>130</sup> i tak dalej. Zamiast tego z większą przyjemnością nakreśliłby obraz przyjazdu Beduinów do Genewy z głowami nieprzyjaciół nanizanymi na dwumetrowych pikach. Albo miłosne przygody francuskiego poilu<sup>131</sup> w Tybecie, kawalkady rosyjskich kozaków na Saharze, rycerskie harce macedońskich komitadżów<sup>132</sup> z senegalskimi strzelcami na brzegach jezior Finlandii. Jak widzicie, materiał jest bardzo bogaty. Zwycięskie pułki Bobineta leciały od jednego rozmachu, śladem Aleksandra Wielkiego, przez obie Indie<sup>133</sup> do Chin.

Tymczasem jednak żółta fala chińska przez Syberię i Rosję dotarła do Francji i Hiszpanii, czym odcięła mahometan walczących w Szwecji od ich baz macierzystych. Pułki rosyjskie, ustępując przed miążdzącą przewagą chińską, znalazły się w północnej Afryce, gdzie Sergiej Nikołajewicz Złoczin założył swoje carstwo. Został jednak zamordowany, ponieważ jego bawarscy generałowie sprzysięgli się przeciwko jego pruskim atamanom, po czym na carski tron w Timbuktu wstąpił Sergiej Fiodorowicz Dranin.

Nasza czeska ojczyzna znajdowała się kolejno pod władzą Szwedów, Francuzów, Turków, Rosjan i Chińczyków, przy czym każdy z tych najazdów wymordował autochtonów do ostatniej duszy. W kościele św. Wita w ciągu tych lat wygłaszali kazania, względnie odprawiali mszę, pastor, adwokat, imam, archimandryta i bonza, oczywiście bez trwałego skutku. Jedyną radosną zmianą było to, że Stary Teatr był stale przepełniony: urządzano tam mianowicie magazyny wojskowe.

Gdy w roku 1951 Japończycy wyparli Chińczyków z Europy Wschodniej, powstało i istniało przez jakiś czas nowe Państwo Środka (jak Chińczycy nazywają swoją ojczyznę), przypadkiem akurat w granicach monarchii Austro-Węgierskiej. W Schönbrunn mieszkał znowu starusienki władca, stosześcioletni mandaryn Jaja Wir Weana, „ku którego uświęconej głowie z dziecięcym szacunkiem spoglądają radujące się narody”, jak codziennie zapewniała „Wiener Mittagszeitung”<sup>134</sup>.

Językiem urzędowym była chińszczyzna, co od razu i na zawsze usunęło spory narodowościowe. Bogiem państwowym był Budda.

Uparci katolicy Czech i Moraw wyemigrowali za granicę, ucierpiawszy wiele od chińskich dragonad i konfiskat, co w mierze nadzwyczajnej rozmnożyło liczbę narodowych męczenników.

Natomiast niektórzy roztropniejsi i rozważniejsi czescy patrioci otrzymali na mocy Najwyższego Miłościwego Reskryptu godność mandaryńską, a mianowicie To-Bol-Kaj,

<sup>129</sup> *Lugano* — miasto w pld. części Szwajcarii, przy granicy z Włochami. [przypis edytorski]

<sup>130</sup> *Haparanda* — miasto w Szwecji, przy granicy z Finlandią, nad Zatoką Botnicką, na pfn. krańcu Morza Bałtyckiego. [przypis edytorski]

<sup>131</sup> *poilu* (fr.: owłosiony) — potoczne określenie fr. żołnierza piechoty z czasów I wojny światowej. [przypis edytorski]

<sup>132</sup> *komitadż* (por. ros. *комитадж*: buntownik; rewolucjonista; faszysta) — w czasach I wojny światowej komitadżami lub komitami nazywano powstańców-partyzantów, walczących na Bałkanach z wojskami austro-węgierskimi. [przypis edytorski]

<sup>133</sup> *obie Indie* — nawiązanie do dawnego obyczaju nazywania Ameryki Indiami Zachodnimi (skąd pochodzi też określenie rdzennych mieszkańców tego kontynentu, Indian). [przypis edytorski]

<sup>134</sup> „*Wiener Mittagszeitung*” — dziennik wychodzący w Wiedniu w pierwszej połowie XX w. [przypis edytorski]

Gro-szi i zaiste wielu innych. Ten rząd chiński pozaprowadzał wiele postępowych nowinek, między innymi wydawanie kartek zamiast jedzenia. Ale Państwo Środka rozpadło się niedługo, albowiem zupełnie wyczerpały się zasoby ołowiu potrzebnego do wyrobu kul, skutkiem czego upadł wszelki autorytet władzy. Kilkunastu Chińczyków, którzy nie zostali zamordowani, pozostało tu i w czasach pokoju, jaki po wojnie nastąpił. Zajmowali oni przeważnie stanowiska urzędników przydzielanych.

Tymczasem cesarz Bobinet, przebywający akurat w indyjskiej Simli, dowiedział się, że w nie zbadanym dotychczas górnym dorzeczu rzek Irawadi, Seluini i Mekongu istnieje kobiece państwo Amazonek; wyruszył tam ze swoją starą gwardią, ale już stamtąd nie wrócił. Według jednej wersji miał się tam ożenić, według innej, królowa Amazonek Amalia urznęła mu w walce głowę i wrzuciła ją w miech napełniony krwią, mówiąc: *Satia te sanguine, quem tantum sitisti* — nasyć się krwią, której tak pragnąłeś. Druga wersja jest stanowczo łagodniejsza.

Na ostatku stała się Europa widownią bezsensownych walk między rasą czarną, walącą się z wnętrza Afryki, a plemionami mongolskimi. Co się działo w ciągu tych dwóch lat, o tym lepiej nie mówić. Ostatnie ślady cywilizacji znikły. Na przykład na Hradczanach rozmnożyły się niedźwiedzie tak bardzo, że ostatni mieszkańcy Pragi zburzyli wszystkie mosty, nawet most Karola, dla ochrony prawego brzegu Wełtawy przed tymi krwiożerczymi drapieżnikami. Liczba mieszkańców zmniejszyła się do nieznacznego ułamka. Wyszehradzka kapituła wyginęła po mieczu i po kądzieli. Mistrzowskiemu meczowi Sparta — Viktoria — Żyżków, przyglądało się tylko sto i dziesięć ludzi<sup>135</sup>.

Ale i na innych kontynentach nie było lepiej. Ameryka Północna straszliwie spustoszała krwawymi walkami Suchych z Mokrymi, stała się japońską kolonią. W Ameryce Południowej następowały kolejno cesarstwa Urugwajskie, Chilijskie, Peruwiańskie, Brandenburskie i Patagońskie. W Australii natychmiast po upadku Anglii założono Państwo Idealne, które tę ziemię obiecaną przemieniło w bezludną pustynię. W Afryce zjedzono przeszło dwa miliony białych; Murzyny zagłębia Kongo rzucili się na Europę, reszta Afryki wyla się w zmiennych walkach stu osiemdziesięciu i sześciu różnych cesarzów, sultanów, królów, poglawników i prezydentów.

Oto są dzieje dziejów. Każdy z tych setek milionów człowieczków miał przedtem swoje dzieciństwo, swoje miłości, swoje plany. Czasem miał piętrowy, czasem był bohaterem, ale na ogół był śmiertelnie sfatygowany i z ochotą byłby się ułożył na łóżku upokojonionego świata. Jeśli umierał, to na pewno nieumyślnie. I oto z tego wszystkiego mamy tylko garść danych: bitwa tam i tam, straty takie i takie, wynik taki albo owaki i co najgorsze, że ten wynik o niczym właściwie porządnie nie zdecydował.

Dlatego też mówię: nie odbierajcie ówczesnym ludziom tej jedynej pychy, że to, co przeżyli, było Największą Wojną. My oczywiście wiemy, że za parę dziesiątków lat uda się zmaistrować wojnę jeszcze większą, bo i w tym kierunku wznosi się ludzkość coraz wyżej i wyżej.

## 26. BITWA POD HRADCEM KRALOVÉ

Tutaj powołuje się kronikarz na Augusta Sedlačka, Józefa Pekarza i inne autorytety hagiograficzne, wywodzące, że poważnym źródłem poznania dziejów są także zdarzenia lokalne, odbijające wydarzenia światowe, że tak powiemy, w kropli wody.

Otóż kropla wody, zwana Hradec Kralové, jest kronikarzowi pamiętna tym, że w niej zaczynał swój żywot jako malutki wymoczek, jako pierwotniak tamtejszego gimnazjum i w ogóle. Wtedy, oczywiście, uważał tę kroplę za cały świat. Ale dość o tym.

W Największą Wojnę wkroczył Hradec Kralové uzbrojony w jedyny Karburator, a mianowicie w browarze, który do dzisiaj istnieje za kościołem Św. Ducha tuż obok domów kanoników. Być może, iż właśnie to sąsiedztwo oddziaływało na Absolut tak, iż zabrał się on do warzenia piwa zdecydowanie i żarliwie katolickiego, i z niego powstał wśród mieszczaństwa hradeckiego stan, z którego nieboszczyk biskup Brynych byłby miał bardzo dużą uciechę.

<sup>135</sup>sto i dziesięć ludzi — dziś popr.: stu dziesięciu ludzi a. sto dziesięcioro ludzi. [przypis edytorski]

Malżeństwo, Okrucieństwo

Upadek

Wojna, Vanitas

Ale Hradec Kralové jest jakoś niedobrze ustawiony i dlatego bardzo szybko znalazł się w łapach Prusaków, którzy w luterańskiej zaciekleści rozbili browarowy Karburator. Pomimo to, Hradec, wierny ciągłości historycznej, utrzymał swoją przyjemną temperaturę religijną szczególnie w czasach, gdy diecezją tamtejszą zarządzał oświecony biskup Linda.

Lecz nawet wówczas, gdy kolejno przychodziły Bobinety, Turki i Chińczyki, zachował sobie Hradec dumną świadomość, że 1: ma najlepszy wschodnioczeski teatr amatorski, 2: ma najwyższą wschodnioczeską dzwonnice i 3: na kartach jego dziejów jest zapisana największa wschodnioczeska bitwa. Krzepiony tymi myślami przetrwał Hradec Kralové najstraszliwsze doświadczenia Największej Wojny.

Gdy runęła Rzesza mandaryńska, na czele miasta stał roztropny burmistrz pan Skoćdopole. Panowanie jego wśród powszechnej anarchii było pobłogosławione względnym spokojem dzięki mądrym radom biskupa Lindy i szanownych panów radnych. Ale przybłąkał się do miasta jakiś krawczyk, no, uczciwszy uszy, Hampl się nazywał, a był to, żal się Boże, rodak hradecki, ale od dzieciństwa włóczył się po świecie i nawet służył w legii cudzoziemskiej, taki awanturnik. Szedł z Bobinetem, zdobywał Indie, ale gdzieś koło Bagdadu zdezerterował i niby igła prześlizgiwał się między Baszybuzukami, Francuzami, Szwedami i Chińczykami, aż się dostał z powrotem do miasta rodzinnego.

Więc ów krawczyk Hampl nasiąknął bobinetyzmem i po powrocie do Hradca nie myślał już o niczym innym, tylko o tym, jak zagarnąć władzę. Szycie ubrań już go nie pociągało. Więc zaczął wszystkich krytykować i kopać dołki pod bliźnimi, i ciągle gadał, że to jest tak, a to owak i że w radzie miejskiej siedzą same łobuzy, a pieniądze w towarzystwie kredytowym niepewne, a cały pan burmistrz Skoćdopole to stary fujara i tak dalej. Niestety, tak już podczas wojen bywało i bywa, że obyczaj bydlęcęją, a szacunek dla władz znika. Toteż dzięki temu zyskał Hampl kilku zwolenników i wspólnie z nimi założył partię radykalno-rewolucyjną.

Pewnego dnia lipcowego wyżej wymieniony pan Hampl zwołał na Małym Rynku wielki wiec i stojąc na pompie wykrzykiwał między innymi, że lud żąda, aby nikczemnik, reakcjonista i biskupi pacholek Skoćdopole złożył urząd burmistrzowski.

Na to odpowiedział pan Skoćdopole rozplakatowanymi ogłoszeniami, że jemu jako prawnie wybranemu burmistrzowi nikt nie będzie rozkazywał, a już najmniej jakiś powsinoga i dezterter. Że w dzisiejszych niespokojnych czasach trudno rozpisywać wybory i że nasz rozsądny lud sam wie co i jak, itd.

Ale Hampl tylko na to czekał, aby zrobić swój bobinetowski kawał. Opuścił swoje mieszkanie na Małym Rynku i kroczył wymachując czerwonym sztandarem, a za nim szły dwa smyki walące ze wszystkich sił w bębny. W taki sposób obszedł Wielki Rynek, przez chwilę stał przed biskupią rezydencją, po czym przy odgłosie bębnów wyruszył w pole, nad rzeką Orlicą stanął na miejscu zwanym „na Młynku”. Tam wbił drzewce sztandaru w ziemię i siadłszy na bębnie napisał wypowiedzenie wojny. Potem wysłał oba smyki do miasta, aby bębniąc, na wszystkich miejscach odczytywali jego manifest tego brzmienia:

„W Imieniu Jego Cesarskiej Mości Cesarza Bobineta rozkazuję królewskiemu wianowemu miastu Hradcowi Kralové, aby klucze bram miejskich złożyło w moje ręce. Jeśli rozkaz nie będzie wykonany przed zachodem słońca, poczynię zarządzenia wojskowe i o świcie uderzę na miasto artylerią, jazdą i bagnetami. Chronić będę życie i mienie jedynie tych, którzy najpóźniej o świcie stawią się w moim obozie „na Młynku”, przynosząc wszelką nadającą się do użytku broń i składając przysięgę na wierność Jego Cesarskiej Mości cesarzowi Bobinetowi. Parlamentariusze zostaną rozstrzelani. Cesarz nie pertraktuje.”

### *Generał Hampl*

Manifest ten został odczytany i spowodował pewien zamęt, osobliwie, gdy kościelny od Św. Ducha zaczął na Białej Wieży dzwonić na popłoch. Pan Skoćdopole odwiedził biskupa Lindę, który jednakże wyśmiał się z niego. Potem zwołał miejską radę na posiedzenie nadzwyczajne i zaproponował wydać generałowi Hamplowi klucze miejskich bram. Ustalono, że takich kluczy nie ma. Kilka historycznych zamków i klucze, jakie

znajdowały się w muzeum miejskim, zabrali Szwedzi. Śród takich kłopotów nadeszła noc.

Przez całe południe, a specjalnie wieczorem, snuli się ludzie alejami w kierunku miejsca „na Młynku”. Gdy spotykali się znajomi, to jeden do drugiego mówił: „Ależ naturalnie, idę i ja popatrzeć na obóz tego błazna Hampla”. Przybywszy „Na Młynek” widzieli łąki pełne już narodu, a przy dwóch bębnoch adiutant Hampla przyjmował przysięgę wierności cesarzowi Bobinetowi. Tu i ówdzie płonęły ognie, wokół nich migały ludzkie cienie, jednym słowem wyglądało to wszystko bardzo malowniczo. Niektórzy powracali do Hradca jawnie przygnębieni.

W nocy widok był jeszcze wspanialszy. Burmistrz Skočdopole wszedł po północy na Białą Wieżę i oto widział, że ku wschodowi wzdłuż Orlicy płonęły setki ogni, tysiące ludzi krzątało się dokoła nich, a luna od ognia była krwawa i ogromna. Najwidoczniej robią tam okopy. Burmistrz zszedł z wieży wielce zatroskany. Stało się jasne, że generał Hampl nie przesadzał, mówiąc o swych siłach wojskowych.

O świcie wyszedł generał Hampl z drewnianego „Młynka”, gdzie całą noc przesiedział nad planami miasta. Kilka tysięcy ludzi na ogół w cywilu co prawda, ale przynajmniej w czwartej części uzbrojonych, stało już w szeregach czwórkami. Tłumy starców, kobiet i dzieci tłoczyły się opodal.

— Naprzód! — zakomenderował Hampl i w tejże chwili zabrzmiały różki i waltornie trębaczy światowej firmy pana Červenego (fabryka instrumentów dętych) i przy dźwiękach radosnego marsza „Zmierzył się żywot Jadwidze...” ruszyły zbrojne siły Hampla ku miastu.

Pod miastem zatrzymał generał Hampl swoje zastępy i wysłał naprzód trębaczy i herolda z wezwaniem, aby ludzie nie walczący powychodzili z domów. Jednakże nie wyszedł nikt. Domy były puste.

Mały Rynek pusty.

Wielki Rynek pusty.

Całe miasto puste.

Generał Hampl podkreślił węża i ruszył ku magistratowi. Był otwarty na oścież. Wszedł do sali obrad. Zasiadł na miejscu burmistrza. Przed nim na zielonym suknie leżały już z góry przygotowane arkusiki papieru listowego i na każdym z nich były kaligraficznie powypisywane nagłówki:

„W imieniu Jego Mości Cesarza Bobineta”.

Generał Hampl podszedł ku oknu i zawołał:

— Żołnierze, bitwa zakończona. Zbrojną ręką zgnetliście klerykalne rządy magistrackiej kliki. Dla ukochanego naszego miasta nastaje era postępu i wolności. Trzymajcie się wspaniale. Nazdar!<sup>136</sup>

— Nazdar! — odpowiedziało wojsko i poszło do domu. Także do domu burmistrza powracał jeden z bojowników Hampla (później mawiano o nim Hamplman), dźwigając na ramieniu karabin po jakimś nieznanym żołnierzu chińskim.

W taki to sposób stał się pan Hampl burmistrzem. Trzeba zaznaczyć, że także jego rozropne rządy były pobłogosławione względnym spokojem śród powszechnej anarchii, dzięki rozropnym radom biskupa Lindy i szanownych panów radnych.

## 27. ATOL NA OCEANIE SPOKOJNYM

— Niech mnie diabli wezmą — rzekł kapitan Trouble<sup>137</sup> — jeśli tamten wielki drab nie jest ich hersztem.

— To Jimmy — rzekł pan G. H. Bondy. — On tu dawniej służył. Myślałem, że on już jest zupełnie obłaskawiony.

— I diabli nadali — kończył kapitan — że musiałem się tu zatrzymać. Taka marna... Hereheretau!!!<sup>138</sup> Co?

<sup>136</sup> *Nazdar!* — czes. pozdrowienie, oznaczające życzenia pomyślności, powodzenia. [przypis edytorski]

<sup>137</sup> *Trouble* — nazwisko znaczące, por. ang. i fr. *trouble*: kłopoty, niepokój. [przypis edytorski]

<sup>138</sup> *Hereheretau* — nazwa miejsca w Nowej Zelandii, na North Island, w pobliżu Wairoa. W oryginale czeskim: Hereheretua, co odnosi się do atolu Hereheretue (archipelag Tuamotu, Polinezja Francuska), który w 2012 r. zamieszkiwało 56 osób. [przypis edytorski]



— Proszę pana — rzekł G. H. Bondy, odkładając karabin na stół werandy. — Czy tu zawsze bywa tak samo?

— Pewno, że bywa — porykiwał kapitan Trouble. — Tu niedaleczko na Rawaiwai zjedli kapitana Barkera z całym garnizonem. A na Mangaju zrobili sobie posiłek z trzech takich milionerów jak pan.

— Braci Sutherland? — zapytał Bondy.

— Zdaje się. A na Starbucku upiekli sobie komisarza rządowego. Wie pan, tego tłustego Mac Deona. Pan go znał?

— Nie znałem.

— Jak to? Pan go nie znał? — krzyczał kapitan. — A od kiedy pan tu mieszka?

— Już dziewiąty rok — rzekł Bondy.

— No to powinien go pan znać — twierdził kapitan. — Dziewiąty rok? Business, co? Albo też pan tu ma takie malutkie schronisko, nie? Że niby nerwy, tak?

— Nie — odpowiedział pan Bondy. — Widzi pan, przewidziałem, że będzie heca, i dlatego ustąpiłem temu wszystkiemu z drogi. Sądziłem, że tu będzie trochę więcej spokoju.

— A juści! Nie zna pan naszych kochanych Murzynków. Tutaj wojna jest, że tak powiem, stale.

— Nie — zaoponował pan Bondy. — Tu był naprawdę spokój. Bardzo grzeczni chłopcy, te Papuasy, czy jak ich pan nazywa. Dopiero w ostatnich czasach zaczęli trochę tego ten... Wie pan, ja nie bardzo rozumiem, o co im chodzi.

— O nic wielkiego — rzekł kapitan. — Chcą nas tylko zjeść.

— Z głodu? — zdziwił się Bondy.

— Nie wiem. Raczej z pobożności. Taki obrzęd, rozumie pan? Coś religijnego. To wybucha u nich od czasu do czasu.

— Ach tak — rzekł pan Bondy zamyślony.

— Każdy ma swego bzika — warczał kapitan. — Tutejszy bzik to zjeść cudzoziemca — i uwędzić jego głowę.

— Po co jeszcze wędzić? — rzekł Bondy z odrazą.

— E, to dopiero po śmierci — pocieszał go kapitan. — Wędzoną głowę chowają sobie na pamiątkę. Czy widział pan takie suszone głowy w Aucklandzie<sup>139</sup> w Etnograficznym Muzeum?

— Nie widziałem — odparł Bondy. — Sądzę, że... że... nie byłbym zbyt apetyczny po uwędzeniu.

— No tak, jest pan troszkę zbyt tłusty na to — zauważył kapitan krytycznie. — Człowieka chudego zmienia to nie tak bardzo.

Bondy stanowczo nie wyglądał na zadowolonego. Siedział obwisły na werandzie swego bungalowu na koralowej wyspie Hereheretau<sup>140</sup>, którą nabył tuż przed wybuchem Największej Wojny, Kapitan Trouble chmurzył się poważnie, patrząc na gąszcz mangowców i bananowców, otaczający bungalow.

— Ilu tu jest tubylców? — zapytał kapitan nagle.

— Ze stu i dwudziestu — odpowiedział G. H. Bondy.

— A u nas w bungalowie?

— Siedmiu, razem z chińskim kucharzem.

Kapitan westchnął i spojrział ku morzu. Był tam zakotwiczony jego statek „Papeete”. Ale gdyby chciał dostać się nań, musiałby przejść przez wąską uliczkę między mangowcami, co nie wydawało się wcale godnym polecenia.

— Sluchaj pan — odezwał się po chwili. — o co tam w Europie biją się właściwie? O jakieś granice?

— Mniej.

— O kolonie?

— Mniej.

— O... umowy handlowe?

<sup>139</sup> *Auckland* — największe miasto Nowej Zelandii, położone w płn. części North Island. [przypis edytorski]

<sup>140</sup> *Hereheretau* — nazwa miejsca w Nowej Zelandii, na North Island, w pobliżu Wairoa. W oryginale czeskim: Hereheretua, co odnosi się do atolu Hereheretue (archipelag Tuamotu, Polinezja Francuska), który w 2012 r. zamieszkiwało 56 osób. [przypis edytorski]

— Nie. Tylko o prawdę.  
 — O jaką prawdę?  
 — O prawdę absolutną. Wie pan, każdy naród chce mieć absolutną prawdę.  
 — Hm... — zamruczał kapitan. — Co to właściwie jest?  
 — Nic. Taka ludzka namiętność. Słyszał pan, że tam w Europie i w ogóle przyszedł na świat, no... Absolut... Rozumie pan? Bóg.  
 — Słyszałem.  
 — Więc z tego powodu dzieje się to wszystko. Pan rozumie...  
 — Nie rozumiem, staruszk. Sądziłbym, że prawdziwy Bóg zrobiłby na świecie porządek. Tamto nie może być żadnym prawdziwym i normalnym Bogiem.  
 — No nie, mój człowieku — oponował G. H. Bondy (jawnie zadowolony, że może sobie chociaż raz pogadać z mądrym, doświadczonym człowiekiem). Mogę pana zapewnić, że to naprawdę Absolut. Bóg. Ale powiem panu na ucho: Jest zbyt wielki.  
 — Tak pan sądzi?  
 — A tak. Jest nieskończony. I w tym cała bieda. Każdy sobie z niego odmierzy parę metrów i zdaje się mu, że to już cały Bóg. Przyswoi sobie taką małą zaderkę czy drzazeczkę i zdaje mu się, że ma całego Boga. Co?  
 — Aha — przyświadczył kapitan. — I wścieka się przeciwko tym, co mają inny kawałek.  
 — Właśnie. I żeby samego siebie przekonać, że ma całą prawdę, musi pozabijać tych innych. Właśnie akurat dlatego, że mu tak strasznie na tym zależy, żeby miał sam całego Boga i całą prawdę. Nie może tedy ścierpieć, żeby kto inny miał innego Boga i inną prawdę. Gdyby do tego dopuścił, to musiałby przyznać, że ma tylko parę nędznych metrów, galonów, czy worków bożej prawdy. Wie pan, gdyby jaki Snippers tak straszliwie mocno wierzył, że tylko trykoty Snippersa są najlepsze na świecie, musiałby spalić Massona razem z jego trykotami. Ale Snippers nie jest aż tak głupi, gdy chodzi o trykoty. Głupie dopiero wówczas, gdy chodzi o angielską politykę albo o angielską religię. Gdyby wierzył, że Bóg jest czymś tak realnym i potrzebnym jak trykotowa bielizna, pozwoliłby, aby każdy zaspokoił tę swoją potrzebę według swej woli i potrzeby. Ale on nie ma tyle do niego zaufania i dlatego narzuca ludziom swojego Snippersowego Boga i swoją prawdę przez wyzwiska, wojny i inną tego rodzaju niesolidną reklamę. Ja jestem kupiec i znam się na konkurencji, ale to...  
 — Czekaj pan — powstrzymał go kapitan Trouble i zmierzyszy strzelił w krzaki mangowców. — Tak — zdaje się, że jest o jednego mniej.  
 — Umarł za wiarę — powiedział Bondy w rozmarzeniu. — Przemocą swoją nie pozwolił mu pan na to, aby mnie zjadł. Zginął za narodowy ideał ludożerstwa. W Europie od samego początku ludzie pożerali się wzajemnie za najwyższe ideały. Pan jesteś przyzwoity człowiek, panie kapitanie, ale kto wie, czy nie zeżarłby mnie pan z powodu jakiegoś zasadniczego zagadnienia żeglarskiego. Ja już nie dowierzam nawet panu.  
 — Ma pan rację — warczał kapitan. — Gdy się panu dobrze przyglądam, to mam wrażenie, że jestem...  
 — ...namiętnym antysemitą, ja wiem. To nieważne. Ja się kazałem ochrzcić. I, czy pan wie, panie kapitanie, co wjechało w tych czarnych idiotów? Onegdaj wyłowili z morza japońską atomową torpedę. Ustawili ją sobie o tam, pod kokosowymi palmami i oddają jej cześć. Mają teraz swego boga. Dlatego muszą nas zjeść.  
 Z krzaków mangowca zagrzmiął wojenny ryk.  
 — Słyszysz pan? — mruknął kapitan. — Jak Boga kocham... wolałbym znowu składać egzamin z geometrii, niż to...  
 — A może by... — szeptał Bondy — może dałoby, się coś zrobić, gdybyśmy przeszli na ich wiarę? Co do mnie, to ja...  
 W tej chwili ze statku „Papeete” huknął armatni strzał.  
 Z piersi kapitana wydarł się cichy okrzyk radości.

Bóg, Religia, Konflikt

Wierzenia, Kondycja  
 ludzka, Konflikt

## 28. SIEDEM CHAŁUP

Podczas gdy armie biją się tworząc dzieje świata, gdy granice państw rozwijają się i kurczą jak dżdżownice i cały świat wali się w gruzy, stara pani Blahoušowa w Siedmiu Chałupach

skrobie kartofle, a dziadzio Blahouš siedzi na progu i pali liście bukowe, zaś sąsiadka Prouzowa, wsparta o płot, powtarza w zamyśleniu:

— Tak — tak.

— A tak — przyświadcza po chwili Blahouš.

— A bo nie? — wtrąca się do rozmowy Blahoušowa.

— Tak już jest — mówi na to Prouzowa.

— Nic na to nie poradzisz — twierdzi dziadzio Blahouš.

— Prawda — dodaje Blahoušowa i sięga po nowy kartofel.

— Podobno Włoch dostał mocne lanie — oświadcza Blahouš.

— Niby od kogo?

— Widać od Turka.

— To już się teraz ta wojna skończy?

— Gdzie tam! Teraz zacnie znowu Prusak.

— Niby przeciwko nam?

— Ponoć przeciwko Francuzowi.

— Boże, Boże, to ci będzie znowu drożyzna!

— Tak — tak.

— Juścić, że tak.

— Nic na to nie poradzisz.

— Miał ponoć Szwajcar pisać, że już niby ma być koniec.

— Ja to samo powiadam.

— No tak, ja za świecę zapłaciłam półtora tysiąca. Mówię wam, Blahoušu, że tylko taka śmierdząca świeczka do chliwa.

— Półtora tysiąca, powiadacie?

— A tak. Drożyzna aże piszczy!

— Tak, to tak!

— Juścić, że tak.

— Kto by to był kiedy pomyślał! Półtora tysiąca!

— A za dwieście bywała ładna świeca.

— No tak, ciotka, ale policz te lata. Przecie i jajko można było dostać za pięćset.

— A masło trzy tysiące funt.

— I jakie delikatne było masło!

— A buty za osiem tysięcy.

— Ech, gdzie te czasy dawnej taniości!

— A teraz...

— Tak — tak.

— Żeby to się już raz skończyło!

Stary Blahouš wstał, wyprostował się w krzyżu i poszedł na podwórko po żdźbło słomy.

— E, nic na to wszystko nie poradzisz! — rzekł i odkręcił główkę fajki, żeby ją przeczyszczyć słomką.

— Bo też już śmierdziała — zauważyła Blahoušowa interesująco.

— Śmierdziała — zgodził się Blahouš. — Ale jak nie miała śmierdzieć? Przecie chyba już żadnego prawdziwego tytoniu na świecie nie ma. Ostatnią paczuszkę tytoniu posłał mi syn, niby profesor, w czterdziestym dziewiątym chyba... Nie?

— Na Wielkanoc były temu akurat cztery lata.

— A tak — rzekł Blahouš. — Człowiek jest już dobrze stary. Nawet bardzo stary.

— A ja się pytam, sąsiedzie — zaczęła Prouzowa — na co to wszystko, niby co się dzieje?

— Niby, że co się dzieje?

— A choćby i ta wojna?

— A kto ich tam wie! — zawołał Blahouš i przedmuchiwał fajkę, aż w niej bulgotało.

— Nikt tego nie wie, ciotka. Powiadają, że to o wiarę.

— O jaką wiarę?

— O naszą, czy heretycką, tego nikt nie wie. Że niby ma być tylko jedna wiara.

— Przecież u nas była tylko jedna wiara.

— Ale gdzie indziej była wiara inna, widzisz ciotka. Ponoć taki przyszedł rozkaz, że ma być tylko jedna wiara.

— A od kogo rozkaz?

— Tego nikt nie wie. Ponoć były takie maszyny od wiary. Takie długie kotły.

— A na co te kotły?

— Tego też nikt nie wie. No kotły. I ponoć Pan Bóg objawiał się ludziom, że niby mają wierzyć. Bo widzisz, ciotka, podobno było już bardzo dużo niedowiarstwa. Jest takie prawo, że każdy ma wierzyć. Nic na to nie poradzisz. Gdyby ludzie akuratnie wierzyli, to by się im Pan Bóg nie pokazywał. Więc przez to niby niedowiarstwo Pan Bóg znów się pokazał.

— No dobrze, ale od czego powstała ta okrutna wojna?

— Nikt nie wie. Powiadają, że zaczął Chińczyk czy też Turek. Mówią, że w tych kotłach wieźli swojego Pana Boga. Że niby bardzo są pobożne ludzie, te Turki i Chińczyki. I chcieli, żebyśmy i my wierzyli tak samo, jak oni.

— A dlaczego tak samo?

— Ha, tego nikt nie wie. Ja myślę, że i Prusak także zaczął. A Szwedy to samo.

— Boże, mój Boże! — westchnęła Prouzowa. — I teraz ta drożyzna! Półtora tysiąca jedna świczka!

— A ja myślę — rozwiódł się Blahouš — że tę wojnę zrobili Żydy, żeby zarobić. Ja wam to mówię.

— Żeby choć popadało — zauważyła Blahoušowa. — Kartofle lichota. Jak te orzechy.

— A oni sobie — wywodził Blahouš dalej — Pana Boga i tak i siak podpatrywali i szpiegowali, żeby wszystko mieli na kogo zwalić. Takie wymyślunki różne. Chcieli mieć wojnę i żeby nie było na nich. To wszystko oni zmajstrowali.

— Co za jedni?

— Tego nikt nie wie. Pewno się tak zgadali wszyscy, wszyscy, z papieżem i z Żydami. To byli ci... ci... Kalburaci! — krzyknął dziadzio Blahouš wzburzony. — Już ja bym im w oczy powiedział co i jak! Czy kto potrzebował jakiego nowego Pana Boga? Nam tu na wsi dobrze i z tym dawnym. Starczyło nam akurat. I dobry był, taki poczciwy i porządny. I nikomu się nie pokazywał i mieliśmy przynajmniej spokój.

— A wy, Prouzowa, po czemu sprzedajecie jajka?

— Teraz? Po dwa tysiączki.

— W Trutnowie podobno już po trzy...

— A ja wam mówię, że to przyjść musiało — srożył się stary Blahouš. Ludzie już byli bardzo źli dla siebie. Choćby i wasz nieboszczyk, ciotka, Panie świeć nad jego duszą, nic tylko te duchy i ten spirytyzm. A ja mu razu jednego tak sobie z żartów powiadam ty, mówię, Prouza, przywołaj nazad tego ducha co mi się wymknął! A on się rozeźlił, że już do samej śmierci do mnie nie przemówił. Taki to i sąsiad, ciotka. A znowu Antek Wilczek w nic nie wierzył, tylko w te swoje foksfaty<sup>141</sup> niby do gnojenia, a kto w nie nie wierzył, to on mu ciągle dokuczał i dokuczał jak wariat jaki. A mój syn, niby ten profesor, powiada, że wszędzie to samo. Jak sobie ktoś coś ubrda, to zaraz chce, żeby wszyscy w to wierzyli. I nie da ci spokoju i nie da. I teraz macie. To z tego.

— Tak — tak — zgadzała się Prouzowa. — Nic na to nie poradzisz.

— Oj, to prawda — westchnęła matka Blahoušowa.

— Tak już jest na tym świecie — dodała Prouzowa.

— A wy kobity to nic, tylko byście cały Boży dzień gdakały i gdakały — rzekł na ostatek dziadzio Blahouš gderliwie i ruszył pomalutku ku furtce...

...podczas gdy armie biły się, tworząc dzieje świata i gdy „rodziło się nowe lepsze jutro”, jak zapewniali myśliciele wszystkich obozów.

## 29. OSTATNIA BITWA

Na jesieni roku 1953 Największa Wojna chyliła się już ku końcowi. Nie było już armii. Wojska okupacyjne, przeważnie poodcinane od swoich ojczyzn, topniały i znikwały jak woda w piasku. Samozwańczy generałowie maszerowali od miasta ku miastu, czy raczej od rumowiska ku rumowisku, na czele pięciu ludzi, z których jeden był dobošem, drugi

<sup>141</sup>foksfaty — zniekształcone: fosfaty, tu: nawozy sztuczne. [przypis edytorski]

złodziejem, trzeci wypędkiem, jeden dźwiگاł gramofon, a jednego nikt bliżej nie znał. Chodzili, kazali płacić kontrybucję, a przynajmniej urządzali dobroczynny koncert „na rzecz inwalidów, ich wdów i sierot”. Nikt już nie wiedział, ile jest wojujących państw.

Śród tego powszechnego i niewypowiedzianego zamętu nadszedł koniec Największej Wojny. Nadszedł tak nieoczekiwanie, że dziś zupełnie nie wiadomo, gdzie rozegrała się ostatnia, czyli tak zwana decydująca bitwa. Historycy bardzo się kłócą między sobą o to, gdzie była ostatnia bitwa, oznaczająca koniec i rozwiązanie światowych powikłań. Niektórzy (np. Durich, Assbridge, a szczególnie Moroni) skłaniają się ku przekonaniu, że to było koło Linzu. W tej dość wielkiej operacji uczestniczyło sześćdziesięciu żołnierzy z różnych obozów nieprzyjacielskich. Bitwa zawrzała w wielkiej sali gospody „pod Różą”, a mianowicie z powodu kelnerki Hildy (właściwie była to Marzena Rużickowa z Nowego Bydżowa). Zwycięzcą i panem placu został Włoch Giuseppe, który też Hildę zabrał, ale ponieważ już nazajutrz uciekła od niego z Czechem, Wacławem Gruszką, więc i ta bitwa jest właściwie nierozstrzygnięta.

Usiński podobnie przytacza bitwę koło Gorochowki, Leblond starcie w Batignolles, Van Groo rzeź w pobliżu Newportu... Zdaje się jednak, że chodzi tu raczej o ambicje lokalnego patriotyzmu, niż o dowiedzione fakty historyczne. Jednym słowem ostatnia bitwa Największej Wojny jest po prostu nieznaną. Tym niemniej można ją z dużym stopniem prawdopodobieństwa oznaczyć na podstawie bardzo licznych prorocstw, które poprzedziły Największą Wojnę.

Tak na przykład ocalało drukowane (szwabachem) w roku 1845 prorocstwo, że za sto lat „znaki straszliwe nastaną i luda zbrojnego na wojnie zaginie mnogo”, ale że „za sto miesięcy trzynastoro narodów bitwę wielką stoczy pod brzozą i w srogich walkach na śmierć się posieka”, po czym nastanie długi pokój pięćdziesięcioletni.

W roku 1893 Turczynka Wali Schon (?) prorokowała, że „upłynie pięć razy po tuzinie lat, zanim na świecie nastanie spokój. Tego zaś czasu trzynastu cesarzy potykać się będzie i zejdać się pod drzewem brzozy, a potem będzie ów pokój, jakiego jeszcze nigdy nie było i nie będzie”.

Z roku 1909 bywa przytaczane widzenie Murzynki z Massachusetts, której ukazał się „potwór czarny dwurogi i potwór żółty trzyrogi, i potwór czerwony ośmiorogi, a walczyły te potwory pod drzewem (brzozy?), aż krew ich obryzgała cały świat”. — Ciekawe, że ogólna liczba rogów wynosi trzynastę, najwidoczniej dla oznaczenia trzynastu narodów.

W roku 1920 prorokował reverendissimus<sup>142</sup> Arnold, że „przyjdzie wojna dziewięcioletnia, która ogarnie cały świat. Jeden wielki cesarz zginie w tej wojnie, a trzy wielkie mocarstwa się rozpadną, dziewięćdziesiąt i dziewięć wielkich miast zburzonych będzie, zaś ostatnia bitwa tej wojny będzie ostatnią bitwą stulecia”.

Z tegoż samego roku pochodzi „widzenie Jonathanowe” (drukowane w Sztokholmie): „Wojna i pomór wyniszczy dziewięćdziesiąt i dziewięć krajów, dziewięćdziesiąt i dziewięć państw zginie i znowu powstanie, ostatnia bitwa trwać będzie dziewięćdziesiąt i dziewięć godzin, a będzie ona taka krwawa, że wszyscy zwycięzcy zmieszczą się w cieniu drzewa brzozy”.

Niemieckie prorocstwo ludowe z roku 1923 mówi o bitwie na polu brzozowym (Birkenfeld).

Posel Bubnik w roku 1924 rzekł podczas rozpraw budżetowych:

„...i nie będzie lepiej, dopóki choć jeden żołnierz służyć będzie pod brzozą”.

Takich samych wieszczych dokumentów z lat między rokiem 1845 a 1944 uchowało się więcej niż dwieście. — W czterdziestu i ośmiu śród nich powtarza się liczba „trzynastę”, w siedemdziesięciu „drzewo brzozowe”, w piętnastu po prostu „drzewo”. Wolno tedy wnioskować, że ostatnia bitwa rozegrała się gdzieś w pobliżu drzewa brzozowego. Kto tam walczył, tego nie wiemy, ale ocalało wtedy ogółem trzynastu ludzi z różnych armii, którzy najwidoczniej położyli się po bitwie w cieniu brzozy. W tej właśnie chwili skończyła się Największa Wojna.

Możliwe wszakże, że „brzoza” jest tu symbolem nazw miejscowości Brzezany, Brzenec, Brzezhrad, Brzezi (których jest w Czechach 24), Brzezina (których jest 13), Brzenowes, Brzezinka (4), Brzezinki, Brzeziny (3), Brzezka (4) albo Brzezko, Brzezna (2),

<sup>142</sup>reverendissimus (łac.) — najczcigodniejszy. [przypis edytorski]

Brzeźnice (5), Brzeźnik, Brzezno (10), Brzezowa (11), Brzezowe Hory, Brzezowice (6), Brzezowik, Brzezówki, Brzeżany (9), albo i Brzezolupy. Istnieją też nazwy niemieckie Birk, Birkenberg, -feld, -hain, -hammer, Birkicht itd. Podobnie angielskie Birkenhead, Birkenham, Birch itd. Tak samo francuskie Boulainville, Boulay itd.

W ten sposób liczba miast, wsi i wiosek, gdzie prawdopodobnie została stoczona ostatnia bitwa, sprowadza się do paru tysięcy (o ile uwzględniamy tylko Europę, która ma pierwszeństwo i prawo do Ostatniej Bitwy) i szczegółowe badania naukowe ustalą przynajmniej, gdzie się wojna skończyła, skoro w żaden sposób nie można ustalić, kto wojnę wygrał.

Ale kto wie — wizja jest taka zwodnicza! — może w pobliżu widowni ostatniego aktu światowej tragedii stała smukła srebrzysta brzoźka. Może nad pobojuwiskiem śpiewał skowronek, a jakiś inny ptaszek trzepotał się nad srogimi wojakami. I patrzajcież, już prawie nie ma nikogo do zabijania. Jest gorący październikowy dzień i bohaterowie jeden za drugim stają zwróceniem tyłem do pobojuwiska, załatwiając potrzebę fizjologiczną, i pragnąc świętego pokoju, idą, aby się położyć w cieniu brzozy. Wreszcie leży ich tam wszystkich trzynastu, którzy przeżyli Ostatnią Bitwę. Ten kładzie ufnie swą głowę na bucie sąsiada, tamten na jego zadzie, nie krępując się jego (oczywiście żołnierszym) oddychaniem. Trzynastu ostatnich żołnierzy świata śpi pod jedną brzoźką.

Pod wieczór budzą się, spoglądają na siebie nieufnie i sięgają po broń. I nagle jeden z nich — historia nigdy się nie dowie, jak się zwał — zawoła:

— Dosyć będzie, psia wasza mać!

— Wcale niegłupio gadasz — odezwie się drugi, odkładając broń.

— No to dawaj, drabie, kawałek słoniny — ozwie się trzeci z dziwną tkliwością w głosie.

Czwarty na to:

— Kurzyć się chce, jak sto diabłów! Nie macie tam który dymka?

— Teraz, chłopcy, wiejemy — powiada piąty. — Ja się już nie bawię.

— Dam ci egipskiego — ozwie się szósty — ale ty mi dasz kawałek chleba.

— Do domu się idzie, uważajcie, do domu — mówi siódmy.

— Twoja stara czeka na ciebie? — pyta ósmy.

— Ach Boże, przecie ja już sześć lat nie leżałem w łóżku jak się patrzy — wspomina dziewiąty.

— Hej, było to cymbalstwo! — woła dziesiąty spluwając.

— Było to było — przyświadcza jedenasty — ale teraz fajerant<sup>143</sup>.

— Fajerant — powtarza dwunasty. — Nie ma głupich, chłopcy, do domu!

— Chwała Bogu, że już koniec — dodaje trzynasty i przewraca się na drugi bok.

W taki mniej więcej sposób można sobie wyobrazić zakończenie Największej Wojny.

Pokój

### 30. ZAKOŃCZENIE WSZYSTKIEGO

Upłynęło wiele lat. W gospodzie Damohorskich siedzi maszynista Brych, obecnie właściciel zakładu ślusarskiego, i czyta „Lidové noviny”.

— Zaraz będą kielbaski — melduje gospodarz przychodzący z kuchni. I patrzajcież, przecież to jest pan Binder, niegdysiejszy właściciel karuzeli! Przytył i już nie nosi pasiastej koszuli, ale to on!

— Mamy czas — powiada powolutku pan Brych. — Przecie i pater Joszt też jeszcze nie przyszedł. I pan redaktor Rejzek...

— No a tego... Jak się miewa pan Kuzenda? — pyta pan Binder.

— Jak zawsze. Pokwężkuje, postękuje. Wie pan, panie Binder, to jest bardzo porządny człowiek.

— Bardzo porządny — przyświadczył gospodarz. — Wie pan co, panie Brych? Żeby pan mu zaniósł ode mnie... no, parę takich kielbasek... Udały nam się dzisiaj, a gdyby pan chciał być taki dobry...

— Ależ bardzo chętnie, panie Binder. To go, wie pan bardzo ucieszy, że pan o nim pamięta. Ależ tak, bardzo chętnie posłużę.

<sup>143</sup>fajerant a. fajrant (z niem., daw. pot.) — koniec pracy. [przypis edytorski]

— Niech będzie pochwalony... — ozwał się głos we drzwiach i pan kanonik Joszt, czerstwy, zarumieniony od mrozu, wieszal na kołku kapelusz i futerko.

— Dobry wieczór, wasza wielbność — odpowiedział pan Brych. — Ale już też czekamy, czekamy!

Pater Joszt radośnie szczyrzył zęby i zacierał zziębnięte ręce.

— A co w gazetach, panie majster. O czym nam tam piszą?

— Et, czytam właśnie, że prezydent republiki mianował młodego uczonego, prywatnego docenta dra Blahouša, profesorem nadzwyczajnym. Wie ksiądz kanonik, to ten sam Blahouš, co pisał wtedy o panu Kuzendzie.

— Aha, aha — rzekł pater Joszt, wycierając okulary. — Naturalnie, niedowiarek. Na uniwersytecie sami ateusze. A pan ma też za uszami, panie Brych.

— No, ksiądz kanonik już się tam za nas pomodli — wtrącił się pan Binder. — Będzie nas w niebie potrzebował do kart. Więc dwie kielbaski i jedna kiszka, jak zawsze?

— Ma się rozumieć: dwie i jedna.

Pan Binder uchylił drzwi wiodące do kuchni i krzyknął:

— Dwie kielbaski i jedna kiszka.

— Dobry wieczór — rzekł warkliwie redaktor Rejzek, wchodząc do gospody. — Zimno, ludkowie!

— Dobry wieczór panu — przy میلیł się pan Binder. — Gość w dom, Bóg w dom.

— No, co nowego? — pytał się wesóły pater Joszt. — Jak tam w redakcji? Ach tak, za młodu też pisywałem do gazet.

— I mnie także opisał wtedy w gazecie ten Blahouš — rzekł pan Brych. — Mam jeszcze gdzieś wycinek z tej gazety. Nazwał mnie apostołem Kuzendowej sekty, czy tak jakoś. Hej, gdzież te czasy!

— Kolację — odezwał się pan Rejzek.

Pan Binder i jego córka nieśli właśnie w tej chwili i stawiali na stole półmisek z kielbaskami. Jeszcze syczały, z tłustą pianką na wierzchu, leżąc na pulchnej kapuście niby tureckie odaliski na poduszkach. Pater Joszt głośno mlasnął i przeciął pierwszą krasawicę.

— Udała nam się — rzekł po chwili pan Brych.

— Hm — przemówił po dłuższym milczeniu pan Rejzek.

— Panie Binder, szacunek, udały się panu — prawil z uznaniem ksiądz kanonik.

Panowała wdzięczna i skupiona cisza.

— Angielskie ziele — wtrącił pan Brych — lubię czuć w nosie.

— Ale żeby go nie było za dużo.

— Nie, tak w sam raz.

— A skórka musi w zębach wprost chrzęścić.

— Hm...

I znowu dłuższa pauza.

— A kapusta musi być bielutka.

— Na Morawach — ozwał się Brych — przyrządzają kapustę na rzadko. Byłem tam jako czeladnik. Po prostu się leje.

— Idź pan z taką kapustą! — dziwił się pater Joszt. — Kapustę trzeba przecie przedzić. Nie gadaj pan, kto by taką rzecz jadł?!

— No, jedzą tam taką kapustę. Łyżkami.

— Strach po prostu — drętwiał kanonik. — Jakiś dziwny naród, czy nie? Przecież kapustę trzeba tylko omaścić. Dobrze mówię, panie Binder? Nie rozumiem, jak można kapustę przyrządzać inaczej!

— Wie ksiądz — rzekł pan Brych w zamyśleniu — to jest akurat tak, zdaje się, jak z tą wiarą wtedy i w ogóle. Ludzie nie chcą zrozumieć, że inny może wierzyć w co innego.

— Daj pan spokój — bronił się pater Joszt. — Prędeż bym uwierzył w Mahometa, niżbym jadł taką dziwną kapustę. Przecie sam rozum wskazuje, że kapustę trzeba tylko omaścić, nie?

— A wiary sam rozum nie wskazuje?

— Naszą wiarę, owszem — rzekł kanonik z wielką stanowczością — ale inne wiary nie są w zgodzie z rozumem.

Zbawienie

Jedzenie, Rozkosz

— Więc znowu jesteśmy akurat tam, gdzie byliśmy przed wojną — westchnął pan Brych.

— Ludzie są zawsze tam, gdzie byli przedtem — odezwał się pan Binder. — I pan Kuzenda mawia zawsze to samo: Bracie, powiada, żadnej prawdy nie wywojujesz, nie wymusisz na nikim. Pamiętasz Binder, powiada, że ten nasz Pan Bóg na bagrownicy nie był znowu taki najgorszy i twój na karuzeli także nie, a jednak obaj przepadli. Każdy wierzy tylko w swojego najlepszego Pana Boga, ale nie wierzy innemu człowiekowi, że on także wierzy w coś dobrego. Ludzie powinni najpierw wierzyć w ludzi, ufać im, a reszta sama się uładzi. Tak mawia pan Kuzenda.

— Alboż nie? — rzekł pan Brych. — Niechby sobie człowiek myślał, że inna wiara jest kiepska, ale nie powinien myśleć, że ten, co ją ma, to koniecznie wredny, niegodziwy i drański człowiek. Tak jest w polityce i we wszystkim.

— I dlatego tyle ich się nienawidziło wzajemnie i wymordowało — odezwał się pater Joszt. — Wicie, im większą ktoś ma wiarę, tym wścieklej gardzi tymi, co nie wierzą tak samo jak on. A przecie największą wiarą byłoby wierzenie w ludzi.

— Każdy jest jak najlepiej usposobiony do ludzkości, ale dla pojedynczego człowieka to nie. Ludzkość zbawię, ale ciebie, bracie, zabiję. A to niedobrze, wasza wielebność. Świat będzie zły, dopóki ludzie nie zaczną wierzyć w ludzi.

— Wiesz pan co, panie Binder — rzekł pater Joszt w zamyśleniu — to może by pan na jutro zrobił dla mnie taką kapustę po morawsku. Ja spróbuję.

— Trochę się ją niby zasmaża i dusi, że tak powiem. No i z kielbasą, owszem, bardzo jest dobra. Każda wiara i każda prawda ma w sobie coś dobrego, choćby tylko to na ten przykład, że ten inny ją sobie ceni.

Otworzyły się drzwi i wszedł strażnik. Był zziębnięty i chciał szklaneczkę rumu.

— A, to pan, panie wachmistrz — rzekł Brych, poznając strażnika Gruszkę. — Więc co jest, gdzież to byliśmy?

— E, na Žyžkowie<sup>144</sup> — odpowiedział strażnik, zdejmując ogromne rękawice. — Robiliśmy obławę.

— No i co wyłowiliście?

— Dwóch złodziejasków i paru niezameldowanych. — A w domu Nr 1006 w piwnicy odkryliśmy taką spelunkę.

— Co za spelunkę? — pytał pan Rejzek.

— Karburatorową spelunkę, panie redaktorze. Mieli tam mały Karburatorek ze starej przedwojennej motorówki. I wszelka hołota zbierała się tam na orgie.

— Co znowu za orgie?

— No takie różne zakazane rzeczy. Modlą się, śpiewają, miewają widzenia, prorokują, robią cuda i jeszcze to i owo.

— I tego robić nie wolno?

— Jest to policyjnie zakazane. Tak samo, jak nory, w których palą opium. Była jedna taka nora na Starym Mieście. A tych karburatorowych spelunek wykryliśmy siedem. Taka hołota się tam zbierała. Ludzie bezdomni, kurwy i indywidua. Dlatego jest to zakazane. Bo to nieporządek.

— A dużo jeszcze takich spelunek?

— Już niedużo. Myślę, że to był już ostatni Karburator.

Wiara, Obyczaje

Prawo

<sup>144</sup>Žyžkow, czes. Žižkov — dzielnica w centralnej części Pragi. [przypis edytorski]



---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/capek-fabryka-absolutu>

Tekst opracowany na podstawie: Karel Čapek, *Fabryka Absolutu*, tłum. P. Hulka-Laskowski, Wydawnictwo "Śląsk", Katowice 1971.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Dorota Kowalska.

ISBN 978-83-288-5258-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przeznacz 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

**Wspieraj Wolne Lektury** i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przeznacz darowiznę na konto: **szczegóły na stronie Fundacji**.